Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 46 (1442) ROK XXVIII 16 LISTOPADA 1985 ROKU CENA 20 ZŁ

- Letni dom wampirów
- Halabardy i atomy
- Uwaga! Zły człowiek!
- Puszczanie farbki
- Zima pułkownika

Inauguracja na Wiejskiej

TOMASZ SAS

1.

Jest ich czterystu sześćdziesięciu. Tak stanowi Konstytucja. Czterystu sześćdziesięciu posłów — wybranych do sprawowania władzy państwowej przez lud pracujący miast i wsi. Tak stanowi Konstytucja.

Na początku — to znaczy w Sejmach I i II kadencji, wybranych pod rządami Konstytucji uchwalonej w 1952 roku — było inaczej: jednego posła wybierano na 60 tys. obywateli. Przepis ten znowelizowano w 1960 roku i odtąd liczba posłów jest stała — właśnie czterystu sześćdziesięciu...

Czterystu dziesięciu wybraliśmy w okręgach a pięćdziesięciu — po raz pierwszy — z listy państwowej. Ale to nie znaczy, że czymkolwiek się oni między sobą różnią. Nie — uprawnienia i obowiązki mają identyczne — tu, w gmachu na Wiejskiej. Tylko w terenie nam, wyborcom, łatwiej będzie spotkać tych pierwszych; będziemy mieć dostęp do nich na co dzień, to oni będą „nasi". Nie sądzę jednak, że posłowie z listy krajowej dla odmiany będą nieuchwytni — tylko kontakty z nimi będą rzadsze, może bardziej „uroczyste"...

Nowy Sejm jest nowy prawie dosłownie. Tylko osiemdziesięciu siedmiu posłów ma za sobą staż parlamentarny. Pozostali znaleźli się na Wiejskiej po raz pierwszy — niektórzy rzeczywiście po raz pierwszy w życiu, a dotąd Sejm oglądali w telewizji. Teraz sami są w środku, w centrum najważniejszych spraw państwa, w centrum publicznego zainteresowania.

2.

Posłowie spoza Warszawy przyjechali wcześniej. W hotelu sejmowym, (oficjalnie — Dom Poselski...) gdzie większość z nich będzie mieszkać w czasie swego posłowania warunki na pewno nie są komfortowe. W dwuosobowych pokojach bez łazienek da się jakoś spać i odpoczywać, ale do pracy nie ma tu zbyt wygodnego miejsca. Oni może jeszcze o tym nie wiedzą, ale tu na Wiejskiej ich praca będzie polegała głównie na czytaniu — stosów druków sejmowych, informacji, ekspertyz, opracowań rządowych, projektów. W miarę rozkręcania się sejmowej machiny ilość materiałów potrzebnych do w miarę sprawnego funkcjonowania posła w komisjach będzie lawinowo narastać. Poseł dobrze poinformowany, to nie ten, który pogada z kolegami poplotkuje w kuluarach, zapyta ekspertów o to i owo — to poseł zaczytany, wożący ze sobą kilogramy różnych pism i wykorzystujący każdą wolną chwilę na lektury...

Najjaśniejszym punktem hotelowej egzystencji poselskiej

3

Wiosną nadejdzie woda

ROMAN KUBIAK

Obiecali im, że pierwszego listopada zapalą świece na nowym cmentarzu. Postawią je na nowych grobach, takich samych jak mogiły starego cmentarza, którego już nie będzie. A może jeszcze ładniejszych. Tych nowych grobów mają nie ruszać. Nigdy. Tak obiecali. Przyjeżdżali tu z województwa, z gminy, z wielkiej budowy. Włazili do chałup, zaczepiali ludzi, po dobroci namawiali do ugody. Dwa lata trwało. W końcu nawet proboszcz, co wiek już ma i rozum, że daj Boże wszystkim sługom swoim, z ambony rzekł: nie ma rady.

Powiadali, że inaczej nie sposób. Że przyjdzie wielka woda, akurat w to miejsce gdzie stoi teraz wysoki drewniany krzyż: w sam środek parafialnego cmentarza. A przecie nie godzi się zatapiać mogił, bo woda wypłucze kości, rzuci je na brzeg przemiesza okrutnie. Nie po chrześcijańsku jakoś. Więc państwo przyobiecało dać pieniądze, duże pieniądze na to, żeby wszystkie prochy zabrać na nowy cmentarz, gdzie woda nie sięgnie. Półtora tysiąca mogił.

Lecz jakże to ojcowe prochy ze snu wiecznego budzić ziemię poświęconą rozgrzebać, sądu ostatecznego nie czekając. Jakże to zmarłym spokój mącić, niejednemu ostatnią jego wolę odmieniać. Albo to człowiek ma takie prawo, żeby doczesne szczątki przodków po padole ziemskim włóczyć, mogiły gwałtem odbierać. Jakże to...

Wielka woda była tuż, tuż.

W dolinę za starym parafialnym cmentarzem dawno wjechały maszyny. Ryły tę ziemię, która na zatracenie spisana od lat pługiem nie była tknięta. Kruszyły watle mury pobielanych chałup, z żalu spalonych stodół; kaflowe piece, psie budy, stu-

7

Syzyfowy trud Józefa Piłsudskiego

EDMUND LEWANDOWSKI

O piłsudczykach mówiono «ONI». Nie my, nie Polacy, nie naród, nie społeczeństwo, ale «ONI». Oni przegrali wojnę, oni uciekli za granicę, unosząc swój i narodowy dobytek, oni okryli hanbą imię Polski (...). Głupcy, jantaści, niedołędzy i, jak się okazało, tchórze — to oni". Taka według Ferdynanda Goetla — którego z aprobatą cytuje generał Tadeusz Machalski („Pod prąd. Światła i cienie kampanii wrześniowej 1939 roku". Londyn 1964) — była powszechna opinia w kraju na temat piłsudczyków po klęsce wrześniowej. Pewien rozgoryczony oficer polski powiedział gen. Machalskiemu w Stambule, że jedynym pozytywnym skutkiem naszej porażki jest uwolnienie od *„zarazy legionowej"*, co stwarza nadzieję na odbudowę po wojnie lepszej Polski.

Mało chyba dziś Polaków zdaje sobie sprawę z tego, że w przedwojennej Polsce panowała nieliczna grupa legionistów czy piłsudczyków, której większość społeczeństwa nie popierała, a ogromna część wręcz nienawidziła. Były premier Władysław Grabski szacował w 1935 r., że elita ta stanowiła zaledwie 0,1 proc ludności, czyli sto razy mniej niż dawniej szlachta.

Celem mojego artykułu jest przypomnienie deklarowanych intencji, metod postępowania i rzeczywistych efektów działań Józefa Piłsudskiego. Uchodzi on bowiem za najwybitniejszego przywódcę Polski przedwrześniowej, a legenda o nim długo z pewnością będzie żywa w naszym społeczeństwie.

Józef Klemens Piłsudski — sławny Komendant, Naczelnik Państwa, Marszałek Polski — urodził się 5 grudnia 1867 r. w Zułowie, ok. 60 km na północ od Wilna, a zmarł 12 maja 1935 roku w Belwederze. Przeżył więc niecałe 68 lat — z tego okres „Chrystusowy" w XIX tuleciu. Pierwszy związek małżeński zawarł w wieku 32 lat. Zdecydował się wtedy zmienić wyznanie religijne z katolickiego na ewangelicko-augsburskie (luterańskie), ponieważ jego wybranka, Maria Juszkiewiczowa, była rozwódką. Już dziesięć lat później chciał się rozwieść i poślubić Aleksandrę Szczerbińską; lecz ze względu na kategoryczny sprzeciw Marii, nowy związek doszedł do skutku dopiero po jej śmierci w 1921 roku. Wcześniej jednak przyszły na świat dzieci — w 1918 r. Wanda i w 1920 r. Jadwiga — ojciec ich przekroczył wówczas pięćdziesiątkę, czyli mógłby już być dziadkiem. Ze spraw osobistych odnotujmy jeszcze, że w 1916 r. powrócił do Kościoła rzymskokatolickiego.

Przez znaczną część swego burzliwego życia Józef Piłsudski był aktywnym działaczem ruchu socjalistycznego. Ale mało interesowały go sprawy ideologiczne, zaś przede wszystkim zajmował się działalnością o charakterze wojskowym. Można powiedzieć, że wojsko było główną jego pasją życiową. W ogóle bardzo lubił dowodzić i samodzielnie decydować. A przy tym z natury był improwizatorem — nie znosił inteligenckich debat, długotrwałego planowania i żmudnych przygotowań. Wydawało mu się, że każdy problem polityczny i wojskowy potrafi rozwiązać ad hoc, bez zbędnych dyskusji i konsultacji. Był przekonany, że sam wszystko zawsze wie najlepiej, a inni rzadko mają coś mądrego do powiedzenia i w dodatku często kierują się podłymi intencjami. Z czasem doszedł do wniosku, że bez niego Polska chyba by zginęła i wcale nie powstała.

Największym sukcesem tego urodzonego dyktatora było zdobycie oraz utrzymanie niemal absolutnej i charyzmatycznej władzy w odrodzonej po 123 latach niewoli Polsce. Natomiast totalną klęskę poniosła ostatecznie jego polityka. Nie udało mu się zastraszyć i pozyskać całego społeczeństwa, nie stworzył silnej Polski i nie zabezpieczył jej przed katastrofą.

Już przed uzyskaniem niepodległości Piłsudski nie miał dobrego mniemania o naszym narodzie i przewidywał poważne trudności polityczne. Uważał on, że Polacy mają apaństwową kulturę; że brak im wiary we własne siły i dlatego cofają się przed większymi przeszkodami.

Miał pretensje do społeczeństwa, że zachowywało się tchórzliwie i służalczo wobec zaborców, że nie poparło jego akcji wyzwolicielskiej. W tej ostatniej kwestii odmienny pogląd głosił Władysław Grabski. Twierdził otóż, że instynkt narodowy Polaków nie pozwalał poprzeć legionów, ponieważ były związane z Austrią i Niemcami. *„Taka słuszna obojętność ogółu społeczeństwa polskiego wobec Legionów* — pisał — *uratowała nie tylko sprawę niepodległości polskiej, ale i oblicze ideowe ich twórców".*

Józef Piłsudski, jak wiadomo, za głównego wroga Polski uważał odwrotnie niż Roman Dmowski — Rosję a nie Niemcy. Mniej tez interesowały go ziemie zaboru pruskiego, a bardziej tereny wschodnie, skąd sam pochodził i gdzie wśród żywiołu przeważnie ukraińskiego, białoruskiego i litewskiego istniały potężne majątki ziemiaństwa polskiego. Z tych względów wysłał armię polską przeciwko Rosji Radzieckiej, zakładając, że jest w stanie bić bolszewików — jak mówił — gdzie chce, kiedy chce i jak chce. I początkowo wszystko na to wskazywało, ale niebawem kontrofensywa Budionnego i Tuchaczewskiego przekreśliła jego sukcesy i Armia Czerwona doszła aż do Wisły. W czerwcu 1920 r. trzeba było opuścić Kijów, a w sierpniu toczyć bój o Warszawę.

Maciej Rataj wspomina, że w obliczu klęski Naczelny Wódz zupełnie stracił głowę. *„Opanowała go* — czytamy — *depresja, bezradność; powtarzał ciągle, iż wszystkiemu winien jest upadek «moralu» w wojsku (w czym miał zresztą dużo słuszności), ale nie umiał wskazać sposobów podniesienia go; wszystkich, nawet najbliższych mu, zaziwiała jego apatia; sugerowano mu, by udał się do jednego lub drugiego oddziału wojska, pokazał się, dodał otuchy żołnierzom — daremnie".* Rozeszły się nawet plotki, że celowo chce oddać kraj bolszewikom, a sam zamierza uciec z pełnymi kuframi pieniędzy i złota do Szwajcarii. Rataj pisze, że wtedy właśnie zachwiał się jego szacunek do Piłsudskiego. Nam zaś nie wolno dziś zapominać, że w tej lekkomyślnie rozpętanej wojnie młoda armia polska straciła — uwaga! — aż 184.246 ludzi.

Po zakończeniu wojny natychmiast ujawniły się trudne problemy wewnętrzne. Społeczeństwo było ostro podzielone klasowo, narodowościowo, regionalnie, wyznaniowo. W zaciętej walce politycznej doszło do zabójstwa pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej. Rosła inflacja i spekulacja. Mnożyły się strajki i demonstracje. W starciach robotników z policją i wojskiem zginęło kilkadziesiąt osób — w samym Krakowie ponad 30 ludzi (6 listopada 1923 r.).

W owych latach Piłsudski stopniowo wycofał się z oficjalnego życia politycznego. Zgodnie z konstytucją marcową musiał przekazać władzę Naczelnika Państwa wybranemu prezydentowi, co uczynił z wyraźną niechęcią i w żenujący sposób. Mógł wprawdzie sam kandydować na prezydenta, lecz urząd ten go nie interesował, ponieważ dawał za mało władzy. Marszałek pragnął rządzić absolutnie albo wcale. Toteż w 1923 r. zrezygnował z funkcji wojskowych i zrzekł się nawet przysługujących mu wynagrodzeń: dożywotniego uposażenia z tytułu naczelnikostwa oraz pensji marszałkowskiej.

Ale równocześnie bacznie obserwował rozwój sytuacji, przyjmował oficerów i polityków w Sulejówku i nie ukrywał narastającej irytacji. W kwietniu 1925 r. martwił się, co dalej będzie z wojskiem i krajem. Podczas rozmowy z Władysławem Baranowskim wybuchnął: *„Zaświnią mi go! Coraz mniej mogę liczyć na wszystkich, karierki, posadki... Wszystko to wiecie — wielki bur..., kloaka... Nie ma tam co robić, zostawiłem to świństwo, niech się własnym smrodem udusi... Udusić się musi i przedtem nie wrócę...".*

W końcu jednak nie wytrzymał bez władzy i wrócił. W maju 1926 r. dokonał zbrojnego zamachu stanu. Prawdopodobnie spodziewał się entuzjastycznego powitania i nie oczekiwał żadnego oporu. A tymczasem część armii stanęła w obronie legalnego rządu. Stolica była widownią bratobójczych walk, w których poległo — według oficjalnych danych — 25 oficerów, 190 szeregowców i 164 osoby cywilne czyli razem naliczono 379 ofiar śmiertelnych, a poza tym 920 osób odniosło rany. Znany historyk emigracyjny Władysław Pobóg-Malinowski podaje jeszcze wyższe straty: 400 zabitych i 1500 rannych. Trzeba stwierdzić, że dzięki odpowiedzialności prezydenta i rządu Polska uniknęła wówczas nieobliczalnej w skutkach wojny domowej.

Co spowodowało ten rebeliancki powrót Marszałka do władzy? Otóż nie mógł on dłużej ścierpieć postępującej degeneracji życia publicznego. Będąc człowiekiem uczciwym i wielkim patriotą z niesmakiem przyglądał się zjawiskom prywaty, anarchii, demoralizacji. Nie pojmował, dlaczego naród, który uzyskał wreszcie niepodległe państwo, nie potrafi działać w sposób zgodny, zorganizowany umiarkowany. W końcu maja 1926 r. mówił do przedstawicieli klubów poselskich: *„Głównymi powodami obec-*

4

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Tomasz Sas, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński,

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa – Książka – Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96

DRUK Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa –, Książka — Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa – Książka – Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka – Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00 958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153 201045-139 11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 30 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 3361. P-2.

Przegląd prasy

Telewizja Polska pokazała półtoragodzinny wybór fragmentów filmu Claude Lanzmanna *„Shoah"* — co po hebrajsku znaczy zagłada. Te półtorej godziny dotyczy polskich sekwencji filmu. Claude Lanzmann nakręcił 350 godzin materiałów filmowych, z tego 200 godzin w Polsce. A więc część polska tego filmu jest niemała. Projekcja całego filmu trwa 9,5 godziny. Polskie fragmenty *„Shoah"* wywołały zrozumiałe zainteresowanie i polemiki, oceny i komentarze. Prasa codzienna ograniczyła się na ogół do omówienia dyskusji, jaka miała miejsce w telewizyjnym studio po projekcji filmu. W tygodnikach spróbowano spojrzeć na sprawę w szerszym tle.

W rubryce *„Obraz tygodnia"* w 45 numerze „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" (z 10 listopada 1985 roku) na samym końcu napisano:

„No i zobaczyliśmy w telewizji polskiej montaż sekwencji z filmu Lanzmanna „Shoah" odnoszący się do Polski i Polaków. Wydaje się, że nie ma powodu do wpadania w histerię. Pod pewnymi względami dużo większy sprzeciw niż nieporadne często wypowiedzi chłopów — rozmówców Lanzmanna budzi wydrukowany w ostatnich dniach tekst Krzysztofa Lisa w warszawskiej „Kulturze". Z filmem Lanzmanna trzeba dyskutować, „żydowskiego" reportażu p. Lisa należy się wstydzić."

W myśl tej zasady w tym samym numerze „Tygodnika Powszechnego" opublikowano duży artykuł Jerzego Turowicza pt. *„SHOAH" w polskich oczach*". Autor we wrześniu 1985 roku był zaproszony do Oxfordu, gdzie Instytut Studiów Polsko-Żydowskich zaprosił publicystów i intelektualistów z kilku krajów oraz Claude Lanzmanna do dyskusji nad tym filmem. Jerzy Turowicz widział więc cały 9,5-godzinny film.

Ale wróćmy może do tego.

CZEGO MAMY SIĘ WSTYDZIĆ

Krzysztof Lis opisuje spotkanie z dwoma młodymi Żydami z Nowego Jorku, którzy jadąc do Warszawy, wsiedli w Petrovicach i nie mieli biletów od polskiej granicy do Warszawy. Konduktor, zorientowawszy się w sytuacji, postanawia przy pomocy reportera ordynarnie wykantować obu Żydów i naciągnąć ich na 50 dolarów. Nie przeczę, że Krzysztof Lis popisał się stekiem bzdur i niewybrednym słownictwem na temat obu młodych Żydów, ale też i pokazał chamstwo i głupotę funkcjonariusza PKP. Nie wiem, ile lat ma autor reportażu i co wie na temat historii Żydów w Polsce, ich kultury i zwyczajów? Sądząc na podstawie reportażu — nic poza niegdysiejszymi stereotypami. Jest się czego wstydzić. Tylko kto ma się wstydzić? Tego autor notatki w „TP" nie dopowiedział.

A mnie oburza i przeraża stosunek wielu Polaków w ogóle do obcokrajowców. Albo piszemy o nich na kolanach, w całkowitym zachwycie, albo kpimy, wyśmiewamy i obrażamy. Na dodatek jeszcze są i tacy, którzy okradają, oszukują, poniżają. Wbrew wszelkim pozorom i zapewnieniom jesteśmy w dużej części nietolerancyjni, szowinistyczni, głupi w naszym bezmyślnym uwielbianiu jednej zagranicy i lekceważeniu innej. Czyż nie powinniśmy się wstydzić również bałwochwalczego zachwytu wszystkim, co pochodzi z Zachodu, stosunku naszego do niektórych nacji i ras: na przykład do Murzynów, Arabów, Żydów. Posłuchajcie na ulicy, jak ludzie mówią o Arabach czy Murzynach. Jest to ten sam rodzaj głupoty. I uważam, że wstydzić się to mało, trzeba z tym walczyć. A walczyć można tylko i wówczas, jeśli ujawni się i przezwyciężą przyczyny takiego a nie innego stosunku do innych narodów i ras. I nauczy się ludzi szacunku do innych niezależnie od tego, czy są Żydami, Arabami, Murzynami, Europejczykami... Trzeba zatem i o tym dyskutować. Samo wstydzenie się, to mało.

Jerzy Turowicz w artykule *„SHOAH" w polskich oczach*" nie tyle dyskutuje z Claude Lanzmannem, ile próbuje wyjaśniać. Pisze on, że Claude Lanzmann *„filmuje miejsca zagłady tak, jak one dzisiaj wyglądają"*, stwierdza, że *„film jako całość jest także wielkim osiągnięciem artystycznym"*, przyznaje twórcy prawo do takiego a nie innego widzenia rzeczywistości i do takiej a nie innej selekcji nakreconego materiału filmowego. Nie przeczy, że Claude Lanzmann opuścił wiele istotnych dla prawdy momentów i wypowiedzi. Nie przeczy też, że

BYŁA W TYM ŚWIADOMA TENDENCJA

Pisze:

„Ale — niestety — od „sprawy polskiej" abstrahować nie można, bynajmniej nie z powodu jakiejś naszej polskiej „alergii", lecz dlatego, że film Lanzmanna — jeśli chodzi o „sprawę polską" — jest zdecydowanie nieobiektywny, tendencyjny, jest odzwierciedleniem dość powszechnego na Zachodzie, uproszczonego i krzywdzącego stereotypu myślenia na tematy polsko-żydowskie i w ostatecznej wymowie — antypolski."

We Francji film ten odebrano jako oskarżenie Polski. Artykuł w paryskim dzienniku *„Liberation"* na temat tego filmu nosił znamienny tytuł: *„Polska na ławie oskarżonych"*. A tymczasem — jak zresztą pisze to Jerzy Turowicz — w jednym z wywiadów powiedział: *„Antysemityzm polski jest naturalnym dzieckiem katolicyzmu"*. Claude Lanzmann *„nie wątpi, że ta sytuacja nie uległa żadnej zmianie, że Polacy są dziś nadal antysemitami"*.

Włodzimierz Krzyżanowski opublikował w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM" reportaż pt. *„Wszyscy jesteście kapo"*, (nr 45 z 10 listopada 1985 roku). W reportażu tym przedstawia wypowiedzi ludzi z Chełmna nad Nerem, Dabia, Grabowa i Koła, z którymi rozmawiał Claude Lanzmann. Jest to

SWOISTY TRAKTAT O METODZIE

Oto fragmenty niektórych wypowiedzi:

Jan Wojtczak: — *„Opowiadałem o Żydach i wojnie. Jak włączyli lampy i takie różne aparaty, to zapytali mnie, jakie były Żydówki i gdzie one są? Mówiłem: To były ładne, fajne kobitki. Nie żyją. Zabili je Niemcy. Lanzmann zapytał mnie o to samo jeszcze raz to ja powtórzyłem. Potem jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz. Wtedy zaśmiałem się, bo to przecież śmieszne tak w kółko powtarzać, i to podobno było w telewizji. Ja nie oglądałem. Dzisiej ludzie w Grabowie mówią, że to wyszło tak, jakbym śmiał się ze śmierci Żydówek. No i po tym filmie na stare lata, mam siedemdziesiąt dziewięć lat, pokazują mnie jak głupka palcami"*.

Eugeniusz Rapacki: — *„Grobów w filmie „Shoah" to tylko rudery, brudni ludzie i furmanki, a przecież chyba widzi pan tu przede wszystkim samochody i traktory. Furmanki są z rzadka, no i sporo jest też nowych, ładnych budynków."*

Leon Kantarowski, organista z Chełmna nad Nerem: — *„Francuz może ze dwie godziny pytał ludzi przed kościołem, dlaczego Niemcy mordowali Żydów i z żadnej odpowiedzi nie był zadowolony. Wtedy ja powtórzyłem, co kiedyś mówił rabin w Międzyrzeczu, że to kara za ukrzyżowanie Pana Jezusa. No i to chyba zadowoliło Francuza, który potem chciał się dowiedzieć, czy nam było żal Żydów. No pewnie, że było żal i jest żal. Kiedy o to w kółko zagadywał i podpytywał, to też przy okazji z ludźmi żartował, więc niektórzy śmieli się, a on to wszystko filmował."*

Ks. Franciszek Lubecki, proboszcz z Chełmna nad Nerem: — *„Lanzmann poprosił mnie o wypowiedź w kościele, nie chcąc wcześniej ujawnić tematów rozmowy. Mimo wszystko zgodziłem się. Rozmowę zaczął przy włączonej kamerze i już pierwsze pytanie powtarzał wielokrotnie, sugerując przy trzecim i następnych powtórzeniach moją odpowiedź, inną od tej, której mu udzieliłem. Chodziło o stosunek Polaków do Żydów. Następne pytanie tak sformułował, że właściwie zawarł już w nim odpowiedź. Wtedy odmówiłem dalszej rozmowy z reżyserem.*

Francuz filmował też kościół, ale tak, żeby pokazać go w jak najgorszym ujęciu: szukał pęknięć na murach i brudnych plam na ścianach".

Czy to jest filmowanie miejsc zagłady *„tak jak one dziś wyglądają"*? Czy też z góry założone ich karykaturowanie, ukazanie polskiego prymitywizmu tak pasującego do tezy Claude Lanzmanna?

„PRZEGLĄD TYGODNIOWY" opublikował też fragment z książki Simone de Beauvoir *„Siła rzeczy"*, który odnosi się do Claude Lanzmanna:

„Jakkolwiek miał wśród „gojów" wielu przyjaciół, niady nie stłumił w sobie urazy do nich. „Wciąż chciałbym zabijać" — mówił. Czułam, że gwałtowna siła, gotowa w każdej chwili wybuchnąć, czai się w nim napinając jego mięśnie. Niekiedy rano, po burzliwych snach, jakie nawiedzały go w nocy, budził się i wołał do mnie: „Wszyscy jesteśmy kapo".

Świat jest bardziej skomplikowany niż to się niektórym ludziom wydaje. Tak jak niektórzy Polacy nie są wolni od nacjonalizmu, tak są Żydzi również tym obciążeni. A żadnemu nacjonalizmowi nie wolno pobłażać!

Czas na zmianę tematu, choć miejsca już mało. Chciałbym jeszcze na koniec zasygnalizować bardzo interesującą dyskusję, jaka odbyła się w redakcji „ODRODZENIA" i która została opublikowana w nr 44 z 3 listopada 1985 roku pod tytułem:

„O KRYTYCE PRASOWEJ"

Na ten temat powiedziano już wiele. Wiemy, że krytyka ma być rzetelna, konkretna i wyważona. Ale czy jest skuteczna? Jan Czapczyński, wicedyrektor Biura Prasowego Rządu uważa słusznie, że *„siły napędowe krytyki istnieją poza przepisami prawa. Tkwią w samym społeczeństwie, istnieją w każdym miejscu, gdzie mamy do czynienia z ludzką aktywnością. Bo krytyka prasowa dotyczy głównie ludzkiej działalności"*. Zatem jeśli chcemy mówić o jej skuteczności, to właśnie powinniśmy traktować ją w takim szerokim ujęciu. Gdyż krytyka *„ujawnia negatywne zjawiska, patologiczne, ułatwia racjonalną organizację życia publicznego, pozwala społeczeństwu sprawniej działać, lepiej układać stosunki międzyludzkie. Ludzie się z tą krytyką albo zgadzają, albo nie zgadzają. Utożsamiają albo oburzają. Krytyka prasowa spełnia więc ważną funkcję psychospołeczną"*. Człowiek pod wpływem krytyki powinien zastanowić się nad sobą, nad swym działaniem. I wtedy — jeśli tak się stanie — spełnia ona swoją rolę.

Gniewomir Jankiewicz z „Przyjaciółki" sformułował bardzo istotne pytanie: — *„Czy dla dobra społecznego nawet dalekie od doskonałości postawienie sprawy, ujawnienie jej na forum publicznym nie jest zdrowsze niż milczenie?"* Zastrzeżenie do tego pytania wyraził Bogdan Michalski, dyrektor Instytutu Dziennikarstwa UW: — *„Z zastrzeżeniem, że niepotrzebnie nie narusza praw osobistych jednostki. Krytyka zyska sobie aprobatę społeczną wtedy, kiedy będzie — powtórzmy — uczciwie rzetelna i kompetentna"*.

Mam wrażenie, że te uwagi o krytyce prasowej — szeroko rozumianej — odnoszą się też do dyskusji o zjawiskach, o których wspominałem na początku

LUCIAN BOGUSZ

NA WŁASNY RACHUNEK

Świadkowie zagłady

Pędząc żywot spokojny, wypełniony zdarzeniami o wymiarze powszednim, z trudnością wczuwamy się w sytuacje tzw. ekstremalne, i to nawet jeśli w nich niegdyś uczestniczyliśmy. A już każdy, kto nie był osobiście poddany ostatecznej próbie moralnej, zachowuje o sobie mniemanie na ogół nie najgorsze. Niektórzy ludzie mają przy tym skłonność do rozciągania owej korzystnej opinii o sobie samych na naród, do którego należą, co może dobrze świadczyć o ich uczuciach patriotycznych, ale gorzej o ich zmyśle krytycznym.

Takie oto zaczęły nachodzić mnie myśli przy oglądaniu w telewizji programu poświęconego filmowi Claude Lanzmanna „Shoah" o zagładzie Żydów, nie tylko polskich, ale przeprowadzanej na naszych ziemiach przez — użyję tu chyba najwłaściwszego określenia — hitlerowskiego okupanta. Uważam przy tym, że każdego kto te lata i te fakty pamięta powinno się wysłuchać, jeśli odczuwa potrzebę wypowiedzi w celu dania świadectwa prawdzie. W pojęciu prawdy mieści się również osąd sprawy.

Dla nikogo z tych, co pamiętają, nie może temat ten być obojętny, a może budzić jeszcze większy oddźwięk wśród pokoleń młodszych, podobnie jak wśród Niemców wielu młodych chce poznać prawdę o epoce hitleryzmu, m.in. po to, żeby móc ocenić pokolenie ojców.

Ale co przede wszystkim nie powinno u nas nikogo pozostawiać obojętnym? Czy fakt, iż bardzo wielu Polaków, często z narażeniem życia niosło w różnych formach pomoc ukrywającym się Żydom? Czy może jeszcze ważniejsza jest dla nas opinia o Polakach w społeczeństwach zachodnich, świadomie urabiana przez nieprzyjazne nam koła antysocjalistyczne, którym oddaje usługę przez swą tendencyjność film Claude Lanzmanna?

Wprawdzie wszystko to jest nieobojętne, ale, moim zdaniem, najistotniejsze jest potępienie przez nas samych przede wszystkim tych, którzy, chociaż bezpośrednio nie pomagali okupantowi w ludobójstwie uprawianym na Żydach (a także Cyganach) i w innych formach prześladowań narodów skazanych na niezwłoczną zagładę, to jednak nie ukrywali radości z faktu „rozwiązywania kwestii żydowskiej" w Polsce, mówiąc „jedno co Hitler robi dobrze, to że nie my sami musimy likwidować Żydów". Byli bowiem i u nas, jak wszędzie, ludzie, którzy sprzyjając zbrodniom przeciwko ludzkości, chlubili się tym, iż zachowują „czyste ręce".

Nie zgodziłbym się jednak z jednym z dyskutantów, iż światopogląd (w tym przypadku rasizm) nie ma wiele wspólnego z czynnym zaangażowaniem się człowieka w popełnianie, czy choćby popieranie zbrodni ludobójstwa. Z moich jednak obserwacji, poczynionych w czasach wojny wynika, że pierwszą i niezbędną zaporą przed zajęciem takiej postawy jest właśnie światopogląd, w tym przypadku przekonanie, że wszyscy ludzie bez względu na język, wyznanie wiary i kolor skóry mają jednakie prawo do życia. Nie w tym duchu wypowiadali się w większości rozmówcy dobrani przez Clauda Lanzmanna, ale i wśród tych, którzy się nie wypowiadali nie są to niestety poglądy powszechnie uznawane.

Te poglądy i postawy podtrzymuje opaczne rozumienie patriotyzmu. Dobrym Polakiem jest przecież według mnie (a także dobrym Niemcem, Rosjaninem, Amerykaninem) kto pragnie, żeby jego naród wzbudzał podziw i szacunek, zaskarbiał sobie sympatię u innych swoimi zaletami. Kto natomiast sprzyja wrogim zamysłom wobec innych nacji „w imię i w interesie" własnego narodu (jak np. ogół Niemców popierający Hitlera), ten, w moim przekonaniu, nie jest świadomym patriotą, ponieważ przykłada rękę do moralnego i intelektualnego upadku własnego narodu i ściąga nań powszechną nienawiść. Szowiniści są więc złymi patriotami, mimo iż uważają, iż tylko oni mają monopol na patriotyzm.

Nacjonalizm, rasizm, są też sprzeczne z wielkimi doktrynami moralnymi czy to chrześcijaństwa, czy socjalizmu i najogólniejszymi zasadami humanitaryzmu, są także nie do pogodzenia z duchem i literą karty ONZ. A jednak pod różnymi szerokościami geograficznymi kwitnie ludobójczy a w konsekwencji samobójczy szowinizm, ponieważ, jak sądzę, nie poświęcają mu należytej uwagi oficjalne instytucje, zarówno religijne, jak i świeckie.

A chodzi nie tylko o to, żeby nie być za zbrodnią, lecz żeby być przeciw.

JERZY KWIECIŃSKI

Zamiast nekrologu

Foto: W. Parys

Pożegnaliśmy JANA CZARNEGO. To bolesna i niepowetowana strata. Legenda mówi, że wraz ze śmiercią poety gaśnie na niebie jedna z gwiazd. Zapewne tak się stało i tym razem.

Jan Czarny urodził się w 1918 r. Natura obdarzyła Go wielką wrażliwością na barwy światła i rytmikę słowa. Dlatego też atrybutami Jego twórczości stały się paleta malarska i pióro.

Tuż przed wybuchem wojny kończy Wydział Ogólny Państwowego Instytutu Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Ale niebawem huk dział i detonacja bomb każą zamilknąć wszystkim Muzom. Jan Czarny zostaje żołnierzem. W 1943 r. trafia jako szeregowiec do formującej się I Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki nad Oką.

Wkrótce daje się poznać jako twórca frontowego teatru kukiełek. Pisze teksty poetyckie i satyryczne, projektuje dekoracje. Uczestniczy w bitwie pod Lenino, za co zostaje odznaczony Srebrnym Medalem Zasłużonych na Polu Chwały. Przechodząc do cywila nosi na pagonach oficerskie gwiazdki.

Po wojnie osiedla się w Łodzi, gdzie Jego talent objawił się różnorodnością form literackich i malarskich. Przez trzydzieści lat pracuje jako redaktor w Studio Opracowań Filmów. I pisze: wiersze powieści, utwory satyryczne, scenariusze filmów animowanych, zajmuje się przekładami. Maluje.

Zadebiutował w 1946 r. Ale pierwszą książkę wydał dopiero sześć lat później. Były to „Fraszki", gatunek, któremu pozostał wierny do końca, i w którym osiągnął wielkie mistrzostwo. Później ukazują się: „333 fraszki", „Fraszki i antyfraszki", „Epigramaty", tomy poezji „Spojrzenia", „Pare lat", „Korekta śniegu", powieści: „Albinos", „Zacieki" oraz tom miniatur „Tresowany motyl".

Przez wiele lat Jan Czarny publikował swoje utwory także na łamach „Odgłosów". Jego fraszki i aforyzmy znajdują się w antologiach ZSRR, Francji, NRD, Czechosłowacji, RFN.

W ostatnich latach Jan Czarny przeżywał wzrost aktywności twórczej. Niestety, przedwczesna śmierć nie pozwoliła Mu dokończyć zaczętego dzieła.

E.I.

ze str. 1

na pewno jest sejmowa restauracja, karmiąca prawie jak w domu po niezwykle umiarkowanych cenach, czego doświadczywszy osobiście, polecam.

3.

Moja karta wstępu na posiedzenia Sejmu IX kadencji w pierwszej jesiennej sesji ma numer 520 i daje mi prawo wstępu do loży prasowej i sejmowych kuluarów. Odebrałem ją w biurze Straży Marszałkowskiej rano 6 listopada, gdy w budynku Sejmu i wokół niego było jeszcze pusto i spokojnie. Tylko funkcjonariusze Straży, dziś w galowych granatowych mundurach ze złotymi sznurami, dyskretnie tkwią na swych posterunkach.

520... tymczasem loża prasowa to zaledwie kilkadziesiąt miejsc na galerii dla sejmowej publiczności, okalającej półkolistą salę posiedzeń. Też jestem tu nowicjuszem w roli sprawozdawcy, słabo znam obyczaje — nie wiem, czy znajdę miejsce, jak przyjdę na godzinę przed rozpoczęciem posiedzenia.

Na szczęście godzinny „zapas" okazał się wystarczający, by zdobyć... jedno z ostatnich miejsc siedzących w prasowej loży. Wszystko pozajmowane, wszędzie rozstawiony, porozkładany sprzęt — małe kamery telewizyjne, monitorki przy zaimprowizowanym studiu sprawozdawców TV, gęsto poustawiane statywy z halogenowymi światłami — na fotelach torby, notesy, karteczki z nazwami zachodnich pism i agencji — znak, że koledzy są zapobiegliwi i bezwzględni.

Obok, w galerii dla publiczności jeszcze pusto, naprzeciw loża dyplomatyczna — też pusta. W dole, w ławach poselskich pierwsi posłowie powoli zajmują miejsca, na pulpitach leżą już jakieś dokumenty, pierwsze poselskie lektury. Najważniejsza dziś — rota ślubowania:

„Ślubuję uroczyście, jako poseł na Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej rzetelnie i sumiennie wykonywać swoje obowiązki poselskie, pracować dla dobra narodu polskiego i pogłębiać jego jedność, przyczyniać się do umacniania więzi władzy państwowej z ludem pracującym miast i wsi, czynić wszystko dla utrwalenia niepodległości i suwerenności, dla pomyślnego socjalistycznego rozwoju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej".

4.

Ci, którzy to ślubowanie za chwilę złożą, już wchodzą na salę. Siadają wedle tradycyjnego obyczaju parlamentarnego — z lewej strony, patrząc od stołu prezydialnego i trybuny, zajmują miejsca członkowie PZPR. W sektorze środkowym ludowcy, dalej klub SD i posłowie bezpartyjni. Pierwsze rzędy ław to miejsca czołowych działaczy partii i stronnictw, miejsca przywódców politycznych.

Próbuję odnaleźć posłów łódzkich — w ostatnim rzędzie sektora ZSL siedzi Elżbieta Prusinowska, w trzecim rzędzie ław zajmowanych przez posłów stowarzyszeń katolickich widzę Marka Kabata, obok nieco wyżej wśród posłów bezpartyjnych — prof. Mieczysław Serwiński. Tuż za generałem Jaruzelskim, między Marianem Woźniakiem i Stanisławem Gopałką siedzi Tadeusz Czechowicz. Pozostałych nie widać z galerii prasowej...

Loża ambasadorów już się wypełniła. W centralnej części ław dla publiczności zajmują miejsca ministrowie rządu, który złożył dymisję, członkowie władz partyjnych i państwowych, działacze PRON. Ministrowie mają dzisiaj nieco luzu — do tej pory w Sejmie bywali służbowo, odpowiadając na interpelacje i poselskie pytania, teraz są gośćmi Sejmu. Niektórzy z nich już za tydzień znów zasiądą w ławie rządowej — na sali przed posłami.

5.

Jako ostatni wchodzi na salę marszałek — senior, po kilku regularnie powtarzających się w głośnikach dyskretnych uderzeniach gongu, wzywającego posłów do zajmowania miejsc. Punktualnie o szesnastej ustawiona w kuluarach orkiestra wojskowa gra hymn. Marszałek — senior, prof. Bogdan Suchodolski, przewodniczący Krajowej Rady Kultury i najstarszy wiekiem poseł zanim trzykrotnie stuknie przymocowaną obok swego fotela laską marszałkowską, otwierając oficjalnie kadencję, sesję i posiedzenię wygłasza przemówienie.

„Szczęśliwość narodów od praw sprawiedliwych, praw skutek od ich wykonania zależy" — od tego cytatu z artykułu VII Konstytucji 3 Maja profesor zaczyna, swym głęboko przemyślanym i uargumentowanym wystąpieniem nawiązując do tradycji wielkich mów inauguracyjnych swych poprzedników, sprawujących honorową godność marszałka — seniora — m. in. Bolesława Drobnera, Jarosława Iwaszkiewicza.

Profesor kończy właśnie przypomnieniem pochwały romantyzmu, pochodzącej z pism tego ostatniego. Ten nasz polski romantyzm nie był ani fantazją, ani egzaltacją, tylko odważnym poszukiwaniem drogi w świecie despotyzmu i konformizmu; brzmi to jak humanistyczne wyzwanie w obliczu cywilizacyjnej groźby zagłady...

6.

Adamaszek Antoni — *Ślubuję...* — Adamczuk Tomasz — *Ślubuję...*

Jednemu z najmłodszych posłów (ale nie najmłodszemu, bo dwudziestosześcioletniemu — młodsze są od niego dwie posłanki Danuta Pawlikowska i Mirosława Ściańska), harcerzowi ze Szczecina Jackowi Piechocie przypadła w udziale pierwsza „robocza" funkcja w nowym Sejmie — odczytanie nazwisk wszystkich czterystu sześćdziesięciu posłów. Nie podoba mi się ten urzędowy rytuał — czy to tak trudno napisać alfabetyczną listę posłów, ale najpierw czytać imię a potem nazwisko zgodnie z duchem naszego języka...

Żukrowski Wojciech — *Ślubuję...* Żymankowski Józef — *Ślubuję...* Józef Żymankowski, poseł z Sosnowca jest ostatni na liście.

Posłowie przystępują do pierwszej wspólnej czynności — wyboru marszałka Sejmu i czterech wicemarszałków. Profesor Suchodolski zgłasza kandydatury, upoważniony przez kluby poselskie oraz komisję współdziałania partii i stronnictw. Przy wymienianiu nazwisk ożywia się loża prasowa — korespondenci zagraniczni od razu (choć nie wszyscy) komentują, niektórzy pytają sąsiadów o kogo właściwie chodzi i proszą o podanie pisowni nazwisk. Jak się pisze Biedrzycka? Biorę notesy od dwóch zdezorientowanych zachodnich dziennikarek i wpisuję im to „niewymawialne" nazwisko wicemarszałka, przewodniczącej Ligi Kobiet Polskich — porządnie, drukowanymi literami...

Inauguracja na Wiejskiej

7.

Po tych pierwszych głosowaniach w nowej kadencji marszałek — senior zasiada w pierwszym rzędzie ław, w sektorze posłów bezpartyjnych. Przewodnictwo obejmuje Roman Malinowski. Po stwierdzeniu dymisji rządu marszałek Sejmu dziękuje premierowi i ministrom za służbę w najtrudniejszym dla państwa okresie powojennej historii. Służba — to chyba najwłaściwsze określenie dla pracy Rady Ministrów...

Marszałek Roman Malinowski zaprasza posła Jana Dobraczyńskiego do przedstawienia kandydatur do Rady Państwa. Jako pierwsze pada z trybuny nazwisko kandydata na stanowisko przewodniczącego Rady Państwa — generała armii Wojciecha Jaruzelskiego. Dla posłów, gości oficjalnych i niektórych dobrze poinformowanych obserwatorów nie była to tajemnica; w loży ambasadorskiej poruszenie nieznaczne. Za to w galerii prasowej ruch. Zachodni koledzy „notują" w kieszonkowych dyktafonach, tłumacze niektórych korespondentów szybko i niezbyt cichym szeptem relacjonują swym szefom dokładnie każde wypowiedziane teraz słowo. Na dole między ławami poselskimi, w przejściach szaleją fotoreporterzy, operatorzy ręcznych kamer TV i filmowych...

Za tą kandydaturą głosuje czterystu czterdziestu jeden posłów, jeden wstrzymuje się od głosu. Marszałek Malinowski prosi, by ten poseł raz jeszcze podniósł rękę, bo trzeba zweryfikować wynik na tablicy elektronicznej, który jest pomocniczy — decyduje jawne głosowanie przez podniesienie rąk...

Rękę podnosi poseł Wojciech Jaruzelski.

8.

Jakie znaczenie ma ten wybór? W powszechnej opinii jest to sygnał zakończenia ostrej fazy kryzysu politycznego, osiągnięcia stabilizacji wewnętrznej i ugruntowania międzynarodowej (choć w mniejszym stopniu) pozycji Polski środkami politycznymi. Nie ulega wątpliwości, że zasługi Generała jako premiera są na tym polu ogromne, nie ulega wątpliwości, że to jemu w głównej mierze zawdzięczamy ocalenie w sytuacji grożącej nieobliczalnymi następstwami.

Teraz przyszedł czas na rozwiązania gospodarcze. Zadanie stworzenia nowego rządu Sejm powierzył Zbigniewowi Messnerowi, wybranemu na stanowisko prezesa Rady Ministrów. Generał Wojciech Jaruzelski pozostaje czołową postacią naszego życia publicznego — najwyższym zwierzchnikiem państwa i jego reprezentantem — jak to określił poseł Dobraczyński...

Nowy premier ma tydzień czasu na sformowanie gabinetu — już 12 listopada orzedstawi w Sejmie proponowany skład Rady Ministrów i wygłosi rządowe exposé z programem działania... Rząd zapewne ulegnie pewnym przekształceniom, albowiem zgłoszony został do Sejmu projekt ustawy o zmianach w organizacji i zakresie działania niektórych naczelnych i centralnych organów administracji państwowej. Zajęła się nim już komisja nadzwyczajna, wybrana pod koniec pierwszego posiedzenia.

9.

Loża prasowa już opustoszała — terminy łączności z centralami i redakcjami wygoniły już większość korespondentów i dziennikarzy krajowych.

Pierwsze posiedzenie zakończyło się po dwóch godzinach i pięciu minutach — przyjęto porządek następnego posiedzenia plenarnego 12 listopada. Ale to nie koniec pracy dla posłów. Do swoich sal udają się na obrady dwie komisje. Komisja Mandatowo-Regulaminowa rozpatrzy sprawozdanie Państwowej Komisji Wyborczej z wyborów do Sejmu. Komisja nadzwyczajna dyskutować będzie nad projektem ustawy o zmianie struktury naczelnych organów administracji. Posłowie nie mają zbyt wiele czasu...

Gdy wychodzę z gmachu Sejmu, przez alejkę dojazdową do Wiejskiej sunie korowód reprezentacyjnych samochodów z ambasadorskimi proporcami — za chwilę do stolic i rządów wielu krajów świata popłyną z Warszawy depesze z pierwszymi politycznymi ocenami inauguracji IX kadencji najwyższego organu władzy w Polsce. Ich ton będzie zapewne różny — jak różni się podzielony świat. Ale najważniejsza jest nasza obywatelska ocena — rodząca się świadomość normalizacji życia publicznego wśród obywateli naszego kraju i dotkliwe, szczerze ujawnione poczucie ogromu zaległości do pilnego odrobienia. Sam Sejm przecież nic za Polaków nie załatwi.

TOMASZ SAS

Każdy ma coś do powiedzenia, ale...

Jednym z przejawów a zarazem czynników wyraźnego w ostatnich latach ożywienia życia społecznego i politycznego jest powszechne niemal konsultowanie projektów decyzji, programów, prawie wszelkiego rodzaju dokumentów i aktów dotyczących różnych poziomów organizacyjnych życia zbiorowego. Nierzadko na łamach prasy, w innych publikatorach, w toku rozmaitych dyskusji nad ulepszaniem zasad i mechanizmów politycznych konsultacje właśnie stawiane są w rzędzie tych środków, które mają zapewniać ów tak oczekiwany skutek doskonalenia i pogłębiania demokratyzmu wszędzie, w każdym ogniwie społeczeństwa. W gronie badaczy tych problemów konsultacje społeczne traktowane są często jako jedna z najbardziej efektywnych i efektownych form realizacji demokracji bezpośredniej, a więc jako postać najwyższa udziału obywateli w rządzeniu.

I rzeczywiście, dzisiaj konsultuje się prawie wszystkie planowane przedsięwzięcia o doniosłości ogólnospołecznej. Poddają pod dyskusję swoje zamierzenia najwyższe władze państwowe, poszczególne resorty, organizacje społeczne i polityczne. Różny jest oczywiście zasięg i przebieg tych konsultacji. Rozmaite też pewnie są intencje decydentów zwracających się o konsultacje i zróżnicowany jest ich wynik i wpływ na ostateczny charakter oraz treść decyzji, programów czy dokumentów.

A więc dobrze to czy źle, że tak wiele jest konsultowane? Jak to ma się do demokracji, socjalistycznej demokracji, a zwłaszcza jednej z jej podstawowych zasad — udziału mas w rządzeniu krajem? Warto się nad tym zatrzymać i zastanowić, między innymi po to, by nie popadać w skrajności, nie przeceniać bądź nie pomniejszać tej niewątpliwie atrakcyjnej i przemawiającej do wyobraźni formy uczestniczenia w życiu społecznym i w polityce. Warto takie refleksje wywołać w związku z głośnym dziś poglądem, mającym za sobą liczne grono zwolenników i wcale niebagatelne argumenty, zgodnie z którym w państwie socjalistycznym konsultacje społeczne powinny być ważną instytucją ustrojowo-polityczną. Dodaje się przy tym, iż czas najwyższy dokonać tu odpowiedniej regulacji prawnej, bo w jakim trybie, jeśli nie poprzez konsultacje społeczne można realizować zasadę wyrażoną w art. 9 Konstytucji PRL: *„wszystkie organy władzy i administracji państwowej operają się w swej działalności na świadomym, czynnym współdziałaniu najszerszych mas ludowych i obowiązane są: (...) uważnie rozpatrywać i uwzględniać słuszne wnioski, zażalenia i życzenia obywateli".*

Dzisiaj, gdy chodzi o odpowiedź na powyższe pytania, wątpliwości, znaki zapytania, jest chyba tak, że konsultacje i ich przydatność łatwiej jest nie docenić a trudniej przecenić. Nasza bowiem o nich wiedza, a zwłaszcza doświadczenia praktyczne są nadal niewielkie.

Wiele jest argumentów *„za"* w dyskusji o potrzebie konsultacji społecznych. Ale czy to znaczy, że można bezkrytycznie, wyłącznie apologetycznie odnosić się do samej idei i instytucji konsultowania? Z pewnością potrzebny jest w tym zakresie zwyczajny zdrowy rozsądek, umiar powiedziałbym. Tym zaś, którzy chcieliby na przykład ustawę o konsultacjach społecznych traktować jako cudowny środek, panaceum warto przypomnieć: *morbi non consilium, sed remediis curantur* (choroby leczy się lekarstwami, nie radami). Konsultacje społeczne mogą stać się ważnym, ale tylko jednym ze sposobów współrządzenia, partycypacji — by użyć tu modnego określenia.

Rozumiem więc potrzebę i doceniam wartość konsultacyjnej techniki przygotowywania dokumentów politycznych, gromadzenia informacji służących za podstawę rozmaitych decyzji, ustaw bądź będących bazą dokumentacyjną formułowanych programów, źródłem ich mądrości i inspiracji. Na kilka jednakże aspektów tego sposobu zbierania danych i racji, poznawania ocen i poglądów obywateli, członków organizacji społecznych, członków partii, mieszkańców miast, wsi, przedstawicieli wielkoprzemysłowej klasy robotniczej, kobiet, młodzieży itd., chciałbym zwrócić uwagę.

Otóż wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, bardzo zresztą powierzchownemu, jakoby każdy z naszych rodaków nosił w zanadrzu po kilka prostych i skutecznych „rad sposobów" mogących radykalnie polepszyć naszą zbiorową dolę, niezwykle trudno jest o rady dobre, mądre, wskazujące właściwą drogę i środki. Za to oczekiwania na poprawę, na lepsze, pewniejsze jutro i chęć, by stawało się ono już dzisiaj, teraz są powszechne i szczere. Najpowszechniejsza zaś jest — przez jednych lepiej, przez innych gorzej skrywana — chęć brania już teraz, nawet na konto jutra, które nie powinno być gorsze. Czyżby zatem było tak, jak mawiał pewien rzymski myśliciel, patrząc na chylącą się ku upadkowi republikę, kiedy brakło odpowiedzi na pytanie, co robić: *multorum manus, paucorum consilium* (wiele rąk do brania, a do rady niewielu)!?

Jaki więc sens i cel mają owe tak już liczne obecnie konsultacje, dyskusje i narady gromadzące bardzo szerokie nieraz gremia? Są fasadą, parawanem czy alibi dla władz rozmaitych, które i tak same ostatecznie podejmują decyzje? Czy za ich przyczyną będziemy żyć bardziej demokratycznie? A może konsultowani stwierdzą, że to oni podjęli decyzję, że oni sami są władzą? Ten ostatni stan byłby raczej stanem bezwładu i bezwładzy niż zorganizowanym sposobem na życie zbiorowe.

Żadna koncepcja demokracji jako określonego porządku społecznego nie głosi możliwości czy potrzeby sprawowania władzy wszystkich nad wszystkim. W marksistowskim modelu demokracji socjalistycznej, najdalej upodmiotawiającym społeczeństwo, kwestia tzw. bezpośrednich podmiotów władzy także stawiana jest bez kamuflażu. Władza jest tym czynnikiem rozwoju i równowagi społeczeństwa, który ma zapewniać jego codzienną sterowność dla postępu, ład stwarzający warunki normalnego funkcjonowania jednostki i wielkich grup społecznych.

A więc władza i w tym modelu jest także i ma ona swe prawa, w tym prawo a nawet obowiązek, by być władzą silną. Ona odpowiada za losy społeczeństwa. I tego nie wolno w żaden sposób i nikomu interpretować jednostronnie. Jak ma ona zatem postępować, by stać się taką, by być silną i to nie z siebie samej, lecz za sprawą poparcia mas? Czy jako taka ma być sparaliżowana przymusem ustawicznych konsultacji, ciągłego wysłuchiwania rad i racji cząstkowych, które i tak zsumowane nawet najrzetelniej na obraz całości społeczeństwa, jego potrzeb i aspiracji się nie składają?

Ktoś dobrze zorientowany w mechanizmach władzy, jej praktycznych tajnikach, dobrze też znający rzeczywistość, zwłaszcza jej segment socjalno-ekonomiczny stwierdził w rozmowie z dziennikarzem przygotowującym kolejne *„Who is who": „tak było i tak chyba będzie zawsze, że prawdy poszczególnych ludzi rozmijają się z prawdą ogólną (...) nigdy zapewne nie uda się zlikwidować różnicy między odczuciami jednostek czy grup społecznych a ogólnym obrazem (...). Otóż sądzę, że uznając doniosłe znaczenie nastrojów społecznych wynikających z tych »prawd szczegółowych« nie wolno jednak ulegać presji psychologicznej i pozwolić sobie na narzucenie obrazu wynikającego z subiektywnych odczuć jako obrazu miarodajnego dla danej sytuacji (...). Trzeba zachować zdolność do obiektywnych ocen wynikających z równoległego posiłkowania się miarami statystycznymi i uwzględniania czynników psychologiczno-społecznych, określanych między innymi przez rozrzut »prawd cząstkowych«. Jest to szczególnie ważne w tak niezwykle złożonej sytuacji, w jakiej dzisiaj znajduje się nasz kraj".*

A zatem, jak powinny być podejmowane decyzje i budowane programy w demokratycznym społeczeństwie, w socjalizmie zwłaszcza? Czy może się to odbywać bez wsłuchiwania się w głosy społeczeństwa, w to, co artykułują jednostki, grupy społeczne i ich organizacje? Byłoby to tworzenie socjalizmu w imieniu społeczeństwa, bez podmiotowego jego udziału. W najlepszym razie! Żaden bowiem system władzy nie może sprawnie, efektywnie funkcjonować opierając się jedynie na mechanizmie mobilizacji, na dyrektywnym sterowaniu społeczeństwem.

Warunkiem optymalności każdej decyzji czy programu jest adekwatne odwzorowanie rzeczywistego stanu stosunków społecznych, które mają być poprzez dane posunięcia, projekty, prawa kształtowane. Trafne odczytanie rzeczywistych potrzeb, interesów, dążeń, celów i aspiracji poszczególnych odłamów zróżnicowanego społeczeństwa jest więc podstawą efektywności i funkcjonalności władzy. W gromadzeniu tych informacji dobry jest każdy sposób. Ale to nie oznacza, że każdy pytany współdecyduje. Jestem przeciwko takiej interpretacji idei demokracji i konsultacji społecznych, czy to dotyczących konkretnych decyzji, czy przeprowadzanych w ramach formułowania programów, wizji, projektów itp. Krąg rzeczywistych decydentów a zatem i konsultantów projektów określonych decyzji musi być odpowiednio wąski dla zapewnienia sprawności i racjonalności procesu decyzyjnego. Zresztą decyzje i racje trzeba uargumentować, a nie ustalać je np. w drodze głosowania czy też poprzez obliczanie, ile było w dyskusji wypowiedzi za, a ile przeciw określonym rozwiązaniom. Argumentów mechanicznie sumować się nie da. Algebra nie zastąpi rozumu!

No więc z kim, z czyim głosem władze powinny się liczyć, kto ma być konsultantem?

Nie jestem przeciwko powszechnym konsultacjom wielu ważnych decyzji, bo to nawet nie wypada, nie mówiąc już o tym, jak bym się naraził. Mam tylko wątpliwości, czy wszyscy o wszystkim mogą i powinni się wypowiadać, czy warto dostarczać powodów zbyt częstego zderzania „prawd cząstkowych", kiedy i tak tarć rozmaitych nam nie brakuje. W obecnych zaś warunkach artykulacyjna funkcja konsultacji do żywego w wielu przypadkach przypomina zabawno-smutną scenkę z opowiadania Michała Zoszczenki pt. „O czym śpiewał słowik?".

Działo się to wówczas, gdy, jak pisze autor, *„ich uczucia sięgnęły zenitu, gdy były w największym rozkwicie, kiedy Bylinkin z panną szli za miasto i aż do późna w noc chodzili po lesie. I tam, słuchając bzykania owadów albo też śpiewu słowika, długo stali w nieruchomej pozie. A wówczas Liza, załamując ręce, nieraz pytała: — Wasia, jak pan sądzi, o czym śpiewa ten słowik? Na co Wasia Bylinkin odpowiadał zazwyczaj powściągliwie: — Żreć mu się chce i dlatego śpiewa".*

Warto się wsłuchiwać w śpiewnie tylko inteligentnych orłów, ale także w kląskanie zwyczajnych słowików.

ALFRED LUTRZYKOWSKI

ze str. 1

nego stanu rzeczy w Polsce — to jest nędzy, słabizny wewnętrznej i zewnętrznej — były złodziejstwa pozostające bezkarnie. Ponad wszystkim zapanował w Polsce interes jednostki i partii, zapanowała bezkarność za wszelkie nadużycia i zbrodnie. W odrodzonym państwie nie nastąpiło odrodzenie duszy narodu. (...). Ustawiczne waśnie personalne i partyjne, jakieś dziwne rozpanoszenie się brudu i jakiejś bezczelnej, łajdackiej przewagi sprzedajnego nieraz elementu. Rozwielmożniło się w Polsce znikczemnienie ludzi. Swobody demokratyczne zostały nadużyte, tak że można było znienawidzić całą demokrację. (...) To wszystko skierowane było przeciw każdemu, kto reprezentował państwo".

Piłsudski przypomniał zebranym posłom, że po przybyciu z Magdeburga mógł, gdyby chciał, rządzić w sposób dyktatorski, lecz celowo tego nie uczynił i przekazał władzę Sejmowi Ustawodawczemu. Wierzył bowiem, jak się okazało niesłusznie, w odrodzenie narodu. Niemniej jednak jeszcze raz podejmie próbę, czy w Polsce można *„rządzić bez bata"* W czerwcu 1926 roku powiedział Władysławowi Baranowskiemu, że skoro Polacy tak pokornie znosili reżim zaborców, to niech teraz przekonają się, że również polska władza w razie potrzeby może *„prać po pysku"*.

Syzyfowy trud Józefa Piłsudskiego

Sejm więc łaskawie otrzymał kolejną szansę. 31 maja 1926 r. wybrano Piłsudskiego na prezydenta, co uznał za legalizację zamachu, lecz godności nie przyjął. Nie zależało mu na funkcji reprezentacyjnej — chciał mieć realny wpływ na rządy poprzez zaufanych i bez reszty podporządkowanych mu ludzi. I to życzenie zostało spełnione.

Przejmując władzę Marszałek miał w gruncie rzeczy tylko jeden poważny cel: zapewnienie w kraju pożądanej m o r a l n o ś c i publicznej. Nie ma żadnych powodów wątpić, iż sanacja moralna stanowiła dlań kwestię najważniejszą. Społeczeństwo miało żyć uczciwie i w spokoju. Ale nie zamierzał przy tym wprowadzać radykalnych reform, ponieważ sądził, że Polska jest za biedna na eksperymenty socjalne. Nie popierał on postulatów ani lewicy, ani prawicy, lecz naiwnie pragnął utrzymać pewną równowagę między wszystkimi klasami i partiami.

Początkowo premierem rządu był Kazimierz Bartel, a w październiku, co wywołało sensację i wzrost nadziei na poprawę sytuacji, zastąpił go osobiście Józef Piłsudski. Stopniowo jednak Marszałek tracił poparcie społeczne. W pierwszych wyborach po zamachu majowym (marzec 1928 r.) obóz prorządowy zdobył tylko 25 proc. głosów i 29 proc. mandatów. Nic zatem dziwnego, że premier Piłsudski zmuszony był oświadczyć: *„Sejm nie jest po to, by zamęczał rząd Zresztą, o ile sejm nie będzie chciał z rządem współpracować, to będzie rozpędzony"*

Już w czerwcu 1928 r. ubolewał, że nie udało mu się — jak mówił — *„stanowcze zerwanie z paskudztwami przeszłości... Gdzieś nikły pieniądze, gdzieś kradli..."* Za brak postępów w sanacji życia publicznego coraz gwałtowniej zaczął obwiniać konstytucję i sejm. Nie chciał wprawdzie likwidować systemu parlamentarnego, bo był powszechnie przyjęty w krajach zachodnich, ale nie miał też zamiaru tolerować władczych zapędów ze strony posłów. Zdecydowanie przeciwstawiał się sejmokracji uniemożliwiającej funkcjonowanie rządu.

Pod koniec czerwca 1928 r. Marszałek zrezygnował z funkcji premiera, którą ponownie objął Bartel i sprawował przez niespełna 10 miesięcy. Następnie powstał rząd „twardej ręki" albo inaczej pułkowników" — na czele z majorem Kazimierzem Świtalskim — w którym znalazło się 6 wojskowych. Pół roku później w celu zastraszenia opozycji sejmowej do gmachu na Wiejskiej wkroczył Marszałek w asyście uzbrojonych oficerów, lecz demonstracja ta nie przyniosła oczekiwanego rezultatu. A w grudniu gabinet Świtalskiego nie uzyskał wotum zaufania i został zastąpiony przez bardziej liberalną ekipę Bartla Jednakże już w marcu 1930 r powołano nowy rząd „silnej ręki" pod przewodnictwem pułkownika Walerego Sławka.

Kiedy okazało się, że wszystkie zmiany i zabiegi niewiele dały że kryzys pogłębia się i mnożą się wezwania do obalenia „dyktatury" — 25 sierpnia 1930 r. szefem rządu znowu został sam Piłsudski. Zaatakował on brutalnie konstytucję i posłów oraz nakazał rozwiązanie parlamentu. Podkreślał że konstytucja marcowa jest *„niechlujnie"* zredagowana, że *„śmierdzi chlewem poselskim"* Nazwał ustawę zasadniczą *„konstytutą"* gdyż neologizm ten był bliski *„prostituty"* Posłów określał jako łajdaków, łotrów i szuje. Wymyślił nawet specjalny epitet dla reprezentantów społeczeństwa: *„fajdanitis — poslinis"* Nawiasem mówiąc, wyrażenia Marszałka lubił powtarzać młody Witold Gombrowicz.

Według relacji gen. F. Sławoja-Składkowskiego zdenerwowany premier Piłsudski mówił: *„Sejm jest tylko, gdy jest posiedzenie! Inaczej jest to banda, której ja szanować nie mogę!!!"*. I groził przy tym, że dyktatorem może zostać komisarz policji, który stale będzie bić *„po mordach"* Marszałek wyraźnie miał już dość demokracji sejmowej i ciągłych zmagań z niesforną opozycją. Postanowił teraz sięgnąć po środki terroru i zastraszenia. Na jego polecenie aresztowano w nocy z 9 na 10 września 1930 roku tych przeciwników sanacji, których osobiście nie znosił. Wtrącono do więzienia w Brześciu nad Bugiem nawet byłego trzykrotnego premiera — Wincentego Witosa oraz słynnego działacza śląskiego — Wojciecha Korfantego. (26.IX.). Trzy dni później Piłsudski stwierdził, że aresztowania są dość przypadkowe, bo mógłby też wybrać co piątego lub dziesiątego. Zastosowany środek ocenił jako *„bardzo skuteczny"* i wyraził nadzieję, że ciężkie warunki więzienne zdyscyplinują byłych posłów. W październiku powiedział, że wskutek konkurencji między partiami powstała na Wiejskiej *„cloaca maxima"*, która od pierwszej chwili niepodległości demoralizuje cały naród (*„ryba cuchnie od głowy"*).

Przed listopadowymi wyborami 1930 r. aresztowano w sumie 15 proc. członków parlamentu oraz ok. 5 tys. innych działaczy politycznych. Dzięki represjom i oszustwom strona rządowa zdobyła 47 proc. głosów. Po tym „zwycięstwie" na czele kolejnych rządów stawali: pułkownicy Walery Sławek, Aleksander Prystor i Janusz Jędrzejewicz, a następnie Leon Kozłowski i znowu płk. Sławek. W okresie dziewięciu lat — od przewrotu majowego do śmierci Piłsudskiego — aż 12 razy zmieniał się premier rządu polskiego.

W 1934 r. udało się piłsudczykom zaskoczyć opozycję i w sposób sprzeczny z prawem uchwalić nową konstytucję. Ustawa ta miała usatysfakcjonować Marszałka, ponieważ redukowała rolę sejmu i przyznawała szerokie uprawnienia prezydentowi, na którym spoczywała odpowiedzialność *„wobec Boga i historii za losy Państwa"*. Piłsudski nie był jednak zachwycony sposobem przyjęcia konstytucji przez sejm (*„dowcipem i trikiem"*) i poradził dłuższą pracę w senacie. Gotowy dokument podpisał prezydent Mościcki 23 kwietnia 1935 r. A trzy tygodnie później ogłoszono komunikat o śmierci Piłsudskiego. W specjalnym orędziu prezydenckim czytamy: *„Ten największy na przestrzeni całej naszej historii człowiek z głębi dziejów minionych moc swego ducha czerpał, a nadludzkim wytężeniem myśli drogi przyszłe odgadywał"*.

Wydawać by się mogło, że powszechny żal po śmierci Marszałka wpłynie na wzrost popularności jego spadkobierców. Pierwszym testem politycznym były wybory we wrześniu 1935 r. I co się okazało? Otóż sanacja poniosła katastrofalną klęskę. Udział w głosowaniu do sejmu wzięło tylko 46 proc. uprawnionych (w stolicy niecałe 30 proc.) i w dodatku zaledwie 40 proc. głosów uznano za ważne. Według obliczeń Witosa rząd poparło ok. 10—20 proc. wyborców.

Politycznie rzecz biorąc trud Józefa Piłsudskiego okazał się syzyfowy. *„Zabrzmi to paradoksalnie* — pisze Andrzej Micewski — *ale właściwie wszystkie polityczne przedsięwzięcia Piłsudskiego skończyły się fiaskiem"*. A jeszcze większy paradoks polega na tym, że wbrew logice kolejne klęski nie tylko nie szkodziły jego legendzie, lecz wprost przeciwnie — co również zauważył Micewski — *„w jakiś przedziwny sposób podsycały tę legendę"*. W społeczeństwie naszym zresztą zwykle dzieje się odwrotnie niż na zdrowy rozum można przewidywać. Takie mam nieodparte wrażenie.

Najciekawsze bodaj jest to, że postać Piłsudskiego fascynuje ludzi, którzy programowo domagają się wolności, pluralizmu, demokracji. Podobno stoczniowcy gdańscy chcieli w 1981 r. nazwać swój zakład imieniem Józefa Piłsudskiego?! W każdym bądź razie tzw. opozycja demokratyczna czy antysocjalistyczna podsycała kult tego dyktatora. Wołaniom o wolność towarzyszyła nie ukrywana tęsknota za wodzem i systemem autorytarnym.

Ale dlaczego Piłsudski i jego ludzie ponieśli klęskę? Stanisław Ignacy Witkiewicz był zdania, że Marszałek nie spełnił swego powołania z trzech względów: miał do czynienia z narodem o licznych wadach, obawiał się dezorganizacji w przypadku radykalnych reform, nie zawsze potrafił dobrać współpracowników na odpowiednim poziomie intelektualnym. Wyjaśnienie to jest, moim zdaniem, niedalekie od prawdy. Warto tu jeszcze odnotować, że Witkacy niezwykle krytycznie wypowiadał się o naszych cechach narodowych i proponował drastyczne środki postępowania. W latach trzydziestych pisał: *„Trzeba zacząć walić w mordy, myć niechlujne pyski i głowy trząść, i łbami zafajdanymi walić o jakieś chlewne ściany z całych sił, bo naprawdę, jak przyjdą wypadki przerastające naszą epokę obecną... to mogą zastać już nie naród, a kupę płynnej zgnilizny..."*. Zupełnie — prawda? — jak czytalibyśmy Piłsudskiego.

Kiedy w maju 1926 r. Marszałek gwałtem brał władzę, podkreślał, jak pamiętamy, że dokonuje próby, czy można w Polsce rządzić demokratycznie (*„bez bata"*) Ponieważ im dłużej rządził, tym używał dosadniejszych wyrażeń i drastyczniejszych środków, można przypuszczać, że próba wypadła negatywnie, że doszedł do wniosku, iż Polacy wymagają rządów silnej ręki. Ale przecież terrorem też niewiele zdziałał. Powstaje zatem pytanie: w jaki sposób najlepiej rządzić naszym narodem? Czy można jakoś przezwyciężyć polską „abnegację państwową"? Czy w ogóle jest możliwa w Polsce konstruktywna w s p ó ł p r a c a władzy państwowej i społeczeństwa? Ulubiony bohater Piłsudskiego — tak, tak! — margrabia Aleksander Wielopolski na ofertę współpracy ze strony „białych" odpowiedział: *„Waszego ani niczyjego poparcia nie żądam i nie potrzebuję. Dla Polaków można czasem coś dobrego zrobić, ale z Polakami nigdy"*. Łatwo zauważyć, że Piłsudski często tak działał, jak gdyby (świadomie czy nieświadomie) stosował przytoczoną maksymę. My jednak pod żadnym pozorem nie możemy jej przyjmować i musimy wciąż czynić nowe próby, czyli inaczej nowe „odnowy" — aż do pozytywnego skutku.

EDMUND LEWANDOWSKI

Bogactwo 66 lat historii

„W dymach czarnych budzi się Łódź" jest to praca dotycząca dziejów robotniczej Łodzi, ukazująca tradycję i historię łódzkiego ruchu robotniczego w latach 1882—1948, a więc od czasów Wielkiego Proletariatu aż do zjednoczenia polskiego ruchu robotniczego i powstania PZPR.

Autorzy pracy: **Alina Barszczewska-Krupa, Barbara Wachowska, Stefan Banasiak Tadeusz Czapliński, Ryszard Nazarewicz i Paweł Samuś**, wykorzystując niezwykle szeroką i bogatą bazę źródłową, głównie z Archiwum KŁ PZPR i KW PPR, ŁKR PPS i WK PPS, WRZZ, Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Łodzi oraz łódzkiej MRN, ukazują organizacje robotnicze, partyjne i związkowe działające w Łódzkim Okręgu Przemysłowym w 66 latach jego historii.

Podkreślmy za **A. Barszczewską-Krupą**, autorką rozdziału **„Rodowód"**, iż już na progu lat 70-tych XIX w. Łódź, wraz ze swym okręgiem, znajdowała się w Królestwie Polskim na drugim po Warszawie miejscu pod względem koncentracji przemysłu i klasy robotniczej. W guberni piotrkowskiej w 1869 r. na każde 1000 mieszkańców przypadało 33 robotników, w tym 22 włókniarzy. Już wówczas włókniarze okręgu łódzkiego stanowili 73—80 proc. zatrudnionych w przemyśle bawełnianym i ok. 30 proc. całej klasy robotniczej Królestwa! Od roku 1870 notowano w Łodzi najszybszy wzrost liczby mieszkańców i największy odsetek klasy robotniczej: tak np. w latach 1864—1892 liczba mieszkańców miasta wzrosła z ok. 60 tys. do ok. 400 tys., a liczba zatrudnionych w przemyśle włókienniczym z 7 tys. do ponad 32 tysięcy!

Alina Barszczewska-Krupa charakteryzuje genezę łódzkiej klasy robotniczej oraz etap kształtowania się zorganizowanego ruchu robotniczego w latach 1871—1878. Pierwsze polskie kółka socjalistyczne powstały jesienią 1878 r. z inicjatywy socjalistów warszawskich: **Ludwika Dziankowskiego, Adama Sikorki i Stanisława Wichrzyckiego.** Kolejnym etapem rozwoju organizacji robotniczych w okręgu łódzkim było powstanie kółek „Proletariatu" wiosną 1883 r. w Łodzi i Zgierzu — ich organizatorami byli m.in **Ksawery Kieffer, Alfons Łukawski Józef Wicki, Stanisław Buraski, Jan Pietrusiński, Teofil Bloch, Leon Degórski i Jan Helszer** — czterej ostatni to tkacze ze zgierskiej fabryki Borsta, oskarżeni w słynnym procesie 29 proletariatczyków z 1885 roku. Po aresztowaniach członków „Proletariatu" w 1884 r. praca kółek łódzkich, zgierskich i tomaszowskich kierował doświadczony działacz socjalistyczny z Tomaszowa, 32 letni tkacz, członek Komitetu Centralnego partii — **Franciszek Cobel.** „Rodowód" zamykają wydarzenia słynnego „Buntu Łódzkiego" z 1892 roku.

Wydarzenia Rewolucji z lat 1905—1907, a także działalność łódzkiego ruchu robotniczego w okresie poprzedzającym powstanie II Rzeczypospolitej omawia w rozdziale **„W walce o wyzwolenie narodowe i społeczne 1893—1918" Paweł Samuś.** Wiele uwagi poświęca wydarzeniom słynnego Powstania Czerwcowego 1905 roku w Łodzi. W walce tej proletariat Łodzi poniósł ciężkie straty, które w literaturze historycznej szacuje się na 1500—2000 zabitych i rannych. Pomimo klęski powstania, walki barykadowe proletariatu łódzkiego miały doniosłe znaczenie dla umacniania solidarności proletariatu polskiego nie tylko w Królestwie, ale i na pozostałych ziemiach polskich pozostających pod zaborami, a ponadto wywoływały akcje solidarnościowe proletariatu rosyjskiego.

Barbara Wachowska, w rozdziale **„Między wojnami"** omawia działalność łódzkiego ruchu robotniczego w okresie II Rzeczypospolitej, charakteryzując różne jego odłamy polityczne: lewicowe KPP i PPS, burżuazyjne — np. NPR, chrześcijańsko-społeczne SRCh i inne, a także różne odłamy ruchu związkowego: klasowy „Pracę", chadecki Swoją uwagę skupia szczególnie na organizacjach lewicy robotniczej, w tym także lewicowych organizacjach młodzieżowych, takich jak ZMK czy Kombud. Ukazuje genezę i przebieg kryzysów wewnętrznych w łonie polskiego ruchu robotniczego w latach 1924—1926 oraz na ich tle charakterystyczne zjawiska i procesy, zachodzące w środowisku łódzkiej klasy robotniczej. Przedstawia wreszcie problematykę walki klasowej proletariatu łódzkiego w okresie wielkiego kryzysu gospodarczego w latach 1929—1933 oraz drogę lewicy robotniczej ku jednolitemu frontowi demokratycznemu i antyfaszystowskiemu w końcowym okresie istnienia burżuazyjnej Polski.

Tadeusz Czapliński i Ryszard Nazarewicz w **„Latach okupacji"** omawiają sytuację łódzkiego ruchu robotniczego w okupowanej przez hitlerowskie Niemcy Polsce. Autorzy charakteryzują przebieg działań bojowych na Ziemi Łódzkiej w wojnie obronnej 1939 r. oraz działalność hitlerowskich władz okupacyjnych na tym terenie, który na mocy decyzji Hitlera z 9 listopada 1939 roku został wcielony do Rzeszy, w ramach tzw. Kraju Warty z siedzibą władz w Poznaniu. Okręg łódzki stał się obiektem bezwzględnej polityki antypolskiej władz niemieckich z Arturem Greiserem na czele, b. przywódcą gdańskich hitlerowców. Dekretem z 4 grudnia 1941 r. ludność polska i żydowska wyłączono spod ustawodawstwa niemieckiego i poddano przepisom wyjątkowym. Rozpoczął się wobec niej hitlerowski terror, realizowany przede wszystkim na drodze eksterminacji fizycznej.

T. Czapliński i R. Nazarewicz charakteryzują genezę i działalność ruchu oporu w Łodzi i okręgu łódzkim, gdzie wobec zdziesiątkowania inteligencji polskiej główny ciężar walki narodowowyzwoleńczej wzięła na siebie klasa robotnicza. W warunkach głębokiej konspiracji wznowiły działalność łódzkie ogniwa partii legalnej opozycji antysanacyjnej: PPS, SP, SL i SN a także cały szereg organizacji wojskowych o różnych „odcieniach" politycznych. Szczególnie wiele miejsca poświęcają autorzy omówieniu działalności lewicowych odłamów ruchu robotniczego w Łodzi, związanych z działającą do 1938 r KPP, a także PPS i od 1942 r — PPR. Po napaści Niemiec hitlerowskich na ZSRR komuniści i socjaliści łódzcy zacieśnili współpracę w działalności antyhitlerowskiej czego wyrazem było m.in. utworzenie 24 lipca 1941 r. Komitetu Obrony Miasta Łodzi, który miał zorganizować pomoc dla wojsk radzieckich z chwilą ich wkroczenia na ziemie polskie (przewidywano tu rychłą klęskę Niemiec w wojnie ze Związkiem Radzieckim!).

W Łodzi podjęła działalność organizacja „Front Walki za Naszą i Waszą Wolność" (z udziałem działaczy lewicowych, **m.in. Tadeusza Głąbskiego, Jana Szwajdy, Stanisława Golębiowskiego, Jana Piątkowskiego, Ignacego Logi-Sowińskiego, Mieczysława Moczara i Czesława Szymańskiego).** W połowie maja 1942 r. powstała w Łodzi pierwsza komórka organizacyjna PPR a następnie utworzono Łódzki Komitet Obwodowy PPR i Dowództwo Obwodu GL. W styczniu 1943 r. PPR w obwodzie łódzkim liczyła już ok. 2000 członków tj. około 1/4 całego stanu partii!

„Droga do zjednoczenia" autorstwa **Stefana Banasiaka** traktuje o dziejach łódzkiego ruchu robotniczego w pierwszych latach Polski Ludowej, ukazując działalność organizacji PPR i PPS oraz ZWM i OM TUR po wyzwoleniu. Pod koniec roku 1945 łódzka organizacja PPR liczyła prawie 9 tys. członków, PPS niecałe 13 tys. (bez organizacji w Rudzie Pabianickiej), ZWM ok. 4 tysięcy, a OM TUR ok. 1,2 tys. członków. Autor omawia udział tych organizacji w odbudowie przemysłu łódzkiego, odzyskaniu mienia, maszyn i urządzeń zagrabionych przez okupanta, akcji aprowizacyjnej na wsi, a także ukazuje proces kształtowania się władz administracyjnych miasta i okręgu.

7 marca 1947 r. odbyło się pierwsze posiedzenie plenarne MRN w Łodzi (w sali Teatru Miejskiego przy ul. Cegielnianej 27 — obecnie Teatr im S. Jaracza). W 78-osobowej radzie zasiadło wówczas po 20 przedstawicieli obu partii: PPS i PPR, 12 reprezentantów ruchu związkowego (ORZZ), 10 członków SD, 5 reprezentantów SL i po jednym przedstawicielu pozostałych organizacji społecznych i politycznych. Łódzka rada miejska wybrała też 5 posłów do KRN: **Władysława Nieśmiałka** z PPR, **Dominika Wachowicza** z PPS, **Kazimierza Gallasa** z SD oraz **Lucjana Głowackiego i Eugeniusza Stawińskiego** z ORZZ.

S. Banasiak rozważa udział społeczeństwa łódzkiego w ważnych wydarzeniach społeczno-politycznych, które w latach 1946—1947 kształtowały zarysy ustrojowe socjalistycznego państwa polskiego: Referendum Ludowe z 30 czerwca 1946 r. oraz wybory do Sejmu Ustawodawczego z 19 stycznia 1947 r. Wyniki referendum w okręgu łódzkim kształtowały się następująco: 71,7 proc. głosowało za zniesieniem Senatu (68,2 proc. w skali ogólnokrajowej), 80,4 proc. opowiedziało się za reformą rolną i nacjonalizacją przemysłu (w kraju 77,3 proc.) a aż 94,7 proc. akceptowało trwałość powojennych granic na Odrze, Nysie Łużyckiej i Bałtyku (w skali ogólnokrajowej 91,4 proc.). Tak więc w porównaniu z wynikami referendum w skali ogólnopolskiej głosów na „tak" było w Łodzi i okręgu 3—4 proc. więcej.

Odmiennie natomiast zakończyły się na Ziemi Łódzkiej wybory do Sejmu Ustawodawczego Łodzianie oddali na Blok Demokratyczny tylko 71,1 proc. głosów (80,1 proc. w całej Polsce), natomiast na listę SP głosowało aż 28,9 proc. wyborców łódzkich (4,7 proc. w skali krajowej). Jak pisze S. Banasiak, na mniej korzystne w łódzkim wyniki wyborów dla Bloku Demokratycznego wpłynęły m.in. trudna w owym czasie sytuacja w przemyśle i związany z nią spadek stopy życiowej łódzkich robotników i ich rodzin niepełna aprowizacja w mieście, a także niekorzystne w okręgu łódzkim trendy demograficzne (lista SP uzyskała tutaj aż 16,4 proc wszystkich głosów oddanych na to stronnictwo w całym kraju!). W wyniku wyborów łódzkie uzyskało 10 mandatów poselskich w Sejmie Ustawodawczym: po 3 miejsca dla PPR, PPS i właśnie SP oraz 1 dla SD.

Po Kongresie połączone organizacje partyjne w okręgu liczyły ponad 55 tys. członków PZPR 23 grudnia 1948 r egzekutywa KŁ PZPR wybrała na I sekretarza **Władysława Dworakowskiego**, II sekretarza **Stanisława Duniaka**, ekonomicznego **Adama Żebrowskiego** i na organizacyjnego **Jana Grudzińskiego.**

„W dymach czarnych budzi się Łódź — Z dziejów łódzkiego ruchu robotniczego 1882—1948". Wydawnictwa Łódzkiego 1985 — wielka synteza dziejów proletariatu łódzkiego o encyklopedycznym wręcz charakterze. Szkoda, że wydane zostało w „mikroskopijnym" wręcz, jak na tego typu publikację, nakładzie 1000 + 300 egzemplarzy! I jest to jeden z najpoważniejszych zarzutów.

Kolejna uwaga negatywna odnosi się do pewnej jednostronności merytorycznej omawianej pracy, w której uwaga autorów skupia się głównie na lewicowym nurcie łódzkiego ruchu robotniczego, często nazbyt wyraźnie zaniedbując charakterystykę istniejących organizacji partyjnych, młodzieżowych czy związkowych, reprezentujących w ruchu robotniczym orientacje prawicowe, liberalno-demokratyczne czy chadeckie, mniej znane społeczeństwu, a szczególnie ludziom młodym. Zbyt rzadko też autorzy odwołują się do prezentacji omawianych zagadnień na tle szerokiej panoramy działalności ruchu robotniczego w skali kraju, ukazania wzajemnych związków i zależności łódzkiego proletariatu z całą polską klasą robotniczą.

JULIUSZ A. PIEŃKOWSKI

Obawa przed starzeniem

Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych Polskiej Akademii Nauk w Łodzi powołano w 1972 roku uchwałą Prezydium PAN. Centrum skupiło kadrę chemików organików, fizykochemików i fizyków związanych wcześniej z Zakładem Polimerów Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego i Polskiej Akademii Nauk oraz Zakładem Związków Heteroorganicznych Instytutu Chemii Organicznej PAN. Organizację i funkcję dyrektora Centrum powierzono wybitnemu chemikowi organikowi prof. dr JANOWI MICHALSKIEMU, wieloletniemu wykładowcy na Wydziale Chemii Politechniki Łódzkiej.

— Panie Profesorze, jak doszło do utworzenia Centrum i to właśnie w Łodzi?

— Data formalnego powstania Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych nie oznacza, że praca jaką prowadzi Centrum rozpoczęła się dokładnie w tym momencie. Otóż na terenie Wydziału Chemicznego Politechniki Łódzkiej rozwijał się Zakład Związków Heteroorganicznych, który był częścią Instytutu Chemii Organicznej PAN w Warszawie. Taki układ nie sprzyjał jednak rozwojowi badań. Chemia związków heteroorganicznych, w szczególności chemia fosforu, rozwinęła się w takim stopniu, że prowadzenie badań w takim zakresie na terenie Wydziału Chemicznego PŁ przechodziło jego możliwości i potrzeby. Należało więc szukać takich rozwiązań, które zapewniłyby warunki rozwoju tych badań. Istniał poza tym Zakład Polimerów Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego i PAN. Udało się przekonać władze Polskiej Akademii Nauk, żeby z tych dwóch zakładów stworzyć samodzielną instytucję, która dysponowałaby dostateczną kadrą i warunkami pracy naukowej. Doprowadziło to do utworzenia Centrum właśnie w Łodzi. Władze miasta ze zrozumieniem odniosły się do nowo powstającej placówki naukowej, przeznaczając do remontu nie wykorzystane budynki miejskie. Siedziba Centrum jest mało efektowna z zewnątrz, ale w pierwszych latach istnienia jego wyposażenie było na poziomie nie odbiegającym od standardu światowego. Przez ten czas aparatura uległa w dużym stopniu zużyciu. Wiele aparatów jest czynnych tylko dzięki wysiłkowi naszych elektroników ale i te utraciły już swoje parametry precyzji w porównaniu do aparatów naukowych obecnej generacji. Jesteśmy optymistami, i wierzymy, że sytuacja ta ulegnie zmianie w takim stopniu, że nie wpłynie to na utratę naszej pozycji w nauce światowej i użyteczności dla kraju.

— Jeśli poprosiłabym o wymienienie nazwisk ludzi, którzy w głównej mierze przyczynili się do powstania Centrum to o kim przede wszystkim Pan Profesor by wspomniał?

— Przede wszystkim chciałbym wspomnieć nieżyjącego już niestety profesora Dionizego Smoleńskiego, znanego chemika, ówczesnego sekretarza naukowego Polskiej Akademii Nauk, który ze zrozumieniem odniósł się do potrzeby istnienia naszej placówki. Nasze Centrum wiele zawdzięcza prof. Marianowi Kryszewskiemu, fizykowi, kierownikowi Zakładu Polimerów Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego i prof. Stanisławowi Chrzczonowiczowi, dziekanowi Wydziału Chemicznego Politechniki Łódzkiej, który niestety nie doczekał chwili jego powołania.

— Biorąc pod uwagę doświadczenia przy organizacji Centrum jak uściśliłby Pan moment, w którym powinna zapadać decyzja o utworzeniu samodzielnej placówki PAN?

— Samodzielne placówki Polskiej Akademii Nauk powinny być tworzone dopiero wtedy, kiedy poważne zadania naukowe przekraczają możliwości szkolnictwa wyższego. Należy je specjalnie skoncentrować, dobrać większy zespół ludzi, wyspecjalizowaną aparaturę. Jestem ogólnie przeciwnikiem tego, co brzydko nazywa się „dublowaniem". Jeśli coś mieści się w zakresie możliwości szkół wyższych, należy to w nich utrzymywać. Natomiast nie można osłabiać wyższych uczelni poprzez tworzenie placówek PAN.

— W Centrum pracują zespoły naukowe o różnych profilach i kierunkach działania, skupiające specjalistów z zakresu chemii, fizyki i chemii bioorganicznej, chemii i fizyki polimerów, chemii biopolimerów. Czym więc właściwie zajmujecie się?

— Zasadniczym celem naszych zespołów jest prowadzenie badań nad złożonymi zagadnieniami struktury i przemian molekularnych małych i wielkich cząsteczek chemicznych...

— Używa Pan Profesor pojęć, które nie są jeszcze dostatecznie spopularyzowane...

— Zapewne ma pani na myśli sformułowanie „badania molekularne". Można tu nawiązać przy okazji do nazwy Centrum. Badania molekularne to współczesny sposób określania chemii bez uciekania się do klasycznych podziałów, które dzisiaj zanikają. Zajmujemy się chemią organiczną i nieorganiczną, chemią fizyczną, chemią wielkich i małych cząsteczek. Wszystko to odbywa się w zakresie podstawowych własności materii chemicznej, opisywanej wspólnymi prawami na bazie najnowszych zdobyczy nauk fizycznych. Podział na klasyczne działy chemii w naszym przekonaniu stracił sens i przeszkadza badaniom o charakterze interdyscyplinarnym.

Zajmujemy się głównie chemią fosforu, siarki i krzemu, która łączy się zarówno z ważnymi problemami chemii organicznej, jak i chemii polimerów oraz ma wielkie znaczenie dla poznania mechanizmów biologicznych i współczesnej, szeroko rozumianej, biotechnologii. Służenie przez chemię współczesnej biologii uważamy za bardzo ważną dziedzinę naszej działalności. Oczywiście nasze możliwości służenia praktyce nie ograniczają się tylko do tego. Wystarczy wymienić środki ochrony roślin, związki poprawiające własności materiałów, polimery o specjalnych własnościach dla medycyny i gospodarki materiałowej.

— Czy mógłby Pan przybliżyć działalność i osiągnięcia poszczególnych zakładów?

— Oczywiście. Opanowane zostały metody syntezy fragmentów kwasów nukleinowych dla badań enzymatycznych i inżynierii genetycznej. Osiągnięcia te związane z zakładem prof. W. J. Steca zamierzamy rozszerzać, służąc rozwojowi biotechnologii w Polsce. Wieloletnie działania zespołu zajmującego się chemią fosforu, kierowanego przeze mnie osobiście, miały istotny wpływ na rozwój przemysłu fosforoorganicznych środków ochrony roślin w Polsce. Rozwój stereochemii organicznych połączeń fosforu — jedno z ważniejszych zagadnień teoretycznych, któremu poświęciliśmy wiele uwagi, wniósł duży wkład w naukę światową i przyczynił się do znalezienia lepszych rozwiązań o znaczeniu praktycznym. Mogę z pewnym brakiem skromności powiedzieć, że gdziekolwiek prowadzone są badania w dziedzinie organicznej chemii fosforu, nie sposób nie zauważyć naszego wkładu w tę dziedzinę nauki. Jedną z cech wyróżniających naszą chemię jest łączenie fosforu i siarki. Interesujące przykłady tej działalności możemy znaleźć w pracy zakładu prof. M. Mikołajczyka, który posiada szczególne osiągnięcia w takich dziedzinach, jak wykorzystanie związków fosforo-siarkoorganicznych w syntezie organicznej połączeń o znaczeniu biologicznym i stereochemia połączeń siarki i fosforu o niższych stopniach utlenienia. Obecnie zespół ten podejmuje się działań, które doprowadziłyby do lepszego wykorzystania w Polsce naturalnych zasobów siarki.

Jak pani wiadomo poważna część naszego Centrum zajmuje się tym, co w języku bardziej klasycznym nazywa się chemią i fizyką polimerów, a w naszym słownictwie badaniami makromolekularnymi. Ogólne uznanie zyskały badania zespołu prof. M. Kryszewskiego w dziedzinie budowy subkrystalicznej polimerów, ich własności mechanicznych, elektrycznych, termicznych. Zespół prof. S. Penczka prowadzi pionierskie badania w dziedzinie polimeryzacji cyklicznych związków fosforoorganicznych w kierunku modeli naturalnych biopolimerów. Podejmowane będą wysiłki, aby ta dziedzina została racjonalnie wykorzystana w dziedzinie diagnostyki i wykorzystania leków.

Zespół prof. Chojnowskiego zajmuje się chemią krzemu zarówno w zakresie molekularnym jak i makromolekularnym. Wiele cennych wyników związanych jest z organiczną chemią krzemu i interesującą kombinacją chemii krzemu i fosforu. Chemia krzemu ma nieograniczone możliwości surowcowe. Stąd też ogromne możliwości rozwoju. Jest to realizacja przysłowiowego „kręcenia bicza z piasku". Dużo zawdzięczamy naszej analityce, którą kieruje prof. J. Binkowski. Nasza obsługa techniczna i administracja jest czynnikiem,

Foto: Grzegorz Gałasiński

który umożliwia nam wydajną pracę naukową.

— Średnia wieku pracowników naukowych zatrudnionych w Centrum wynosi 32–35 lat. Czy jest to efekt zamierzony?

— Dzięki temu, że jesteśmy instytucją stosunkowo młodą, mamy dopiero 12 lat, nie zdążyliśmy się zestarzeć. Staramy się, aby ludzie nie pracowali w Centrum za długo. Uważamy że zadaniem instytutu naukowego jest kształcenie młodej kadry, specjalistów w danej dziedzinie, którzy po kilku latach pracy w instytucie powinni zacząć pracować w branżowych laboratoriach i bezpośrednio w przemyśle. Instytut naukowy powinien być szkołą przygotowującą ludzi do pracy w postępie technicznym, a nie pseudouniwersytetem, na który przychodzi się po to, by zrobić doktorat i oczekiwać renty. Nie można doprowadzić do sytuacji, żeby w Centrum pracowali sami nawet najwybitniejsi samodzielni pracownicy nauki. Doszłoby do stanu szkoły nauczycieli bez uczniów. Instytuty PAN, prowadząc poważne badania naukowe, mając szerokie kontakty zagraniczne i pozycję w świecie nauki, powinny nie tylko rozwijać naukę, ale także szkolić ludzi do wdrażania tej nauki w życie.

Młodzi co prawda mają mniej doświadczenia, ale za to mają często świeższe spojrzenie na wiele spraw. Osobiście cenię młodych i lubię z nimi współpracować, starając się stworzyć atmosferę sprzyjającą krytycznej wymianie myśli. Ale jeśli w Polsce nic się nie zmieni w dziedzinie racjonalnego wykorzystania kadr naukowych, to możemy w końcu się zestarzeć.

— Jak można ocenić efekty 12-letniej już koncentracji tylu uczonych i zespołów badawczych?

— Prawdopodobnie jako pierwsi w Polsce prowadzimy w takim zakresie kompleksowe badania naukowe bez formalnego podziału na poszczególne dziedziny. Istnienie w Centrum tylu ludzi o różnym typie wykształcenia, a jednak podobnych zainteresowaniach naukowych powoduje bardzo szybkie przenoszenie się idei, ułatwia wzajemne konsultacje. Poza tym aparatura, którą posiada Centrum, jest w ten sposób znacznie racjonalniej wykorzystywana. Mamy powody sądzić, że niewiele jest placówek naukowych w kraju i świecie, w których dokonana została tak duża i owocna koncentracja wysiłków naukowych w dziedzinie chemii związków fosforo-, siarko- i krzemoorganicznych. Jesteśmy pożądanymi partnerami nauki światowej oraz coraz częściej naszej gospodarki.

— Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych utrzymuje ścisłą współpracę z zagranicą. Jego pracownicy uczestniczą w wielu konferencjach i zjazdach międzynarodowych. Centrum organizuje też konferencje w Polsce, na których gości uczonych z innych krajów. Fakty te niewątpliwie świadczą o waszych osiągnięciach naukowych na skalę światową.

— Efektem badań podstawowych w latach 1972—1985 jest przeszło 800 prac naukowych i monografii oraz 60 udzielonych patentów krajowych i zagranicznych. Byliśmy i jesteśmy nadal zapraszani do wygłaszania referatów wiodących na konferencjach i zjazdach zagranicznych. Prawie w każdym Komitecie Redakcyjnym zagranicznego wydawnictwa naukowego, związanego z kierunkami badań Centrum, jest nazwisko Polaka. Aktywnie uczestniczymy w wielu konferencjach międzynarodowych i sami takie konferencje organizujemy. Ostatnio w Sulejowie odbyła się konferencja dotycząca wspólnych aspektów fosforu, siarki i krzemu, na którą z własnej inicjatywy przyjechało siedmiu uczonych światowego formatu. Dla nas było to wielkie wydarzenie, ponieważ praktycznie była to śmietanka światowa w tej dziedzinie. Nasi pracownicy jeżdżą na staże zagraniczne i są tam bardzo wysoko oceniani. Można powiedzieć, że jeśli Łódź jest znana w świecie, to nie tylko przez jej kluby sportowe, ale może częściowo dzięki chemii fosforu, siarki i krzemu.

— Jakie są największe problemy Centrum?

— Przede wszystkim jest to obawa przed zestarzeniem się. Na skutek obecnego systemu doboru kadr w Polsce nie mamy szans na przekazanie wykwalifikowanych ludzi dla innych dziedzin nauki lub praktyki, a możliwości w tej dziedzinie powinien stwarzać odpowiedni system doboru kadr. Ale, jak to dobrze wiemy, model przekazywania i wykorzystania kadry naukowej w naszym kraju jest wadliwy. Starzeje się też aparatura, która jest bardzo droga, a my jesteśmy obecnie instytucją samofinansującą się. Czynimy jednak w tym kierunku energiczne działania. I jeszcze kwestia współpracy z przemysłem. Współpraca ta nie jest taka, jaka nam się marzy, ale tam, gdzie ją już nawiązaliśmy robimy wiele, aby była owocna. Jeśli już mówimy o tej dziedzinie, to musi się tu coś zmienić, bo obecny stan rzeczy nie jest bynajmniej optymalny. My, jako Centrum, jesteśmy przygotowani na współpracę, ale sama nasza inicjatywa i chęci bycia użytecznym są nic niewarte, jeśli druga strona nie przejawia w tym kierunku wyraźnej inicjatywy. Parafrazując znane powiedzenie Boya można powiedzieć, że w tym ambaras, żeby dwoje chciało i mogło naraz.

— Panie Profesorze, o czym jeszcze marzy dyrektor Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych?

— Chciałbym mieć więcej czasu na pracę naukową, który zabierają mi obecnie w dużej mierze sprawy typowo administracyjne...

— ...Ale czy jest zadowolony?

— Jestem względnie zadowolony z tego, co osiągnęliśmy. Fakt, że wymagało to większego wysiłku niż u wielu naszych kolegów za granicą, którzy są lepiej uzbrojeni w aparaturę naukową i szybkie źródła informacji. Liczne sprawy nadrabiamy własną pomysłowością. Nasze wyniki uzyskane w tak trudnych warunkach udowadniają, że wiele rzeczy można doprowadzić do pomyślnego końca pomimo trudności obiektywnych.

— Dziękuję bardzo za rozmowę.

Rozmawiała:
EWA LACHOWSKA

Bolesław Busiakiewicz

Pana Bolesława znałem od przeszło 20 lat, to jest od chwili, kiedy rozpocząłem pracę dziennikarską w Łódzkiej Rozgłośni. Pokój, w którym pracowałem z redaktorem Ludwikiem Szumlewskim mieścił się na parterze i stykał się bezpośrednio z płytoteką, kierowaną przez Bolbusia. Widywaliśmy się niemal codziennie.

Bolesław Busiakiewicz znany był z nadzwyczajnej uprzejmości dla płci pięknej. Wprawdzie był kawalerem, ale bardzo chętnie nawiązywał znajomości z paniami, zwłaszcza z tymi, które traktowały swój stosunek do mężczyzn z przymrużeniem oka. Był uprzedzony do oficjalnych związków małżeńskich i unikał na ten temat rozmów lub napomknień. Dla kobiet, które mu się podobały, był wyrozumiały i okazywał dla nich prawdziwie rycerską dżentelmenerię.

Charakteryzowały pana Bolesława jeszcze inne cechy, o których tak pisze w swoich wspomnieniach jego serdeczny przyjaciel, znany reżyser radiowy Tadeusz Markowski:

„...Widziałem go w rozmaitych, jakże kontrastowych sytuacjach (...) I jako ofiarę włamania, pozbawionego ubrań, futra itp., drepczącego w przyciasnej pożyczonej wiatrówce. Widziałem go wystraszonego przed pójściem na operację zesztywniałej przepukliny (...) i jako rekonwalescenta, który uradowany wycinał, można by rzec, gdyby nie tusza i wiek przedemerytalny, hołubce (...) Widziałem Bolesława piekłącego się, gdy wchodziło się do jego pokoju w Rozgłośni w sprawach służbowych — zawsze jakoś nie w porę. I uroczego rozmówcy, kiedy odwiedziłem go w domu, po uprzednim wszakże zamówieniu wizyty, bo może mieć gościa płci przeciwnej. Krzywiącego się niemiłosiernie, na samo napomknienie o ewentualnym wypożyczeniu jakiegoś drobiazgu z jego przebogatej kolekcji czasopism (...) Jego poczucie humoru hamowało reakcję pasjonata (...) W chwilach depresji bywał dziecięco naiwny (...)".

Pan Bolesław znany był ze swego ciętego języka, a przede wszystkim z płynącego wprost z jego dobrego serca humoru. Często w przystępie dobrego nastroju opowiadał o swoim pełnym przygód długim życiu, spędzonym pośród wybitnych ludzi i twórców, takich jak Stanisława Wysocka, Emil Zegadłowicz, Jan Kiepura i inni, o wspaniałym apetycie, którym go natura tak hojnie obdarzyła, o namiętnej żyłce gromadzenia wszystkiego, co miało coś wspólnego ze starymi książkami, płytami itp.

Posiadał niewątpliwie zdolności nadawania słowom nowego sensu i znaczenia, które dzięki niezwykłej jego wymowie stawały się czymś nowym, nabierającym jakiegoś głębszego znaczenia. Działała tu nie tylko nieprzeciętna jego inteligencja, oczytanie, entuzjazm dla sztuki, humor ale i sposób ich przekazywania za pośrednictwem głosu, gestu, postawy. Tym się też tłumaczy, że redaktorzy i technicy, współpracujący z panem Bolesławem, korzystali chętnie z jego towarzystwa, znajdując w obcowaniu z nim jakżeż odmienną — niż zazwyczaj — atmosferę, przyjemność i zadowolenie.

Takim był Bolesław Busiakiewicz. Niektórzy posądzali go o biurokrację i megalomanię, ale większość — mimo uszczypliwych uwag — akceptowała sposób jego bycia, rozwlekłą ale skuteczną w działaniu metodę załatwiania różnych spraw służbowych, ale przede wszystkim była zachwycona jego znawstwem i rzetelnością opisywanych w audycjach faktów, tak w formie, jak i w treści.

Odwiedzałem go często w jego mieszkaniu przy ulicy Kopcińskiego. Starałem się wydobyć w rozmowie bliższe szczegóły dotyczące jego rodowodu, pochodzenia, pierwszego okresu młodości sprzed pierwszej wojny światowej. Moje pytania zbywał półsłówkami. Dopiero na rok przed śmiercią udało mi się uzyskać trochę wiadomości.

Urodził się w Łodzi 23 sierpnia 1890 r. Pochodził ze starej rodziny pedagogów, osiadłej od wielu lat w Tuszynie pod Łodzią. Jego protoplastą był Łukasz Busiakiewicz, żyjący w drugiej połowie XVI wieku. Jako bakałarz uczył w miejscowej szkole tuszyńskiej. Stryjeczny dziadek wykładał w Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych w Warszawie, w jednej z najnowocześniejszych szkół tego typu w Europie. Bolesław nie chciał sprzeniewierzyć się wiekowej tradycji i postanowił również zostać pedagogiem. Uczęszczał do tego samego gimnazjum w Łodzi, co Julian Tuwim. Potem uczył się w doskonałej szkole „Zrzeszenia Nauczycieli" w Grodzisku.

Rok 1919 zapisał się na trwałe w pamięci Busiakiewicza. W tym roku bowiem udał się do Poznania, w którym spędził też 15 lat swego życia. Tu odbył studia pod kierunkiem takich wybitnych profesorów, jak Władysława Tatarkiewicza, Michała Sobieskiego, Tadeusza Lehr-Spławińskiego. Próbował pierwszych swoich umiejętności pisarskich w czasopiśmie literackim *„Zdrój"*.

Rok 1925 był przełomowym dla nowo kreowanego magistra filologii polskiej. W tym roku bowiem zainteresował się radiem i to od strony technicznej. Postanowił odtąd poświęcić się tej nowej pasjonującej dziedzinie upowszechnienia wiedzy. Toteż, gdy wkrótce została zorganizowana Rozgłośnia Poznańska, został zaangażowany do niej w charakterze początkowo redaktora pisma „Tydzień Radiowy", a później — po przejęciu funkcji redaktora przez Zenona Kosidowskiego — przeszedł na stałe do Rozgłośni Poznańskiej w charakterze spikera.

Następnym etapem działalności Busiakiewicza była nowo otwarta w Toruniu Rozgłośnia PR. Przebywał tu jako wytrawny specjalista. Po dwuletnim pobycie (1934—1936) w Toruniu wrócił do Łodzi i tu pozostał już na stałe.

Okres okupacji Bolesław przetrwał z konieczności w jakimś biurze. Po zakończeniu wojny zgłosił się natychmiast do organizującej się Rozgłośni w Łodzi. I tu znowu jak dawniej pracował początkowo jako spiker, a później jako kierownik płytoteki i autor wielu przetrwałych aż do ostatnich dni jego życia cyklicznych audycji: *„Koncert Życzeń"*, *„Aktualia i archiwalia"*, *„Alfabet muzyczny"*, *„Białe kruki wśród płyt"*, *„Calendarium kultury muzycznej"*, *„Mój antykwariat muzyczny"*, *„Kompozytorzy wykonawcami utworów własnych"*. Najbardziej popularne były *„Zagadki muzyczne"*, nadawane w programie ogólnopolskim. Cieszyły się one wyjątkowym powodzeniem, o czym świadczyły liczne listy, przesyłane z najodleglejszych zakątków kraju a także i z zagranicy. Pan Bolesław odbierał również liczne telefony z pytaniami odnośnie *„Zagadek muzycznych"*. W sumie Busiakiewicz stworzył około trzech tysięcy audycji, w tym około 600 zagadek muzycznych.

Bolesław pracował również społecznie. Kontynuował bardzo rozległą akcję odczytową, współpracował z *„Poradnikiem Muzycznym"*, przewodniczył przez kilka lat Stowarzyszeniu Przyjaciół Opery i był aktywnym członkiem Towarzystwa Przyjaciół Łodzi.

Bolesław Busiakiewicz po ciężko przebytej chorobie zmarł 17 czerwca 1971 roku.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

JOLANTA WROŃSKA

Puszczanie farbki

Bunt — to jest brzydkie słowo. Bunt zagraża ustalonym regułom gry, budzi niepokój, zmusza do porzucenia utartych zachowań. Bunt rzadko bywa usprawiedliwiany. No, chyba, że buntownicy okażą się górą.

Bunt rodzi się czasem błyskawicznie, pod wpływem impulsu, irracjonalnego odruchu Wystarczy byle iskra, by cały dotychczasowy porządek przewrócił się do góry nogami.

A czasem bunt narasta powoli, wzbiera cicho, podskórnie. Potrzeba wielu czynników, by się ujawnił I wtedy też nie musi gwałtownie eksplodować. Może się spokojnie rozlać, jak woda z przepełnionej wanny.

Gdyby na sprawę spojrzeć historycznie, można by stwierdzić, że pierwszym zalążkiem tego buntu była podjęta dwanaście lat temu decyzja. Decyzję podjęła administracja oświatowa.

Tak więc dwanaście lat temu łódzkie Liceum Plastyczne zyskało nowego dyrektora. Grono pedagogiczne, na ogół wysoko wykwalifikowanych fachowców zżytych ze szkołą od lat, powitało nowego szefa z ostrożną rezerwą, acz bez niechęci. Zwyczajnie, pożyje się, zobaczy.

Lata płynęły, szkoła pracowała normalnie i właściwie wszystko było w porządku. Tylko atmosfera trochę jakby śniedziała, jak w nie przewietrzonym pokoju. Drobne z pozoru zdarzenia, właściwie zdarzonka powolutku gromadziły się w nieprzyjemny osad. Nadal było normalnie, jak gdzie indziej, jak w życiu. Są konflikty i nieprzyjemne zgrzyty, czasem wydarzy się coś większego. Norma. Nawet ogólny bilans złego i dobrego utrzymywał się w normie. Trudno w tym przypadku mówić nawet o jakiejś aferze, czy szczególnie ostrym konflikcie. Nie dzieje się nic specjalnego, nie ma powodu, by miasto huczało od plotek. Kogóż mogą poruszyć drobiażdżki, że ktoś kogoś nie lubi, albo podkłada mu świnkę, albo po prostu korzysta z większych możliwości, jakie daje nowoczesny podział pracy? Jak to między ludźmi. Czasem z takich ziarenek rodzi się afera, a czasem wszyscy zapominają o sprawie nazajutrz

ZIARENKA KIEŁKOWAŁY

psując misterną równowagę układu. Aż stało się jasne, że nauczyciele mają swego dyrektora dość. Nie, nie wszyscy jak jeden mąż. Byłoby szkodliwym uproszczeniem mniemać, że wszyscy nauczyciele jednakowo oceniali swego szefa Zawsze jest tak, że istnieją oponenci niezadowoleni oraz tacy, którym status quo odpowiada w najwyższym stopniu Oczywiście są też tacy, których to i owo uwiera, ale którym nigdy nie przyszłaby do głowy myśl, że oni sami mogliby coś zmienić.

Po prostu znaleźli się tacy, którzy mieli już całkiem dość i postanowili działać. Najpierw trzeba było ustalić jasno i wyraźnie dlaczego tego dyrektora ma się dość. Lista zarzutów objęła ogólnie mówiąc zagadnienia, z tak niestety ulotnej i nie dającej się sprecyzować sfery, jak stosunki międzyludzkie. Miano otóż za złe dyrektorowi, że wrzeszczy na swoich podwładnych, że potrafi się zdobyć na chamstwo, że wobec zespołu prowadzi politykę absolutnego satrapy. Szemrających uciszа krzykiem albo straszy swymi wysoko postawionymi sojusznikami, albo grozi ograniczeniem praw socjalnych. W tej mierze zresztą dyrektor — zdaniem podwładnych — wykazywał się dużą zręcznością.

Wiadomo, nauczyciel też człowiek, ma rodzinę, niezbyt dużą pensję i czasem chciałby skorzystać z przysługujących mu przywilejów socjalnych. Już to refundacji za wczasy rodzinne, już to dopłat za dodatkowe obowiązki. Delikatna to materia, oparta na mnóstwie wzajemnych powiązań. Należy do niej układanie korzystnego rozkładu zajęć dla nauczyciela, ustalanie wspólnych działań na Radzie Pedagogicznej i cały szereg innych W tym układzie kluczową rolę spełnia ten, kto dysponuje prawem decyzji Jeśli zręcznie pokieruje sprawą, bez problemu uzyska stan nie kontrolowanej przez nikogo władzy. Władza, zaś ma to do siebie, że nie kontrolowana, rodzi poczucie bezkarności. A stąd już blisko do autokratyzmu. I do popełnienia śmiertelnego grzechu przesady.

No więc przyszedł taki moment, kiedy zbuntowani nauczyciele zapytali swego przełożonego, dlaczego to za jego rządów tak znacznie wzrosła fluktuacja wśród wykwalifikowanych nauczycieli, zwłaszcza tych, uczących przedmiotów zawodowych, czyli plastyków różnych specjalności? Jak to się stało, że przez te dwanaście lat żaden kolejny I sekretarz POP nie wytrzymywał dłużej niż rok i składał swą funkcję? Dlaczego dyrektor nie zatwierdził regulaminu gospodarowania zakładowym funduszem socjalnym, rozesłanym do szkół przez Wydział Kultury Urzędu Miasta Łodzi? Dlaczego udaje, że nie pamięta, iż na Radzie Pedagogicznej przegłosowano wniosek o powołaniu szkolnej komisji socjalnej? A kiedy wreszcie komisja powstała, jej skład dyrektor ustalił bez porozumienia z kimkolwiek, uznając, że I sekretarz POP, prezes Ogniska ZNP, jego osobista sekretarka jeden szeregowy nauczyciel i on sam, będą najbardziej pożądanym gronem do pilnowania spraw socjalnych. Tak się akurat złożyło, że właśnie niesnaski tyczące spraw socjalnych nauczycieli wywołały pierwszą oznakę narastającego buntu, sygnalizując szerszy kontekst konfliktu.

TEN SZERSZY KONTEKST

zawiera w sobie m.in. spór o podział kompetencji W Liceum, obok normalnej Rady Pedagogicznej władnej w sprawach nauki, wychowania i spraw ogólnych szkoły, funkcjonuje także Rada Artystyczna Do jej kompetencji należą zagadnienia merytoryczne z zakresu plastyki, oceny prac i inne tego typu. Istnienie tego drugiego ciała, grupującego fachowych nauczycieli przedmiotów zawodowych, stanowiło pewne niebezpieczeństwo dla dyrektora. Chęć ogarnięcia bez reszty wszystkich obszarów swą kontrolą spowodowała uwiąd autonomii Rady Artystycznej. Nie wyszło to na zdrowie poziomowi artystycznemu, rozwojowi swobody twórczej oraz jakości prac — czyli tym celom, dla których powołano liceum plastyczne do życia. Tak się bowiem złożyło, że dyrektor, aczkolwiek, jak sam stwierdził, głęboko wykształcony, nie posiadał niestety żadnych kompetencji plastycznych, co więcej, zarzucano mu całkowity brak smaku artystycznego.

Miało to i tę wadę, że Rada Artystyczna została zupełnie pozbawiona możliwości wyboru i oceny realizacji zamówień plastycznych, jakie otrzymywała szkoła z zewnątrz. Zamówienia realizowali uczniowie, dyrektor spijał pochwały z ust usatysfakcjonowanych kontrahentów, ale opiekun merytoryczny uczniów nie miał z tego nic. I bardzo niedobrze, gdy się upomniał o swój wkład w prace zrealizowane. Wśród uczniów i nauczycieli panowało przeświadczenie, że dzieje się coraz gorzej, bowiem coraz częściej zdarzały się przypadki, że wykonane przez uczniów prace znikały ze szkoły w tajemniczy sposób. Co gorsza, były to zwykle te lepsze, bardziej udane prace. Istniało i umacniało się uprawnione domniemanie, że prace te dyrektor sprzedawał na zewnątrz lub też czynił z nich prezenty. Ani Rada Artystyczna, ani twórca dzieła nie byli informowani o sprzedaży czy w ogóle o losie dzieła.

Skoro już o uczniach mowa, dodać trzeba, że do nauczycieli docierały głosy, jakoby uczniowie zmuszani byli do wykonywania „szczególnych zamówień" tzn. musieli — powiedzmy — namalować obrazek o nakazanej tematyce i nakazanym formacie. Nikt nigdy już tych prac nie oglądał Mieli też uczniowie rozmaite przemyślenia na temat zupełnego zaniku aktywności organizacji młodzieżowych w szkole. Jakoś nie było atmosfery do samorzutnych inicjatyw. Kiedy zaś na bardzo wysokich szczeblach orzeczono, że samorząd uczniowski jest jednak rzeczą pożyteczną i należy młodzieży stwarzać warunki do przejawiania samodzielności i wyrabiania postaw obywatelskich, dyrektor — karny wykonawca wszystkich zarządzeń odgórnych — oczywiście się podporządkował. Wydał zarządzenie, że mają być samorządy klasowe. Więc samorządy powstały. Następnie zwołał apel wszystkich uczniów i oznajmił, że życzy sobie posiadać wypełnioną rubrykę w „temacie" — samorząd szkolny. Zadekretował niniejszym narodziny tegoż, poprzez wywołanie uczennicy X oraz Y I już Samorząd szkolny w liczbie dwóch mianowanych stał się faktem. Na marginesie już mieści się drobiazg, że uczniowie bywali świadkami „ustawiania" nauczycieli przez dyrektora i że nie cieszył się on najwyższym autorytetem w gronie swych wychowanków. Nie jest to jednak najistotniejsze, nie po to bowiem istnieje piramidalny moloch oświatowy, by uczniowie kochali swych wychowawców.

IDEA BUNTU

wykrystalizowała się w momencie, gdy część grona pedagogicznego uznała za konieczne przedsięwzięcie działań zaradczych.

Miały one polegać na przeprowadzeniu zasadniczej rozmowy z dyrektorem na Radzie Pedagogicznej. Rozmowa powinna ujawnić wszystkie, dotąd podskórnie tlące się ogniska zapalne, wspólnie zastanowić się nad usunięciem przyczyn zadrażnień i wyjaśnieniem niejasności Wreszcie, miano się zastanowić nad ustaleniem działań normalizujących i uzdrawiających atmosferę.. Tu jednak znać o sobie dało doświadczenie życiowe, które uczy, że oportunizm, nijakość i pragmatyczne trwanie, w ustalonych ramkach, najbardziej popłaca. A przynajmniej nie naraża na niepotrzebne nieprzyjemności. To co że ramki trochę przyciasne, że czasem coś uwiera w sumienie, albo że — tak między nami mówiąc, jest nieznośnie. Za to, z drugiej strony, cóż da bunt poza natychmiastową karą, a może nawet utratą posady. Co może zwojować zwykły szary człowiek, jeśli przez tyle lat nikt wyżej nie widział zła? To znaczy, że tak być musi i trzeba się dostosować.

Nie zapominajmy też o skutkach starożytnej zasady „dziel i rządź". Zastraszenie, albo obietnice, lub jaskrawe faworyzowanie jednych kosztem innych, owocuje na ogół bez pudła. Zawsze będą tacy co uwierzą w groźby i tacy, którzy liczą na spełnienie obietnic. No i wreszcie tacy, którym jest dobrze w aktualnym stanie rzeczy. Gromadka jednak zdecydowanych podejmuje działanie Pada propozycja wystosowania do władz zwierzchnich pisma z wyliczeniem wszystkich zarzutów nauczycieli pod adresem dyrektora i prośbą o odwołanie go ze stanowiska, bowiem dotychczasowe próby ułożenia wzajemnych stosunków nie powiodły się.

Z powodu tego projektowanego pisma zespół jeszcze bardziej się podzielił. Jest to zupełnie zrozumiałe i nie można mieć pretensji do przeciwników projektu. Dadzą się tu wyróżnić trzy nurty. Część grona optowała za kontynuacją Wersalu, tj. prób polubownego uregulowania konfliktu. Nie przekonywał ich dostatecznie przykład czynionych w tym kierunku prób, zakończonych zwykle jeszcze głębszym skłóceniem dyrektora i nauczycieli. Część może by poparła bunt, ale z rozmaitych powodów woli się nie wychylać i nie być zamieszana. U źródeł tej postawy można dostrzec oparta na doświadczeniu obawę o nieskuteczność protestu i duże prawdopodobieństwo dotkliwej zemsty. Część wreszcie zdecydowana była na wszystko, acz w starannie przestrzeganych ramach przyzwoitości.

Metod walki z buntem jest kilka. Można bunt utopić we krwi. Buntowników wycina się w pień, ideały buntu zasypuje piachem niepamięci i po krzyku. Można też bunt skanalizować podsuwając buntownikom cel zastępczy. A jak już pognają za mirażem w dzikie pola i wądoły, rozładowuje się napięcie w tzw. martwym polu ostrzału. Metoda trzecia polega na ośmieszeniu buntu. Robi się karykaturę celów i ideałów, jako zupełnie idiotycznych. Przecież wszystko jest w najlepszym porządku, czyż nie?

Najlepiej jest bunt zneutralizować. Poprzez poparcie buntu. A jeszcze lepiej jest stanąć na jego czele i poprowadzić go tam, gdzie się chce. Największym buntownikiem okaże się być jego adresat. To jest stara mądra metoda. Ma tylko jedną niebezpieczną rafę. Nadmiar miłości własnej i przekonania o własnej wspaniałości może wykluczyć odwagę. To jest trudność, fakt, ale z czasem nabiera się praktyki. I już się wie, że najlepsze bunty, to też kontrolowane, a najlepsze zmiany to te, które nie naruszają fundamentów.

Istnieje też metoda mieszana, stosowana najchętniej, jako że nie wymaga nadmiaru wyobraźni. Kij i marchewka. Trochę terroru, trochę kabotyńskiego bratania się ze zbuntowanym ludem, trochę obietnic. I bardzo dużo niewzruszonego przekonania, że tak naprawdę buntować się nie ma przeciw czemu, bo przecież jest cacy A buntownicy są „be" i najpewniej chodzi im o zajęcie stołka po obalonym rządcy.

Pan dyrektor najpierw chce wiedzieć, kto wywlókł sprawę poza szkołę, bo inaczej nie będzie mógł być szczery i otwarty. A poza tym nie może mówić, bo nie wie, czy to nie będzie obrócone przeciwko niemu. Mimo to pan dyrektor uważa za konieczne zakomunikować, że ludzie zgłaszający pod jego adresem rozmaite pretensje, to jest element moralnie dwuznaczny i politycznie niepewny Przecież dyrektor wie z kim musi pracować Musi, bo jak wiadomo nauczycieli brakuje i niestety trzeba tolerować to, co jest, choć wielu spośród grona nauczycielskiego należałoby zwolnić. Na szczęście nie wszyscy są tacy. Są także nauczyciele zdyscyplinowani, rozumiejący znaczenie właściwych stosunków w pracy. Dyrektor nie ma żadnych wątpliwości, że przyszło mu przestawać z ludźmi nie zawsze odpowiedzialnymi.

MÓWIĄC SZCZERZE

należy bez ogródek ujawnić wszystko. Dlatego dyrektor uważa za konieczne wskazać na skandaliczny stan morale niektórych nauczycieli. Przecież normalni ludzie nigdy by nie nagadali na swego przełożonego, nieprawdaż? Im po prostu nie chce się pracować. To są obiboki, lekceważący swe obowiązki. „Ci, którzy są przeciw mnie, nie mają moralnego prawa być nauczycielami"! Przecież pan dyrektor jest znany daleko poza szkołą, ze swej szczerości i otwartości. Można zapytać. Jeszcze raz należy podkreślić, że ci, co są przeciw dyrektorowi, to ludzie nieodpowiedzialni. Choćby sprawa krzyży w szkole. Jasne jest, że to z inspiracji niektórych nauczycieli. Dodać trzeba, że niektórzy z nich leczą się psychiatrycznie, są nienormalni.

Poza tym dyrektor jest przecież wyrozumiały i cierpliwy dla ludzkich słabości, tolerancyjny wobec światopoglądów. Jego gabinet często słyszał nawet bardzo osobiste wyznania skłopotanych nauczycieli przychodzących po radę i pociechę.

Pan dyrektor uważa, iż nie bez znaczenia dla sytuacji jest fakt, że w ogóle środowisko plastyków jest zdegrengolowane, skłócone i zawistne, żądne pieniędzy. A wobec tego posada w szkole uważana jest za zło konieczne i traktowana lekceważąco. Dlatego też kuleje współpraca zawodowych artystów i Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, która — acz — powinna — nie okazuje żadnego zainteresowania i opieki merytorycznej. Jednym słowem przyszło mu pracować z niewłaściwymi ludźmi, na trudnym, wymagającym odcinku zagrożonym różnymi przeszkodami. I jeszcze jedno — dyrektor nie zamierza się poddać w tej niewypowiedzianej wojnie i oddawać pola podżegaczom. Dlatego też zostanie przeprowadzone śledztwo, które to osoby powiadomiły prasę o sytuacji w szkole. Chociaż dyrektor doskonale wie o jakie osoby chodzi, praworządności musi się stać zadość.

Koniec roku szkolnego nie przynosi żadnych rozstrzygnięć. Zwołana Rada Pedagogiczna, tradycyjnie nie zostaje dopuszczona do głosu, próby uzmysłowienia dyrektorowi, że jego metody rządzenia nie znajdują już poparcia, nie dają żadnych rezultatów. Na koniec jeszcze groźba pod adresem buntowników, że już oni pożałują. Co strachliwsi pragnęliby się wycofać ze wszystkich protestów, a niektórzy nawet na piśmie oświadczają, iż swój podpis pod pismem protestacyjnym uważają za godną pożałowania nierozwagę.

W końcu żadnego pisma nauczyciele nie wysyłają, w gronie nie ma jedności, postawy się polaryzują. Niechęć do ponoszenia ryzyka przeważa nad świadomością istniejącego zła i konieczności przeciwdziałania mu. Choćby tylko w imię możności spoglądania w lustro bez obrzydzenia

Trwają, mimo wakacji próby łagodnego zażegnania konfliktu, jako że nawet najbardziej zdecydowani buntownicy uważają dyplomację za najbardziej pożądaną z dróg Jednak przebieg ostatniej, przedwakacyjnej Rady Pedagogicznej, zerwanej przez dyrektora i niedopuszczenie do głosu kogokolwiek, umacnia przekonanie, że musi nastąpić radykalne cięcie.

Mimo wszelkich wątpliwości dochodzi do podjęcia decyzji o wysłaniu do władz zwierzchnich pisma z żądaniem odwołania dyrektora, z którym grono pedagogiczne nie widzi już możliwości dalszej współpracy Jest koniec sierpnia, lada chwila rozpocznie się nowy rok szkolny. Jeśli decyzje nie zostaną podjęte teraz, wiadomo, wszystko się odwlecze Początek roku, to zwykle czas najbardziej nerwowy i pracowity. A potem? Potem będzie tak jak dotychczas, czyli nieznośnie.

WYNIKIEM DECYZJI NAUCZYCIELI

jest podjęte postępowanie wyjaśniające ze strony władz Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi.

29 sierpnia 1985 r. odbywa się pierwsza po wakacjach Rada Pedagogiczna w Liceum Plastycznym. Wśród gości są pracownicy Wydziału KiS, Wydziału Nauki KŁ oraz pracownik Ministerstwa Oświaty i Wychowania.

Atmosfera jest ciężka. Nauczyciele czekają na reakcję dyrektora I doczekują się. Pan dyrektor starannie przygotował się do narady. Przeprowadził zasadnicze cięcia personalne. Tak się złożyło, że karne zwolnienia dotknęły najbardziej niezbędnych nauczycieli przedmiotów plastycznych, a przy tym najgorętszych sygnatariuszy protestu. Inni nauczyciele specjalności zawodowych otrzymali karne przesunięcie do nauczania innych przedmiotów, na ogół nie mających nic wspólnego z posiadanymi kwalifikacjami Jest to zręczna i przeważnie skuteczna metoda załatwienia człowieka. Dać mu zadanie, któremu na pewno nie podoła. Gdyby wprowadzono w życie panadyrektorowe zarządzenia, praca szkoły zostałaby praktycznie sparaliżowana. Ale za to nieprawomyślni dostaliby w skórę, a o to chodziło.

Cisza po konferencji trwała wyjątkowo krótko. Z Wydziału Kultury i Sztuki UMŁ nadeszło pismo, mocą którego dyrektor łódzkiego Liceum Plastycznego został zawieszony w czynnościach. Reakcja dyrektora była równie szybka. Trzy miesiące zwolnienia lekarskiego. Pełniący obowiązki dyrektora, jego dotychczasowy zastępca kontynuuje politykę swego poprzednika wobec buntowników. Nie z taką już jednak determinacją, jako że stan zawieszenia nie sprzyja decydującym krokom. Zawsze to lepiej poczekać co postanowi zwierzchność.

Owo zawieszenie owocuje dodatkowo całkiem niespodziewanymi skutkami. Do szkoły zaczęły napływać przedmioty pozostające „na stanie" majątku szkolnego, a od dawna nie widziane. Przeważnie były to przedmioty „wypożyczone" na czas nieokreślony przez dyrektora, m.in. pralka automatyczna, buty narciarskie i inny sprzęt sportowy, książki ze szkolnej biblioteki. Trochę to niedobrze, że te przedmioty wracają do szkoły bez żadnego komisyjnego pokwitowania. Jakże będzie dowieść, że kiedykolwiek opuściły one szkolne gabinety i magazyny.

Zastępca dyrektora życzył sobie, by nie informować młodzieży o powodach nieobecności dyrektora Bo mogłoby to poderwać autorytet, a nie wiadomo jak będzie dalej.

Grono pedagogiczne, poddane dużemu ciśnieniu różnie przechodzi czas próby Blisko połowa tych, którzy podpisali pismo protestacyjne, odżegnuje się od swej decyzji. Boją się, że w razie powrotu dyrektora zemsta będzie dotkliwa. Ich obawy nie są bezpodstawne, gdyż dyrektor — zgodnie z przysługującym mu prawem — odwołał się do Ministerstwa Kultury i Sztuki. Czy ministerstwo uzna jego racje? Z kół zbliżonych do decydentów oświatowych napływają sygnały uspokajające. Mówi się, że to już niemożliwe. Jak będzie zobaczymy?

■

ze str. 1

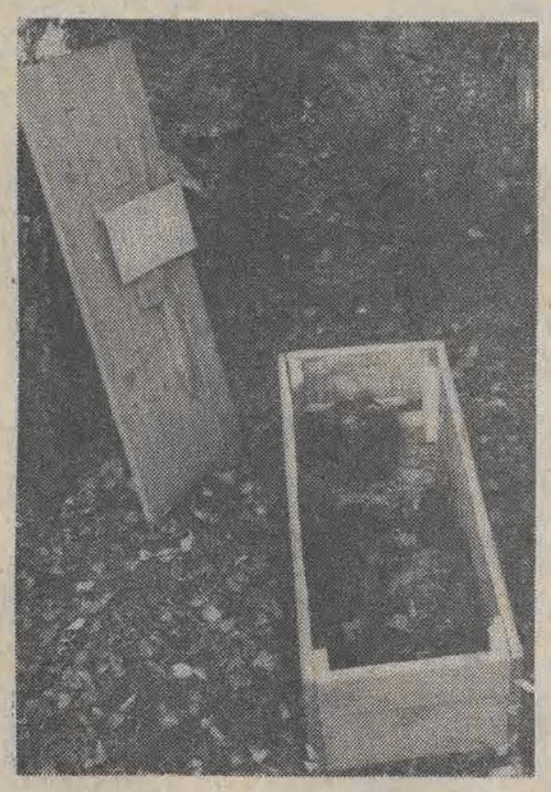

Wiosną nadejdzie woda

dzienne żurawie. Ogromne buldożery łamały wszystko, zmiatały na jedną kupę gruzu i wnet z siedliska pokoleń całych zostawał jeno wyorany dół, pod dno zbiornika przeznaczony. A ludzie, którzy tutaj na świat przyszli, tu korzeniami wrośli w lichą, ale swoją przecie ziemię, i tu zamiarowali dni ostatnich doczekać, stali teraz na boku, mokre oczy dłońmi zakrywając. Potem szli do nowych murowanych domów po tamtej stronie betonowych wałów nową ziemię obsiać, bo życie czekać nie chce, a ziemia gospodarza mieć musi. Tak ustępowali wielkiej budowie.

Tylko Sobczakowie z Siedlątkowa za nic na świecie nie chca się wynieść. Nie chca i już. Właściwie to nie ma już Siedlątkowa. I Łyszkowic, i jeszcze paru wiosek. Jest brunatne dno retencyjnego zbiornika. Na nim jedna tylko kępa drzew i walące się domostwo. Tam właśnie mieszkają Sobczakowie. Jak na wyspie. Wokoło krążą spychacze, ryczą silniki betoniarek. A Sobczakowa doi krowę. Trzęsą się ręce Sobczaka, kapią słone łzy. Byi u nich sam wojewoda, był naczelnik, byli z radia i z gazet. Prosili, namawiali, ostrzegali. Niedawno suka Sobczaków znowu się oszczeniła, małe szybko rosną. Będą bronily domu przed złymi ludźmi...

Wiosną przyjdzie tu wielka woda.

Utrudniają tylko Sobczakowie i stary cmentarz w Miłkowicach. Na drugim brzegu zalewu stoi kościół świętego Marka. Trzeba było otoczyć go wysokim nasypem, żeby woda nie podmyła murów. Teraz kościelna wieża góruje nad sztucznym półwyspem niczym morska latarnia. Ale Sobczaków nie można odgrodzić. Muszą się wynieść. Cmentarz też musi. Bo wyszło, że tam właśnie będzie brzeg zbiornika.

Umarli nie protestują.

W Miłkowicach wiedzą, że na Warcie będzie tama i wielki zbiornik co szmat ziemi przytopi. Wiedzą, że taki zbiornik to ratunek dla ich pól, każdej wiosny do cna zalewanych. A kiedy budowla stanie, wtedy nieposłuszna rzeka będzie musiała człowieka słuchać, w pole bez pozwolenia nie wyjdzie, oziminy nie spłucze. I najważniejsze, że wieś ocaleje. Wszystkie chałupy. Może nawet tego skorzysta na tej budowie, bo nad zalew musowo zjadą letnicy. Każdy skrawek marnego nawet piachu pójdzie w cenę, na pewno. Gospodarze zachodzą w głowę, gdzie by tu zawczasu pola dokupić, byle jakiego. Cmentarnego nikt nie chce.

Wolno oswajali się miłkowiccy z prawdą, że stary cmentarz trzeba rozkopać. Baby lament podniosły, ręce załamywały o pomstę do nieba wołając. Grosza na msze nikt nie skąpił, za spokój tych dusz, co oddzieliwszy się od doczesnych szczątków, wszystkiego z wysokości doglądają.

Wszelako nie bardzo wierzyli tutejsi, że nastanie taki dzień kiedy ręką ludzką dzieła strasznego dokona. Jednego zaś pewni byli: nikt ze swoich palca do tego nie przyłoży. Za żadne pieniądze! Czekali tedy z niepokojem i z nadzieją w sercach, że może się odmieni, może zmarłych w pokoju ostawią. Co dzień kwiecia świeżego na mogiły znoszono, znicze płonęły, o bezimiennych też zadbano. A kiedy komuś we wsi zmarło się, w rozterkę popadali żałobą okryci, bo niby rozum dyktował zwłoki drogie na nowy cmentarz nieść i tam je do ziemi złożyć, lecz ziemia owa gościnną nie była. Stała bowiem w płytkich mogiłach podskórna woda, brudna i zimna, a gminni melioranci dopiero robotę napoczynali. No i jakże w tej wodzie nieboszczyka topić, toż czarny na nim garnitur, biała koszula z haftem. Młodego Osiwałę, co wiosen miał ledwo dwadzieścia i siedem gdy życie w nim zgasło, ojcowie do wody spuścić nie dali, więc ponieśli go na stary parafialny i w suchym pogrzebali.

— *Leż synku w tym piasku* — płakała mateczka — *com ja wprzódy leżeć miała. Leż synku i nie frasuj się, bo jak potrzeba zajdzie, ojciec cię stąd zabierze, w poświęconej ziemi złoży.*

I wierzyła Osiwałowa z całej duszy swojej, że taki dzień nigdy nie nadejdzie, że mogiła tutaj po wsze czasy zostanie. Albo niech ona, matka, lepiej przenosin nie doczeka.

Atoli późną wiosną przyjechali ludzie z łopatami: rosłe chłopiska, stary cmentarz obejrzeli, w dłonie splunęli i do roboty żwawo ruszyli. Zbiegli się wtedy miłkowiccy pod mur parafialnego, lecz tu konceptu im brakło. Ksiądz dobrodziej zaniemógł właśnie i dobrą radą posłużyć nie mógł. Na chłopski rozum porządek był jak należy, grabarze papiery okazali, z pieczęciami i podpisami kogo trzeba. Stało w nich, że prawo z sobą przywiedli, czyli kopać mogą.

— *Ale mogiły nasze* — huknął suchy chłop z batem w żylastej dłoni. — *Wara od naszego!* — tu drogę do cmentarza zagrodził.

— *W porządku* — spokojnie odrzekł brodaty grabarz, łopatę na ramię zarzucił i do samochodu poczłapał. — *Przyjedzie wojsko i siłą wszystko zaorze* — rzucił na odchodne.

— *Wojsko... zaorze... wszystko zaorze...* — mamrotali chłopi. — *Ano wojsko może tak uczynić. Dostanie rozkaz i zaorze. To niech już lepiej wejdą ci z łopatami. Spokojnie i po bożemu. Ale na ręce będziem im patrzeć.*

Nazajutrz przyjechały ciężarówki załadowane skrzyniami z prostych desek zbitymi. Krzyże miały na wiekach przytwierdzone, czym z grubsza trumny przypominały. Jedne były duże w kolorze sinym, inne małe, żółtą farbą ochlapane. Zepchnęli te skrzynie na skraj cmentarza, żeby nikomu nie zawadzały, ale widok to był niepiekny. Zaraz potem cmentarni wzięli się do karczowania zarośli, co robotę mogły utrudnić, mogiły ponumerowali, krzyże z ziemi wyrwali i na nowy cmentarz je przewieźli. Martwili się tutejsi, że grabarze kwatery pomylą, kości przemieszają i nikt już się nie dowie, kto pod jaką tablicą spoczywa. Za szosą na nowym parafialnym też obcy ludzie się kręcili, mogiły świeże w równiutkich rzędach kopali, jakby przed bitwą wielką albo zarazą morową zawczasu doły sposobiono. Widzieli tutejsi jak idzie robota, bo tu i tam co dzień zachodzili, lecz tak po prawdzie, zaufania do cmentarnych nie mieli. Aż któregoś dnia życzliwy plotkę rozpuścił, że cała ta grabarska robota jest ino dla pucu, bo nocą ciemną wszystkie kości przodków do zbiorowej mogiły wpakują. Zbierali się tedy wieśniacy po chałupach swoich i radzili:

— *Tak być nie może. Trza do biskupa jechać, o sprawiedliwość się upomnieć* — gadali jedni.

— *Ale najsampierw cmentarnych trza skontrolować, żeby cichcem nieboszczyków nie wywlekli, na jedną kupę nie rzucili* — ostrzegali drudzy.

Lecz poselstwo do biskupa jechać nie musiało, bo plotce rychło łeb ukręcono. Cmentarni zaś ochoczo na pogawędki przystali, gruby kajet do oczu podstawiali, a w nim napisane było gdzie kto leży, gdzie na nowym leżeć będzie i kiedy jego prochy ostatnią drogę przebędą. O zbiorowej mogile cmentarni nawet gadać nie chcieli, tylko temu co od rzeczy klepie niepokój ludzki siejąc, puknąć się w czerep radzili.

Udobruchawszy się nieco, podreptali wieśniacy do zajęć swoich, lecz dla spokoju sumienia swojego i dla pamięci zmarłych ojców, co i raz na cmentarz zaglądali. Nic jednakże nie zwiastowało, że grabarze oszustwo sposobią.

Wreszcie nastał dzień, kiedy łopaty poszły w ruch. Na początek rozkopano mogiły stare, które lat temu osiemdziesiąt i więcej usypywane były. Ciężko szła ta robota, korzenie pod szpadlami zgrzytały, opór kopiącym stawiając. Dopiero przed wieczorem cmentarni garść szarych kości wygrzebali, kawałek zmurszałej czaszki i dwa białe guziki. To wszystko. Gapili się ludzie, głowami kręcili, bo dziwowali się wielce, że nic prawie z człowieka nie zostało. A cmentarni w fachu swoim biegli, niejedno już widzieli, przeto odgrzebane kości do żółtej skrzynki wkładając, głośno rozprawiali:

— *Zdrowy był. Taki nawet za sto lat całkiem się nie rozpadnie. Z chorymi inna sprawa. Gruźlik na ten przykład, długo w ziemi nie poleży, zaraz z niego tylko biały proszek się zrobi. Dmuchnąć i nie ma...*

Potem żółtą skrzynkę na samochód wstawili, ku nowemu cmentarzowi powieźli. A ludzie stali jeszcze nad pustą mogiłą i kijami grzebali w piachu albowiem nie może to być żeby z wielkiego jak dąb człowieka jeno garść popiołu została.

— *Poniechajta ludzie* — rzekł wreszcie chudy gospodarz, mocno na gębie czerwony. — *Toż nie godzi się występku Tomasza niewiernego ponawiać.*

Tłumek zgodnie kije z piachu wygrzebał, lecz nikt do chałupy nie podążył, chociaż późno już było, inwentarz o swoje się upominał.

— *Przecie niczego złego nie robim* — śmiało zauważyła kobiecina w chustce. — *Grabarz wiedzieć musi, że nijakiego szachrajstwa płazem nie puścim. Naszych, co ich za trzy niedziele wykopią, okraść nie pozwolim!*

— *A co tu kraść?*

— *Jakże to, przecie Stanisław w ślubnej obrączce pochowan.*

— *I Maria, i Antoni...* — dopowiadali inni.

— *A Władkowa pieszczanek miała na palcu, jak wieko na amen zamykali. Sama widziałam...*

Niebawem cmentarni z wiekowymi mogiłami się uporawszy, wbili szpadle w te groby, które pod opieką parafian tutejszych były. Patrzeć już na to niewielu chciało, lecz ciekawość jakaś na cmentarz wabiła, ku opróżnianym grobom wiodła. Smród przenikliwy odpychał nieco, choć rzecz to w takich razach zwyczajna więc ten i ów z odrazą podchodzili bliżej. A cmentarni niewiele sobie z asysty chłopskiej robiąc, szczątki ludzkie do skrzyń przekładali: pożółkłe piszczele, czaszkę z rudymi włosami mocno do niej przytwierdzonymi, szczękę ze srebrnym zębem, żebra i drobne kości od kręgosłupa. Na koniec któryś grabarz zbutwiały kawał czarnej marynarki spod piachu wyciągnął i na trawie złożył. Wtenczas z kieszeni trumiennego odzienia wypadł grzebień zielony i pęknięte lusterko. Załkała jakaś kobiecina, oczy ręką przysłoniła, aż trzeba było podtrzymać niebogę.

— *Jezu!* — jęknęła — *toż tatowe kości...*

Grabarz zaś dalej piach rozgarniał, deski z przegniłej trumny odsuwał, a wszystko co po zmarłym było na powierzchnię wykładał: buty lakierowane, mankiet koszuli, wilgotny modlitewnik... Naraz coś pod łopatą błysnęło.

— *Złoto!*

Grabarz schylił się, podniósł obrączkę na palcowej kości zaciśniętą i do skrzyni wrzucił.

— *Patrzajta, nawet złota nie obejrzał* — zdziwili się gapie, lecz nikt do skrzyni nie sięgnął.

— *Zmarłemu nie wolno odbierać* — wycedził cmentarny. — *Nieszczęście sprowadzi.*

Pokiwali głowami.

W sierpniu żniwa przyszły i czasu na podglądanie cmentarnych nie stało. Zresztą zgodzili się wszyscy, że umarłym już pomóc nie sposób, a pierwszą żywego powinnością jest robota w polu. Dziwne to były żniwa, źle gospodarzom wróżyły, bo kiedy fury do wsi jechały, z przeciwka trumny wieźli. Niektóre jeszcze całe były, ledwie po trzech rokach leżenia z ziemi wygrzebane. Za trumnami ksiądz nawet nie szedł, ani ministrant z krzyżem jakby wisielców albo bezbożników grzebali. A przecież za wielkiej budowy sprawą półtora tysiąca parafian teraz dopiero w ostatnią swą ziemską drogę ruszało. Tak zeszło do jesieni.

Stoi teraz cmentarny w głębokiej mogile, pot z czoła ociera. Dwie setki grobów zostały do fajerantu.

— *Ostemnaście lat przy nieboszczykach robię* — powiada. *Nawet już nie śnią mi się po nocach. Trup przecież krzywdy nie uczyni, żywy prędzej..*

Stoi cmentarny w głębokiej mogile, gumowe rękawice naciąga.

— *Bo kto ja właściwie jestem* — duma. — *Ni to grabarz, ni pogrzebowy. Ot, taki facet, co trupem śmierdzi do oglądania ludzkiego nieszczęścia przywykły...*

— *Marne to życie* — powiada ni to grabarz, ni pogrzebowy — *skoro kawał szmaty dłużej od człowieka w ziemi przeleży* — tu wyciąga z mogiły piszczel szarą ze skarpetą nań dyndającą. — *I po tym tylko poznać, że mężczyzna tu leży* — tłumaczy. — *Niby kobietę po miednicy rozpoznają* — powiada — *ale na wiejskim cmentarzu baby też grube gnaty mają...*

Wyłazi cmentarny z głębokiej mogiły, kości do skrzyni przekłada.

— *Normalny człowiek jak sobie na to popatrzy* — powiada — *zaraz bardziej od śmierci swojej, lęka się w ziemi leżenia. Gnić, on, panie, nie chce. Kiedyś dla takich robiło się cynkowe trumny, żeby robale i woda do środka nie wtaziły. Jak teraz trzeba je z ziemi wykopać, to w środku chlupie zupa. Tyle zostało...*

Rozkopuje cmentarny mogiłę kolejną, bo czasu ma niewiele, listopad już za pasem, a i wielka woda czekać nie będzie.

Na skraju parafialnego jest mogiła cała w kwiatach. Tam leży młody Osiwała. Tę mogiłę rozkopią na ostatku, szarym świtem wyciągną świeżą trumnę, grób piaskiem zasypią. I nikt tego widział nie będzie, żeby matce bólu oszczędzić.

Potem wjadą spychacze.

ROMAN KUBIAK

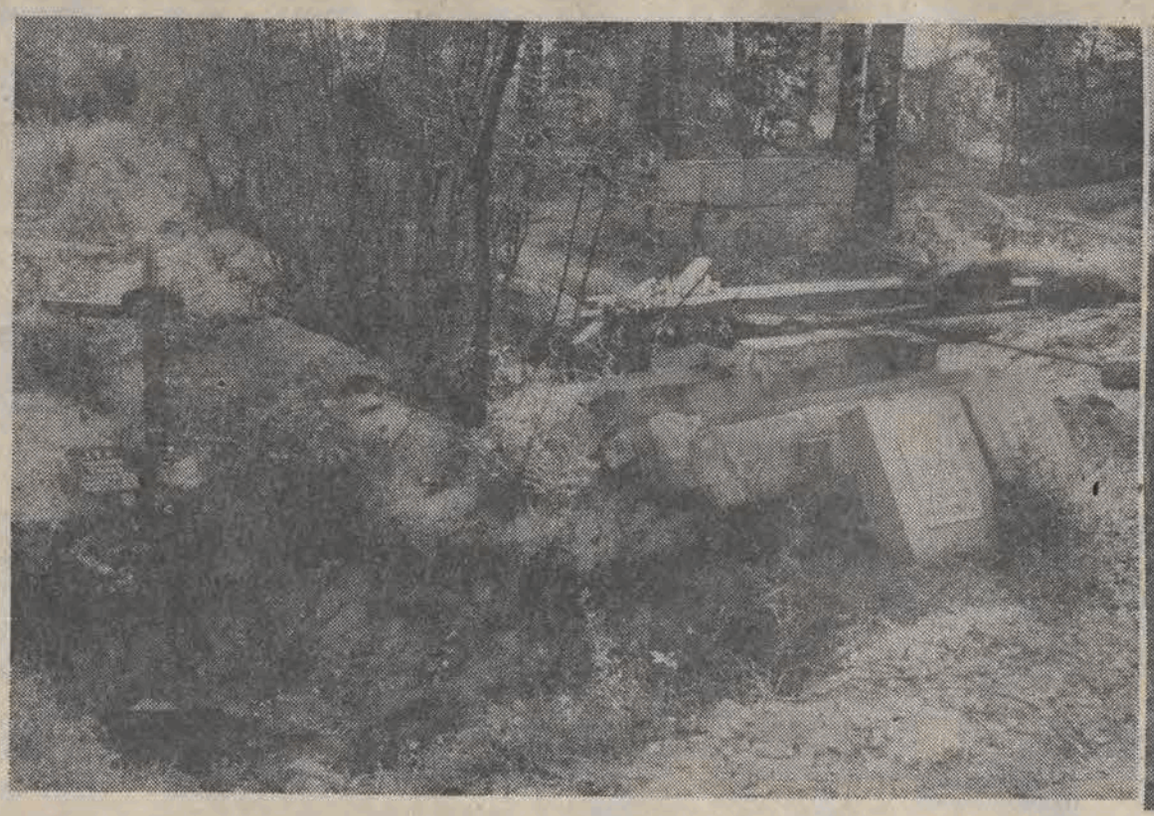

Foto: Grzegorz Gałasiński

Dariusz Muszer

Krótsza noga Syzyfa

Brzydka z drutami zamiast rąk
oczami fajans matowy i jak jednogroszówki
mały zużyty spinacz w krzywej kobiecie
stuka nierówną nogą po chodniku
całą uwagę skupia na ortopedycznym bucie
A wiatr taki od lasu
a lato rozrzuca kurz i zielony lipiec

Nigdy nie przestała jechać na tamtym rowerze
czy wieczór czy dzień czy wiosna czy
przymrozek
pędzi w dół po świeżym asfalcie
siatka z burakami margaryną tłucze o koło
i od dziesięciu lat wkręca się w szprychy
skrzywia kierownicę w lewo
niecierpliwy zderzak wywrotki przebija nogę
porywa kawałek kości na pamiątkę
rowerowy błotnik płynie po ulicy
resztkami wzroku boi się
o barszcz i krzyk matki
Ciemny kamień toczy się do wejścia

Kupuje chleb gazetę wraca
Myśli że nikt nie wie tylko ona
ile wysiłku trzeba by nie zachwiać słońca
że racja jest po stronie krótszej nogi syzyfa

Mężczyźni „pod Jeleniem"

Nie dano im już wojny
toczenia bitew
nie mają orderów
rąk odrąbanych nóg
blizn odłamków w mózgach
tylko gardła nastrojone na odbiór
a są tak sami im starsi
i też kufle rozbijają na głowach
żują szklanki bez denka bo grubsze
niebo na świadka przywołują głową kiwają
zgadzają się raz za razem przeczą

Gdyby tylko chcieli
świat byłby ciut większy

A tak wsiadają na rowery na piechotę
wracają
do pracy do domu do nocy
na chwilę

Córka pani r.

Córka pani r. rozdaje wszystkim
dojrzałość miękkiego brzucha i grube kolana
obiecują jej wtedy złote góry po grób
i miłość której nie wierzy
bo i jak można wierzyć kiedy ma się ciało
wielkie na stu mężczyzn
i jeszcze własne palce

Na dobre nigdy nie jest samotna
zawsze ktoś puka w okno w drzwi czasem
wychodzi gdy mrok pęka wczesną rosą
Na złe leży potem rozłożysta
jak zrabana grusza
i wargami szuka śladów pięciominutowego
męża

I raz jeszcze przeczuwa swoją noc

Wie że nie zabiera się takich jak ona
ani w podróż daleką ani nad rzekę ani na
dłużej
lecz czeka a nuż ktoś się pomyli i zostanie
a dom będzie prawdziwszy

Na razie zamyka oczy
przeżywa jakoś ten kolejny dzień
a sen jej jest pełen
schowanych w spiżarni kompotów
i wędrującej po twarzy dłoni

(I nagroda i Czołenko Tkackie w ogólnopolskim konkursie Klubu „Wiadukt")

Rys. Zenona Płonk

Zanotowane na marginesach

Zyzio na wznak

Albo na dowolnie wybranym boku — w każdym razie na leżąco... Tak oto reklamuje swój specyficzny sposób widzenia świata pan Zygmunt Kałużyński, enfant terrible polskiej krytyki filmowej i przenikliwy publicysta polityczny (co jest na ogół mało znanym rysem osobowości mistrza). Ale nie jest to prawda. Tytuł najnowszego zbiorku szkiców i polemik Kałużyńskiego — „Widok z pozycji przewróconego" — jest uroczym wprawdzie, ale mylącym paradoksem, zaczerpniętym przez autora z wymyślonej przez niego samego anegdotki o typowo polskiej „postawie bohatera przewróconego".

Bohater przewrócony czyni cnotę i fason ze swego upadku; odrzuca pomoc, bo jest mu wygodnie z aureolą ofiary przemocy. Kałużyński najwyraźniej przywiązał się do swojego błyskotliwego „produktu analizy historycznej", ale jest to typowe zbliżenie się kata i ofiary; Kałużyński bowiem niemiłosiernie znęca się nad swym przewróconym, dorabiając mu kretyńską gębę (nb. całkowicie zasłużoną) jak stąd do Paryża... Sam zaś pan Zygmunt jawi się jako pryncypialny racjonalista, mocno stojący na nogach jako opoka wolnej myśli krytycznej, nie ulegającej terrorowi uciśnionej cnoty.

Dziwicie się, jak uciśniona cnota może jeszcze terroryzować? Nie dziwcie się, tylko czytajcie Kałużyńskiego. Człowiek ten, znany szerokiej publiczności od lat jako niekonwencjonalny krytyk filmowy — nie tylko ze względu na opinie „pod sztorc" (znakomite określenie z repertuaru Irka Dudka), ale i z powodu czynienia gestów powszechnie uznanych za obraźliwe przez wysztywnionych rodaków (owe rozpowszechniane przez TV drapanie się w głowę czy podciąganie zbyt obszernych portek) — jest w istocie uasjonującym pisarzem politycznym. Był zresztą takim na początku swej działalności publicznej, zanim się wąsko wyspecjalizował w dziedzinie filmu, a dzisiaj jest nim ponownie — dość wspomnieć znakomity tekst o politycznym funkcjonowaniu kościoła...

Jako publicysta polityczny zajmuje Zygmunt Kałużyński podobnie wyjątkowe miejsce w naszym personalnym pejzażu życia publicznego, jak w dziedzinie krytyki filmowej. Z tą tylko różnicą, że jako „polityk" występuje rzadko, a jako „filmowiec" częściej. Jeżeli bywa, to raczej na krajowych i zagranicznych festiwalach ruchomych obrazków, niż na zjazdach partii i obywatelskich zebraniach. No i trudno — nie sposób przecież wymagać, aby czynił coś być może sprzecznego z własnym temperamentem czy doświadczeniem...

„Widok z pozycji przewróconego", aczkolwiek niebywale różnorodny tematycznie (od Orwella i Kolbego, poprzez wajdologię aż do manifestu o potrzebie pornografii), jest właśnie zapisem temperamentu pana Zyzia, reklamującego wprawdzie swą postawę jako ciasny racjonalizm, ale przy tym wyczulonego na ogromne pokłady metafizycznej głupoty w naszym życiu intelektualnym. Ciasny racjonalizm na ogół ewoluuje w kierunku perfekcjonistycznego dogmatyzmu, ale Kałużyński został obdarzony przez naturę przywilejem „wiecznej młodości" (czego nie omieszkał pożytecznie zdyskontować...) i dzięki temu może całe kolejne pokolenia czytelników obdzielać swoją złośliwą przenikliwością i błazeńskim — w dobrym, stańczykowskim pojęciu — krytycyzmem.

Kałużyński jest konsekwentnym rzecznikiem pewnej dość specyficznej grupy intelektualnej — mianowicie ponadprzeciętnie aktywnych konsumentów kultury; jest to grupa, która sama niczego nie tworzy, ale i nie daje się tak łatwo sterować przez twórców i ich satelitów (rozmaitych „krytyków patentowanych" i okołolitieraturnyje zenszciny). Ta grupa nie potrzebuje ani zachęcającej informacji o dziele ani cmokierskich fałszerstw: aktywni konsumenci i tak wszystko sprawdzają poprzez osobiste zetknięcie z produktem kultury. Bywa, że ulegają irracjonalnym modom i przemyślnie opakowanej koniunkturalnej tandecie, ale ich ulubionym zajęciem jest wypuszczanie powietrza z nadętych wielkości... A Kałużyński jest zawodowym przedziurawiaczem balonów.

Jest także licencjonowanym szargaczem świętości. Nie każdy miał w 1982 roku odwagę (i nie ma jej do dzisiaj) — jeżeli tak myślał — ogłosić publicznie, że ojciec Kolbe jednak był antysemitą, że obecny papież jest kiepskim literatem, że Andrzej Wajda stracił talent, że pornografia jest potrzebna a Krzysztof Zanussi już tak nudny, jak akademia na cześć i nawet biskup go nie wytrzymują... Są to opinie głęboko udokumentowane, ale kto u nas zwraca uwagę na argumenty, gdy idzie o plugawienie „sztandarów". Toteż Kałużyński odbierany jest jako demon przez wcale liczne kręgi publiczności. I chyba jest mu z tym dobrze, skoro zdecydował się utrwalić to wszystko w książce (wprawdzie o zaledwie piętnastotysięcznym nakładzie, ale zawsze...).

Kałużyńskiego nie sposób ignorować, choć namawiają do tego jego oponenci. Jest to publicystyka tego rodzaju, że nie pozostawia obojętnym — trzeba ją albo zaakceptować, albo zdecydowanie odrzucić. Należę do wyznawców tej pierwszej możliwości i dlatego „Widok z pozycji przewróconego" dostarcza mi satysfakcji intelektualnej rzadko dziś dostępnej. Ale gdybym nie był zwolennikiem pana Zyzia, to też bym przeczytał by się po prostu wściec. I to jest cenne, albowiem wściekać się dziś prawie nie ma na co.

TOMASZ SAS

Zygmunt Kałużyński: Widok z pozycji przewróconego, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1985, s. 370, cena 180 zł.

Komu nagrodę „Odgłosów"

Wzorem roku ubiegłego, zwróciliśmy się do kilku znanych osób, by dowiedzieć się od nich co sądzą o upowszechnianiu kultury, a także o tym, komu ich zdaniem należy przyznać doroczną nagrodę „Odgłosów" właśnie za działalność upowszechniającą tak zwane dobra niematerialne czyli kulturę. Dziś odpowiada red. JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI, przewodniczący Rady do spraw Kultury Wsi przy Wojewodzie Piotrkowskim, przewodniczący Komisji Oświaty, Wychowania i Kultury MRN w Piotrkowie, inicjator Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego o „Rubinową Hortensję", a także przyznawanej od 14 lat dorocznej nagrody miasta Piotrkowa Trybunalskiego — „Złotej Wieży Trybunalskiej".

— Czym jest upowszechnianie kultury? Udostępnianiem poprzez wszystkie możliwe środki i formy dostępu do dóbr kultury zgromadzonych w muzeach, galeriach sztuki, archiwach, wciąganiem ludzi do uczestnictwa w spektaklach teatralnych, koncertach muzycznych. Też upowszechnianie czytelnictwa poprzez stałe kontakty z bibliotekami, sięganie po periodyki społeczno-kulturalne...

Kim jest człowiek, którego zaliczamy do działaczy kultury? Ten, który potrafi zachęcać do współuczestnictwa w kulturze, a i potrafi kreować nowatorskie podejścia do kultury, jest inicjatorem nowych wydarzeń kulturalnych w środowisku w oparciu o tradycję, ale też o powstający aktualnie dorobek cywilizacyjny. Powstaje nowe zagłębie paliwowo-energetyczne „Bełchatów" — umieć na jego bazie tworzyć nowe wartości w sferze kultury...

Czy jest taki człowiek w województwie piotrkowskim, którego mogę zaproponować do nagrody „Odgłosów"...

W województwie piotrkowskim znam takich kilku. Palmę pierwszeństwa dałbym jednak **WŁADYSŁAWOWI OBARZANKOWI** z Gór Mokrych — wsi położonej na peryferiach województwa, na pograniczu z Kielecczyzną, w gminie Przedbórz nad Pilicą. Proszę sobie wyobrazić: jeden człowiek, a od ośmiu lat organizuje w Przedborzu i Górach Mokrych ogólnopolski konkurs na piosenkę i przyśpiewkę ludową. Corocznie w sierpniu lub wrześniu zjeżdża się kilkudziesięciu piosenkarzy ludowych z całego kraju. Od pięciu lat w maju ściągają do Przedborza i Gór Mokrych miłośnicy poezji Marii Konopnickiej. To Władysław Obarzanek, działacz Towarzystwa im. Marii Konopnickiej i założyciel jego oddziału w Górach Mokrych, zdecydował się na coroczne Spotkania z Poezją Marii Konopnickiej. Znów szeroki udział recytatorów i piosenkarzy z całego kraju uczestniczących w dwu konkursach: recytatorskim i poezji śpiewanej. Trzecia inicjatywa Obarzanka — to konkurs piosenki turystycznej i krajoznawczej z rajdem Szlakiem Kazimierza Wielkiego. Odbyły się już trzy takie konkursy i rajdy. Od trzech lat Towarzystwo Przyjaciół Pamiętnikarstwa Oddział w Górach Mokrych jest organizatorem konkursu pamiętnikarskiego ph. „Moje strony rodzinne dawniej a dziś". Znów udział ludzi żyjących w odległych wioskach całej Polski. W tym roku z okazji Lipcowego Święta zorganizował pan Władysław poetycki konkurs młodych na wiersz o ojczyźnie. Pięknie podsumowano go na uroczystej sesji Rady Narodowej Miasta i Gminy Przedbórz. Uczestniczyło kilkudziesięciu młodych poetów z całego kraju.

Staraniem Obarzanka i stu społeczników Gór Mokrych wzniesiono w ciągu niespełna trzech lat pierwszy w Polsce wiejski dworzec PKS. Wartość oddanego właśnie dworca ok. 50 milionów złotych, koszt rzeczywisty niecałe 5 milionów, reszta to właśnie czyny społeczne. A ten dworzec — to kasy biletowe, poczekalnie, klub prasy i książki z barkiem, a na piętrze pokoje gościnne z 12 łóżkami. Dzięki panu Władysławowi Góry Mokre leżą na szlaku komunikacyjnym Lublin — Kalisz, Warszawa — Kraków, mają też łączność z Łodzią i Piotrkowem...

E. IW.

Władysław Obarzanek, lat 34, absolwent średniej Szkoły Muzycznej im. Fr. Chopina w Warszawie, rolnik, tegoroczny laureat Nagrody im. Stanisława Wyspiańskiego (za upowszechnianie kultury).

Z półki recenzenta

KRÓL SZCZURÓW

Dotychczas dzieje jeńców armii alianckich w niewoli japońskiej znaliśmy z filmu „Król szczurów", obecnie mamy możność porównać obraz filmowy z pierwowzorem literackim. Właśnie ukazała się książka Jamesa Clavella opisująca tamte zdarzenia. Jeniecki obóz Changi — to zbiorowisko charakterów, osobowości i postaw. Poddani wyniszczającym chorobom, głodowi i okrucieństwu Japończycy, a przy tym pozbawieni wszelkiej nadziei, niektórzy z jeńców upodabniają się do szczurów żerujących na słabszych współplemieńcach. Książka została napisana z talentem, obrazowo i ze znajomością realiów.

Przekład Małgorzaty i Andrzeja Grabowskich.

James Clavell: Król szczurów. KiW 1985, Str. 420. Cena 230 zł.

WYSPY PAMIĘCI

Jerzy Kuncewicz — kto wie czy nie jeden z ciekawszych autorów Polski współczesnej — nie miał jakoś szczęścia ani do edytorów, ani do krytyki. Pozostawał w cieniu żony, Wielkiej Marii. Ale oto po jego śmierci zaczynają się pojawiać jego książki. Rok temu „Wieczna przemienność", teraz „Wyspy pamięci". Ta ostatnia to swoisty pamiętnik z długiego życia, licznych podróży, jeszcze liczniejszych spotkań z niezwykłymi ludźmi, a także z uczestnictwa w znaczących wydarzeniach historycznych. Pojawiają się m. in. nazwiska Józefa Piłsudskiego, de Gaulle'a, Stanisława Mikołajczyka, Eduarda Benesza. A więc jest to historia najnowsza widziana oczami człowieka przenikliwego, patrioty i humanisty.

Jerzy Kuncewicz: Wyspy pamięci. LSW 1985. Str. 224. Cena 150 zł.

WAZOWIE W POLSCE

Jerzy Podhorodecki jest historykiem, a jego „specjalność" to nasze dzieje, nieraz te dość odległe. Otrzymaliśmy właśnie kolejny tom poświęcony głowom koronowanym pt. „Wazowie w Polsce". A zatem opis czasu zamkniętego pomiędzy 1578 a 1668 rokiem, nazwanego panowaniem Zygmunta III, Władysława IV i Jana Kazimierza. W tej osiemdziesięcioletniej epoce wiele się wydarzyło w życiu Rzeczypospolitej, niestety dynastia Wazów nie zyskała sobie przychylności współczesnych ani nie pozostała we wdzięcznej pamięci potomnych. Tych więc, którzy zapragną bliżej poznać tamte czasy odsyłam do omawianej wyżej książki.

Jerzy Podhorodecki: Wazowie w Polsce. LSW 1985. Str. 494. Cena 450 zł.

MINIPOWIEŚĆ CALDWELLA

Od czasu, kiedy w Polsce ukazało się „Poletko Pana Boga" Erskine Caldwell na dobre zadomowił się w naszym życiu kulturalnym. Każda jego nowa powieść natychmiast rozchodzi się wśród wiernych jego czytelników. Dziś pragnę zaproponować kolejną pozycję prozatorską tego autora, a mianowicie „Blisko domu", minipowieść, której akcja rozgrywa się w małym miasteczku gdzieś na Południu Ameryki. I jak to bywa u tego autora, wszystko gmatwa się i komplikuje, gdyż bardzo skomplikowane i niełatwe jest życie ludzkie. I jak to u Caldwella bywa, miłość i seks nadają temu życiu urok lub go gmatwają jeszcze bardziej.

Przekład Kazimierza Piotrowskiego.

Erskine Caldwell: Blisko domu. KiW 1985. Str. 208. Cena 80 zł.

STROFY O JANIE LECHONIU

Stanisław Kaszyński zebrał, opracował i poprzedził wstępem bardzo dobrze wydany zbiór tekstów poświęconych Janowi Lechoniowi, a noszący tytuł „Strofy o Janie Lechoniu" który to zbiór ukazał się nakładem łódzkiej oficyny wydawniczej. O Lechoniu pisano za życia (często uszczypliwie, z ironią, czasem wręcz złośliwie), a po jego tragicznej śmierci wielu poetów poświęciło mu strofy pełne uwielbienia lub żalu mając świadomość, że oto kultura polska zubożała o jednego z najciekawszych poetów. Z prezentowanej książki nie dowiemy się jakim człowiekiem był Lechoń, natomiast możemy się przekonać, że jego obecność w naszej kulturze jest bezsporna i trwała.

Strofy o Janie Lechoniu. Wyd. Łódzkie 1985. Str. 144. Cena 160 zł.

JOSEPH CONRAD

W cyklu „Trzy wieki literatury europejskiej" Wydawnictwo Łódzkie wznowiło, wydaną przed laty, książkę Josepha Conrada „W oczach Zachodu". Powieść należy do mniej znanych w Polsce, a jej treść zaskoczy zapewne tych, którzy znają twórczość Conrada zbyt powierzchownie. Otóż jest to powieść „rosyjska", jej bohaterem jest młody student filozofii, mieszkaniec Petersburga Kiryło Sidorowicz Razumow, w którego ustabilizowane, spokojne, niemal sielskie życie wdziera się nagle coś, co je burzy do szczętu. To rewolucjonista, zamachowiec, który wykonał wyrok na jednym z carskich ministrów. Resztę znajdzie Czytelnik w książce. Polecam.

Przełożył Wit Tarnawski.

Joseph Conrad: W oczach Zachodu. Wyd. Łódzkie 1985. Str. 240. Cena 200 zł.

E. IW.

Na przekór prowizorce

Rozmawiamy z WOJCIECHEM KOBRZYŃSKIM dyrektorem PTL „Pinokio"

— Od dłuższego już czasu przygotowujecie przedstawienia i wystawiacie je w prowizorycznych warunkach, w dodatku nie pod jednym dachem, a jednak udaje się wam robić rzeczy bardzo wartościowe artystycznie i atrakcyjne scenicznie, a nawet zbierać nagrody, jak ostatnio w Opolu. Wobec tego — jak wam się żyje na co dzień w tych warunkach i jak długo one potrwają...

— Mimo względnie korzystnych jak na prowizorkę warunków — zaczynamy odczuwać wszyscy coraz silniej wszystkie te uciążliwości, które wynikają z pracy i działalności w dwóch odległych punktach — w tymczasowej siedzibie przy Targowej i sali imprezowej zakładów im. Marchlewskiego przy Ogrodowej, z której po dwuletnich poszukiwaniach miejsca do grania zaczęliśmy korzystać przed dwoma laty po poczynieniu niezbędnych inwestycji.

— Rozumiem, że fabryka wyremontowała salę z myślą również o późniejszym czy też naprzemiennym z wami użytkowaniu jej przez własne zespoły czy gremia...

— Fabryka dokonała remontu sali pod kątem naszych bieżących potrzeb, żebyśmy mogli dawać w niej przedstawienia, ale połowę kosztów ponieśliśmy my z przyznanej nam na cele remontowe dotacji miejskiej, przez co powiększą się globalne koszty remontów, obejmujące głównie stałą siedzibę przy Kopernika, w co wchodzi też koszt dokumentacji.

— Czy już się tam coś dzieje i na jak długą prowizorkę jesteście jeszcze skazani?

— Jeszcze tej jesieni miał wejść wykonawca z porządkowaniem terenu i niezbędnymi wyburzeniami, nawet na bezpośrednio przyległym terenie i następnie od wiosny miał zacząć się właściwy remont, wtedy też uległoby zawieszeniu, na czas remontowych prac, nasze administrowanie placem budowy i ustałyby pewne koszty związane jeszcze z opłatami za elektryczność, z nadzorem itp. Ale co do terminów, to nie ma jeszcze szczegółowego harmonogramu prac, wiemy jedynie, że według pierwotnego szacunku pociągną się one nie mniej niż pięć lat, z czego wynika, że muszę się liczyć z powrotem do własnej siedziby nie wcześniej niż w roku 91 i do tego też dostosowywać myślenie o najbliższej przyszłości placówki.

— W jaki więc sposób zamierza pan przez taki długi okres przystosowywać się w działalności artystycznej do prowizorycznych warunków przygotowywania sztuk i ich wystawiania?

— Nie chciałbym przystosowywać się na zasadzie „spuszczenia z tonu" czyli obniżenia naszych aspiracji artystycznych, rozgrzeszać się okolicznościami remontowymi, że „jakoś" to przecież będzie. Muszę dążyć do tego, żeby mieć takie osiągnięcia artystyczne, jak w optymalnych warunkach.

— Ale nowe warunki przestrzenne i inne mogą, jak wyobrażam sobie, wymuślić na teatrze poszukiwanie nowych form spektaklu, może nawet nowej formuły teatralnej?

— I tylko w tym sensie wolno nam się przystosowywać. Wiemy już np., że spektakle z naprawnikiem wychodzą w warunkach sceny na Ogrodowej niekorzystnie, musimy więc budować przedstawienia inaczej, nie zakładając jednak z góry, że wskutek tego mogą one być artystycznie niepełnowartościowe. Może rzeczywiście z tych naszych konieczności coś się nowego narodzi. Zresztą teatr lalkowy, nasz także, coraz częściej w ostatnich czasach grał bez parawanu, który zarówno stwarza aktorom i spektaklowi pewne możliwości jak też narzuca w zamian pewne ograniczenia. Ale „Krakowiaków i Górali", ze względu na koncepcję przedstawienia zagraliśmy z parawanem i najgorzej na tym nie wyszliśmy.

Foto: Grzegorz Gałasiński

— No właśnie! Gratulujemy panu i całemu zespołowi jak najserdeczniej i prosimy o przypomnienie waszych opolskich trofeów.

— Z przyjemnością. I nagrodę aktorską za rolę Doroty otrzymała **Maria Paprot**, otrzymaliśmy też **zespołową nagrodę** aktorską. Dalej trzy indywidualne wyróżnienia aktorskie przypadły **Tomaszowi Pietrasikowi** za rolę Bartosa, **Tadeuszowi Wojanowi** za Bryndasa i **Włodzimierzowi Wdowiakowi** za Stacha. Ponadto jeszcze dwie nagrody aktorskie ZASP-u otrzymali **Paprot i Wdowiak**. Mnie natomiast przypadła **i nagroda reżyserska** ex aequo z reżyserem przedstawienia gospodarzy. Do tego jeszcze doszły dwie nagrody specjalne dla **Marka Jaszczaka i Michała Drosa** za przygotowanie wokalno-muzyczne zespołów. Niestety scenograf „Krakowiaków" Ali Bunsch nie doczekał premiery i — jak sądzę — również nagrody.

— Spadła więc na was istna lawina nagród i wyróżnień z czego my tu w Łodzi powinniśmy być dumni. Ale wydaje mi się, że ten wasz sukces można by skomentować dwojako, albo w ten sposób, że dzięki tym wybitnym osiągnięciom zasłużyliście sobie na jak największą i jak najpilniejszą pomoc, albo też w ten sposób, że widocznie warunki pracy na Targowej i warunki sceniczne na Ogrodowej nie są wcale złe, skoro umożliwiają nawet festiwalowe sukcesy, wobec czego możecie spokojnie, bez szkody dla sztuki lalkowej czekać na powrót do stałej siedziby.

— Ale trzeba sobie zdać sprawę, jakim kosztem osiągamy i utrzymujemy nasz poziom artystyczny. Otóż nakładem wielkiego wysiłku i kosztem zdrowia, warunki sceniczne na Ogrodowej są bowiem niezmiernie uciążliwe, bywa tak duszno, że dochodzi sporadycznie do omdleń, a warunki akustyczne mamy tam tak kiepskie, że aktorzy muszą nieustannie zdobywać się na dodatkowy, maksymalny wysiłek, żeby dotrzeć z tekstem do słuchacza, o czym jest panu przecież wiadomo. Bardzo się teraz wszyscy eksploatujemy fizycznie i zdrowotnie, aktorzy tracą kondycję, nie czują się najlepiej głosowo (a głos to dla nich podstawowy instrument), następuje dość znaczny wzrost zachorowań, zawiniony również przez warunki pracy na Targowej, gdzie wprawdzie w pomieszczeniach jest ciepło, ale na przerwy nawet o chłodnej porze, można wychodzić tylko na zewnątrz, czy też przechodzić przez podwórze. W tym roku na skutek zachorowań mieliśmy rekord odwołanych przedstawień, zespół jest mały i w ciągu ostatnich czterech lat zmniejszył się nam z różnych przyczyn o dziewięć osób, a nowe trudno pozyskać ze względu na opisane warunki i na brak mieszkań. Obawiam się więc dalszego kurczenia się zespołu, a mamy przecież jakiś plan do wykonania, czasem też wypada niespodziewanie sala przedstawień na Ogrodowej ze względu na te czy inne potrzeby zakładów — narady, szkolenia, uroczystości — co jest przecież zrozumiałe.

— Podsumowując jak najkrócej: pięcioletni termin remontu budynku przy Kopernika jest dla zespołu nie do przyjęcia?

— Może i byłby do przyjęcia, ale pod warunkiem poprawy wentylacji i akustyki sali.

— A jakie są możliwości przebudowy stalowej krytej konstrukcji stojącej luźno pośrodku terenu na Targowej lub też wzniesienia na jej miejscu odpowiedniej hali widowiskowej? Może moglibyście wtedy zrezygnować w ogóle z powrotu na Kopernika?

— I tośmy rozważali, wspólnie z odpowiednimi czynnikami administracyjnymi. Sprawa jest skomplikowana bo przebudowa ze względu na stalową kontrukcję nie zapewnia bezpieczeństwa w wypadku wysokich temperatur, a więc pożaru, a co do nowej budowli trzeba się liczyć m. in. z tym, że mieszka sobie zagranicą właściciel całego użytkowanego przez nas obiektu przy Targowej. Może on wprawdzie nie mieć nic przeciwko remontom czy inwestycjom pomnażającym wartość jego majątku, ale nie jest to sytuacja zachęcająca do finansowego ryzyka władze miejskie. Inna rzecz, że powinno się znaleźć jakieś rozwiązanie dla dobra placówek resortu kultury, taka bowiem odpowiednio przysposobiona sala mogłaby w razie potrzeby służyć za pomieszczenie awaryjne różnych placów kultury, zwłaszcza teatralnych, na które prędzej czy później przychodzi kolej remontu. My zaś po powrocie na Kopernika, moglibyśmy niekiedy korzystać z Ogrodowej. W każdym razie nasza sytuacja jest dostatecznie dramatyczna, żeby wolno nam było upominać się o pilne decyzje, które przyniosłyby poprawę warunków przygotowywania i wystawiania sztuk. Mamy prawo uważać, że byłoby to z pożytkiem dla kulturalnej edukacji młodego pokolenia.

— Mnie pan przekonał całkowicie, życzę powodzenia w przekonywaniu osób bardziej wpływowych.

Rozmawiał:
JERZY KWIECIŃSKI

Smutna wieś

Nowa książka Władysława Dunarowskiego „Skazani na dożywocie" to zbiór opowiadań, pochodzących z trzech wydanych uprzednio przez Wydawnictwo Łódzkie tomów: „O złej dziewczynie", „Weselni goście", „Tajemnica Agnieszki". Autor, urodzony w 1903 roku w Jaworznie od lat pozostaje wiernym i sumiennym kronikarzem polskiej wsi szczególnie tej ubogiej, lirycznej — podhalańskiej. Dunarowski uważnie śledzi społeczno-ekonomiczne przemiany zachodzące na wsi polskiej, przedstawione w sposób nieco zbyt uproszczony i powierzchowny, lecz niewątpliwie pozwalający na pełniejsze zrozumienie innych, wewnętrznych przemian jakim podlega także sposób myślenia jego bohaterów. Opowiadania pochodzące z prezentowanego obecnie tomu obejmują okres bez mała czterdziestu lat, poczynając od wsi przedwojennej, sanacyjnej, poprzez okupację i pierwsze niepewne lata po odzyskaniu niepodległości aż po czasy współczesne. Jednak obraz wsi o jakiej opowiada czytelnikowi Dunarowski obok cech dynamicznych posiada również pewne cechy statyczne, niezmienne, trwałe, głęboko zakorzenione w specyficznej umysłowości polskiego chłopa. Zmienia się bowiem jego status społeczny i materialny, zmienia się stosunek młodych do miasta i do własnego pochodzenia ale pozostaje także charakterystyczna chłopska zapobiegliwość, graniczące niejednokrotnie z drapieżną pazernością, miłość do uprawianej w znoju i trudzie niewdzięcznej ziemi, wywalczonej własnymi rękami i zroszonej własną krwią, pozostają tradycyjne wartości i odwieczne przesądy, których odrzucenie nikomu nie przychodzi łatwo.

Wśród obecnych w tej nowelistyce motywów powtarzają się takie jak starość, bezradność, samotność. Nie oznacza to, iż brak tu chropowatego dowcipu, pewnej dozy rubaszności czy też zwykłego, ludzkiego uśmiechu — jednak dowcip jest niemal zawsze gorzki, a uśmiech zamglony łzami. Wieś Dunarowskiego nie jest ponura — jest po prostu smutna. Jego bohaterowie to ludzie prości, szczerzy często mówiący o sobie i swoich problemach w sposób rozbrajająco naiwny, wywołujący uśmiech politowania i współczucia. Spotykając się z licznymi przejawami zła nie potrafią go pojąć, nie są w stanie zapobiegać mu czy przeciwdziałać i zwykle ograniczają się do skarg i żalów, bądź też uciekają w działanie pozorne, przynoszące chwilową ulgę, lecz niczego nie rozwiązujące. Ich radości pozostają niewspółmiernie małe w stosunku do ich zmartwień, chętniej przyznają się do nienawiści aniżeli do miłości. Nieufni i ostrożni wobec tego, co nowe w obyczajowości ich dzieci i wnuków ponoszą dotkliwe porażki, do których starają się nie przyznawać za wszelką cenę, żyjąc czasem minionym na próżno karmiąc się złudzeniem. Rola autora ogranicza się tu do biernej postawy obserwatora, który nie ingeruje w świat bohaterów i nie komentuje ich nieraz kontrowersyjnego zachowania, pozostawiając wnioski i oceny czytelnikom. Uwaga Dunarowskiego koncentruje się wokół rzeczy pozornie błahych, nieistotnych ujawniających jednak postawy bohaterów ich stosunek do siebie i otaczającego świata. Nie jest to świat skomplikowany, a mimo to życie w nim bywa niełatwe i żałosne — ukazują to liczne konflikty wewnętrzne naszkicowane jak gdyby niedbale charakterystyki postaci, których cechy stają się wyraźnie widoczne dopiero w działaniu, w bezpośrednim zetknięciu z twardą, surową, bezlitosną rzeczywistością. W tym kontekście trafnym środkiem wyrazu wydaje się być oschły, ascetyczny styl autora, pozbawiony wyszukanych metafor czy jakiejkolwiek innej ornamentacji, a stanowiący o dokumentalnych, reporterskich walorach tej prozy. Dunarowskiemu zapewne brak Reymontowskiej głębi czy też bolesnej ironii Zoszczenki, niemniej odsłania on jakąś drobną część prawdy o współczesnej wsi, jej mieszkańcach i problemach. Brak również Dunarowskiemu agresywności, zaczepności, dramatyzmu — brak tego, co bywa potocznie określane jako lwi pazur, przydający utworowi atrakcyjności, blasku. Ta książka jest taka, jakie jest życie na wsi — monotonne, wyznaczane przez odwieczne przyzwyczajenia i niezmienny cykl pracy na roli, któremu podporządkowane zostają inne, mniej ważne sprawy. I choć nie jest to lektura lekka i łatwa, to z pewnością jest ona w stanie zapewnić wiele przyjemnych chwil, szczególnie czytelnikowi znającemu i kochającemu wieś z całą jej bezwzględnością, prostotą i smutkiem. Mieszczuch znajdzie tu niezafałszowany, często okrutny w swej szczerości obraz wsi, jakże odbiegający od konwencjonalnych, wyidealizowanych, sielankowych wyobrażeń, wciąż jeszcze pokutujących w naszym społeczeństwie. To największa i najważniejsza zaleta nie starzejących się, bo niemodnych opowiadań Władysława Dunarowskiego, będących suchym ale starannym, analitycznym zapisem wiejskiej codzienności.

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Władysław Dunarowski, „Skazani na dożywocie", Wyd. Łódzkie, Łódź 1985, nakład 10 000 egz.

Sen nie do końca prześniony

Kto ulega urokom szekspirowskiego „Snu nocy letniej", temu nieraz mogło przyjść na myśl, że jest to utwór pobudzający wyobraźnię w kierunku również innych dziedzin sztuki, tak też zareagował na to dzieło swego czasu Feliks Mendelssohn-Bartholdy, tworząc doń muzykę pełną poetyckiej gracji.

Na obie te sprzężone ze sobą inspiracje, które zrosły się już w nierozdzielną całość, odpowiedział twórczo współczesny nam choreograf. Miał wprawdzie poprzedników, czynione bowiem były w przeszłości próby stworzenia baletu na kanwie samego dzieła Szekspira, ale z pominięciem muzyki Mendelssohna, m. in. w czasie pierwszej wojny światowej doprowadzili taki zamysł do końca poeta — inscenizator Jean Cocteau wraz z kompozytorem Erykiem Satie, czas wojenny jednak sprawił, że rzecz uszła uwagi współczesnych i poszła w niepamięć. Fakt ten został odnotowany przez jednego z polskich autorów (zachęcam do poszperania w literaturze przedmiotu). Całkiem zaś niedawno wystawiono w Polsce szekspirowski „sen" jako balet z muzyką Benjamina Brittena, ale również bez powodzenia.

Przypuszczam, że wielu teatromanów i baletomanów oczekiwało łódzkiej premiery „Snu" do muzyki Mendelssohna z wielkim zainteresowaniem, nie tylko dlatego że ta polska prapremiera odbywa się w kilka lat po światowej i że jest ona dziełem znanego w wielu krajach nowozelandczyka **Graya Veredona**, który po raz pierwszy wystawił ten swój balet w Lyonie gdy był dyrektorem opery. Dodatkowa zachętą do obejrzenia przedstawienia mogło stanowić zaprojektowanie scenografii i kostiumów przez Polaków przebywających stale za granicą oraz fakt, iż światła powierzono specjaliście blisko współpracującemu z choreografem, przybyłemu na końcowe próby aż zza oceanu. Od strony więc kompetencyjnej rzecz uzyskała wszelkie gwarancje powodzenia, biorąc pod uwagę jeszcze i to że w wykonaniu biora udział najlepsze siły Teatru Wielkiego.

Moglibyśmy więc z zaufaniem poddać się urokom zwiewnych elfów i tanecznej ruchliwości wszędobylskiego Puka, śledzić baśniowe metamorfozy postaci, bawić się zabawną nieporadnością tępawych rzemieślników odgrywających teatr w teatrze. Ogólnie rzecz biorąc przedstawienie nie pozbawione jest zalet, choreograf wprowadził sporo niebanalnych, świeżych dla naszego widza układów ruchowych i rozwiązań technicznych, sprzyjających wrażeniu niewymuszonej naturalności, z jaką tancerze przekazywali przeżycia postaci, ale niejednokrotnie wrażenie to psuło powtarzanie tego samego ruchu czy gestu, nawet z pewną regularnością, na podobieństwo modułów we wzornictwie (nie znajduję tu szczęśliwszego porównania).

Nie brakło scen pełnych wymowy, jak np. dynamicznie i żywo pomyślana scena nieporozumień i scysji pomiędzy młodymi parami, z których każde kocha nie tego u kogo znalazłoby wzajemność, miało też swój nastrój pogrążanie się w sen kolejnych postaci i rzucanie przez Puka uroków, dowcipna była scena ślubu, pełna ekspresji i świetnie odtańczona przez niezawodną **EWĘ WYCICHOWSKĄ** i **ROMANA KOMASSĘ** końcowe pas de deux, dużą siłę komiczną i wielkie umiejętności pantomimiczne zaprezentował **CZESŁAW BILSKI** jako **Spodek** przeobrażony w osła.

Niemniej jednak zbyt często trzeba było zżymać się na powolną ociężałość elfów, na niedostatek lekkości i wdzięku, na niepotrzebne moim zdaniem uwspółcześnienie wędrownej trupy, mimo iż zaoceaniczny elektryk gorliwie robił swoje oświetlając jedyny i zarazem ruchomy element dekoracji, w postaci wózka ciągnionego przez Puka, niczym przez Matkę Courage.

Bo chyba błędem dość karygodnym choreografa okazał się jego zamysł opowiedzenia tańcem zbyt drobiazgowo tych scenicznych perypetii, w które uwikłani są bohaterowie sztuki Szekspira, wskutek czego nawet widz znający literacki pierwowzór tego baletu musiał pilnie wodzić palcem po libretcie, aby nie pogubić się w wątkach i nie mylić postaci (zwłaszcza zbyt mało zróżnicowanych par) musiał też zaglądać do, pożytecznego zresztą, zestawienia kolejnych scen z tłem muzycznym oraz dodatkowo zerkać w obsadę, co niestety przytłumiało spontaniczność odbioru.

A przecież wykonanie taneczne było na ogół przyzwoite, oprócz już wymienionych świetnie spisywał się jako **Puk KRZYSZTOF STARCZEWSKI**, **Hipolitą** była **ANNA FRONCZEK**, **Hermią GRAŻYNA POPŁAWSKA**, **Heleną EDYTA WASŁOWSKA**, **Lizandrem TADEUSZ KOPEĆ**, **Demetriuszem — ARTUR LEWANDOWSKI**, **Tezeuszem WACŁAW NIEDŹWIEDŹ**, **Kwiatem Lubczyku — HANNA HADRYCH**, a barwną grupę rzemieślników tworzyli **ZBIGNIEW SOBIS**, **JAROSŁAW BIERNACKI**, **BOGDAN JANKOWSKI** (z olśniewającym „lwim" uśmiechem), **KAZIMIERZ KNOL** i **PIOTR WOJCIECHOWSKI**.

Orkiestra pod kierownictwem **Tadeusza Kozłowskiego** wykazała się dobrym przygotowaniem do wykonywania pomysłowego melanżu „Symfonii włoskiej", „Hebryd", „Ciszy morskiej" i wreszcie suity do „Snu nocy letniej" stanowiącej trzon muzycznego wsparcia. Dobrze brzmiał chór, bez zarzutu wykonywały swoje wokalne partie solistki **Teresa May-Czyżowska i Izabela Kobus**.

Z pewnością oddanie specyficznej atmosfery tej arcyurokliwej komedii Szekspira i finezyjnej muzyki Mendelssohna jest zadaniem dla baletu trudnym, ale wyobrażam sobie, że wykonalnym, jeśli pomyśleć o choreograficznych opracowaniach i tanecznych realizacjach Baletu Rambert, Baletu Bejarta czy holenderskiego zespołu Kiliana, które nie tak dawno temu oglądaliśmy w Łodzi.

Nasze najnowsze przedstawienie nie jest jednak, jak przypuszczam, takim snem, który zbyt wielu widzów chciałoby prześnić ponownie.

JERZY KWIECIŃSKI

Feliks Mendelssohn Bartholdy „Sen nocy letniej" Balet w dwóch aktach, trzynastu obrazach, na motywach dramatu Williama Szekspira. Libretto, reżyseria i choreografia **Gray Veredon**, kierownictwo muzyczne — **Tadeusz Kozłowski**, scenografia i kostiumy — **Bogdan Żmidziński**, **Tadeusz Hernas**, światło — **Chenault Spence**, przygotowanie chóru — **Elżbieta Kwiecień**. Premiera w Teatrze Wielkim w Łodzi, 26 października 1985 r.

JAROSŁAW WARZECHA

Zima pułkownika

(fragment powieści)

Ta mogła być ostatnia, bo każda zima już od wielu zim mogła być dla pułkownika Rzemienia ostatnia. Od dawna myślał, żeby się wreszcie stało, ale ciągle trwał. Przez wszystkie poprzednie.

Każda kolejna to były męki niepanowania nad wszystkim, nad czym kiedyś, dawno, jeszcze jako porucznik, kapitan, później przez kilka lat major, a jeszcze później podpułkownik, nie musiał panować w ogóle, bo nie było trzeba, bo To podporządkowywało się samo, z natury, z istoty, z oczywistości. Każda kolejna zima to była nowa walka kiedyś godzinami, a później całymi wieczorami, a jeszcze później przez całe noce z opornymi mięśniami, gdzieś, wewnątrz ciała, na których trzeba było skupić cały wysiłek woli, pamięci, uwagi, żeby trzymały to wszystko, co się jeszcze przelewało, fermentowało, bulgotało w środku.

W zaprzeszłym czasie ważne były inne mięśnie — silne nogi, którymi trzymało się konia, ręce do szabli, grzbiet przy kopaniu okopów.

I może jeszcze szczęki — do zaciskania z bólu, gdy w lipcu szesnastego roku, podczas ofensywy Brusiłowa i odwrotu nad Stochód został ranny w twarz i rękę pod Trojanówką.

Z pewnością szczęki, gdy znowu został ranny, tym razem tylko w głowę, w grudniu osiemnastego roku podczas prowadzenia szarży plutonu pierwszego pułku ułanów pod Dołhobyczowem.

Szczęki, gdy trzeba było je zaciskać za drutami obozu w Szczypiornie, między pierwszą i drugą raną.

Szczęki były ważne zawsze.

Pułkownik Rzemień, leżąc w ciemnościach próbował zacisnąć szczęki. Nie drętwiały już od tego zaciskania trzonowe zęby, nie tężały policzki.

— Cholera, nie potrafię zacisnąć szczęk. Mogę najwyżej przysunąć jedną do drugiej — pomyślał pułkownik.

Noc się dopiero zaczęła, więc miał przed sobą jeszcze wiele godzin leżenia i przypominania sobie tej jednej sprawy, tego jednego jedynego zdarzenia, dla którego żył tyle kolejnych zim, a bez którego nie mógł przecież umrzeć. Co to było? Co to takiego...? Ten jakiś fakt męczący, nie dający się rozluźnić do końca, nie pozwalający powiedzieć sobie — to już. To wszystko. Co to?

Gdzieś To tkwiło blisko, na samej granicy pamięci, że już, że za chwilę, że jeden krok, takie przecież oczywiste, takie najważniejsze, tuż za zaparowaną szybą, którą wystarczy przetrzeć. Już nie myślał, jak jeszcze dwie, trzy zimy wstecz, tylko o Tym. Krążył dookoła luźnych strzępów wierząc, że To wreszcie przyjdzie samo, niespodziewanie, najzwyczajniej.

W ciemnościach za oknem szumiała wielka topola. Pułkownik pamiętał, że tam jest i myślał, że szumi, chociaż nie słyszał już wiele. To się zaczęło po powrocie z więzienia. Podobno go tam nie bili, ale wrócił głuchy na jedno ucho, chociaż był jeszcze wtedy silny, na tyle, by zostać, najpierw nocnym dozorcą w fabryce, a później zastępcą kierownika w punkcie skupu złomu. Jeszcze przez wiele następnych lat sam kopał grządki w ogrodzie dokoła domu swojej drugiej żony, z którą zdążył wziąć ślub tuż po ostatniej wojnie. Opuścili wtedy ten dom i ten ogród. On został na Dolnym Śląsku dyrektorem kopalni gliny do czasu, gdy aresztowany do wyjaśnienia nie pojawił się przez następne siedem lat.

Topole za oknem widział tydzień temu. Wstał wtedy, by przejść się po pokoju. Ubieranie trwało długo, a pułkownik Rzemień musiał się ubrać. Nie pozwalał sobie na chodzenie po domu w pidżamie. Nie pozwalał sobie na to nigdy przedtem, więc nie widział powodu, żeby teraz. Ubieranie to była praca, podczas której trzeba zachować określoną kolejność, przebyć drogę wsuwania, wciskania, dopasowywania opornych nogawek, co plątały się tam, dokąd nie można już sięgnąć ręką, tylko milimetr po milimetrze ciągnąć do góry, aż wszystko znajdzie się na swoim miejscu. To przeciskanie przez dziurki zbyt małe, zbyt dużych guzików, za małych, by można je było wygodnie chwycić palcami. To wciskanie na swoje miejsce wszystkiego, co wyłaziło, wystawało, przekręcało się, chociaż powinno pasować i przylegać. Rzemień pomyślał, że po tygodniu leżenia znowu będzie trzeba jutro wstać, ubrać się i spojrzeć przez okno.

Ubrać się...

Wtedy, szesnastego grudnia dwudziestego drugiego roku, jako dowódca szwadronu przybocznego Prezydenta Rzeczypospolitej, nie musiał myśleć o ubieraniu. Właśnie wrócił około jedenastej z ćwiczeń pod Wilanowem. Ułani rozsiodływali konie. Porucznik Rzemień poszedł do kancelarii. Rozluźnił pas, powiesił na wieszaku szablę. Zadzwonił telefon. Major Maciesza mówił z Belwederu. Alarm! Natychmiast przed Belweder!

Siodłać! Zbiórka!

Porucznik Rzemień galopował na czele szwadronu przez Łazienki, obok Pałacu, pod górę do Belwederu.

Przed bramą stał major Maciesza. Patrzył na zegarek. Porucznik spojrzał na swój. Osiem minut od zarządzenia alarmu. Świetny czas!

Major wydał rozkaz — Kłusem pod Zachętę!

Ruszyli przez Aleje Ujazdowskie, Bracką, Mazowiecką.

Na schodach Zachęty stał rotmistrz Sołtan — Pan Prezydent zabity!

Podjechało lando. Porucznik ustawił szwadron w szyku rozwiniętym. Czterech ludzi znosiło na noszach ciało Prezydenta, przykryte biało-czerwoną flagą.

Szwadron sprezentował broń.

Nosze ustawiono na landzie. Generał Jacyna i rotmistrz Sołtan stanęli na stopniach.

Ruszyli. Za nimi, w szyku eskortowym, szwadron. Do Belwederu.

Później stali jeszcze na dziedzińcu, nie odchodząc do koszar. Porucznik Rzemień wiedział, że stało się coś bardzo złego, coś najgorszego, ale nie interesował się polityką na tyle, by znać zasady całej skomplikowanej gry, co doprowadziła do śmierci tego kulturalnego starszego pana profesora, mądrego i uczciwego patrioty.

Porucznik Rzemień był dobrym żołnierzem i na pewno lepiej niż ta dupa rotmistrz Żuromski osłoniłby Prezydenta kilka dni temu podczas przejazdu do Sejmu. Żuromski nie tylko nie osłonił, ale jadąc na czele szwadronu sam dostał kijem po łapie od jakiegoś draba. Trąba!

Żona oddychała głośno w drugim końcu pokoju. Topola szumiała zimowym wiatrem.

Czasami zaskakiwał wszystkich swoim słyszeniem. Mówili wtedy przy nim nie podnosząc głosu — żona i syn, i stara gosposia, co po wojnie nie brała pensji. Zapominali, że to tylko na chwilę, aż sam musiał przypomnieć, że jest głuchy. I wtedy znowu mówili przy nim wszystko. Pewnego dnia postanowił więcej się nie przyznawać do tych nawrotów i ogłuchł na zawsze. Wtedy zauważył, jak wszystko rozpada się z roku na rok, z miesiąca na miesiąc, a później coraz prędzej — z dnia na dzień. Fotel, na którym siedział, chwiał się coraz bardziej, płowiał i coraz głębiej zapadał. Pewnego dnia zmętniało i poczerniało lustro przy toalecie, zacięła się roletka przy sekretarzyku, a z drzwi przy bibliotecznej szafie odpadły wszystkie okucia. I dom, ten dom jeszcze niedawno najmocniejszy, osłabł także. Na suficie pojawiały się, najpierw niesmiało, w rogach pokoju, małe żółte plamki zacieków. Trwały, aż stawały się czymś codziennym. Wtedy pojawiały się następne, bliżej środka. Po miesiącu nowy zaciek był starym zaciekiem. Później następny i jeszcze jeden, i jeszcze. Pewnego dnia zaczęło kapać. Załatano dach, ale pułkownik Rzemień czuł, że wewnątrz, gdzieś między murami, belkami stropu, wiązaniami dachu dojrzewa nowa słabość domu.

Tamtej nocy, gdy po drugiej stronie frontu chciał szukać swoich, miał bardzo niewygodne buty. Dlaczego je wtedy włożył? Może dlatego, że przypominały trochę buty austriackiej piechoty? Może wydawały się mocne i niezawodne na długi marsz? Włożył też swój mundurek ze szkoły Rontalera. Lato było ciepłe, ale noc mogła być zimna, a przy tym przeprawa przez rzekę... Byle przedostać się przez Bzurę. Front rosyjski cofał się na całej długości. Wieczorem grał w karty z rosyjskim generałem i jego synem, kolegą z kursów rolniczych Pomorskiego. Jak on... jak... O jedenastej spotkali się na rogu Miodowej i Krakowskiego Przedmieścia. Syn generała i Rzemień. Szli w stronę Sochaczewa. Przez ciemne wsie, szczekające psy. Niedaleko Sochaczewa spotkali na drodze swobodnie biegającego konia. Kolega, jak on...? przyłożył koniowi po kłębie i koń pogalopował przed siebie w noc. Skręcili w lewo, na łąki. Gdzieś tam musiała być rzeka. Słychać było front, widać ognie. Szli. Jak on się nazywał, ten syn generała?

Do Warszawy wrócili następnego dnia w południe. Umazani ziemią, połamani. Rzemień niósł swoje buty na kiju. Z rosyjskich urzędów na Krakowskim ładowano na wozy stosy skrzyń i luźnych akt powiązanych w paczki. Ciotka przyjęła go w domu milcząc, nie pytając o nic. Spał bez przerwy do południa następnego dnia. O czwartej wyszedł z domu. Niedaleko placu Krasińskich spotkał na ulicy kuzynkę. Chciał ją minąć, ale zatrzymała się i sama zaczęła rozmowę. Już wiedziała. Następnego dnia, razem poszli do jakiegoś mieszkania na pierwszym piętrze przy Placu Trzech Krzyży. Złożył przysięgę. W tamtym mieszkaniu... w przedpokoju stał bambusowy stolik, wieszak z mosiężnymi hakami, w kształcie głowy słonia...

W mieszkaniu u ciotki kuzynka zaszywała później w guzikach meldunki. Nie pytał. Pomagał jej. Pojechała wtedy i miesiąc później znowu zjawiła się w Warszawie, ale on już...

Niemcy zajęli Warszawę tydzień później. Czwartego sierpnia wieczorem zadzwonił do drzwi mieszkania ciotki nieznany Rzemieniowi chłopak. Proszę stawić się...

Piątego...

Co jest takiego, że zostają jakieś obrazy nieważne przecież, bez znaczenia, bez związku... te mosiężne haki w kształcie głowy słonia z podniesioną do góry trąbą śniły mu się wiele razy w życiu. I na dzień przed wymarszem Batalionu pod Brześć nad Bugiem i przed szarżą pod Trojanówką i jeszcze wiele lat później, podczas nocy w niemieckiej stodole, gdy ewakuowano obóz.

Żona oddychała spokojnie. W sąsiednim pokoju obudził się pies. Wskoczył na fotel, na którym nie wolno mu było spać. Rano uda najbardziej niewinnego.

Pułkownik Rzemień pomyślał, że gdyby wtedy nie spotkał kuzynki, jego życie mogło być inne. Gdyby później...

Konie. Zostało jeszcze trochę zapachu końskiego potu, parującego świeżego nawozu, szorstkości sierści i delikatnego dotyku chrap, warg ściągających z dłoni cukier, chybotania, narsz, marsz. Węch i dotyk, i pamięć mięśni kołysanych kilometrami.

Waśka przyszedł do folwarku z rosyjskimi taborami, wprzęgnięty do wozu, z ropiejącą raną w kłębie. Rosły, doński koń, wychudzony, ale widać było, że pamięta lepsze czasy. Gniadosz z białą strzałką. Rzemień chodził koło niego, chodził, chodził. Wojsko zarekwirowało dwa folwarczne konie, a rosyjski starszyna zgodził się za nieduże pieniądze Waśkę zostawić.

Waśka łagodny i zawsze chętny, trafiony kozacką kulą podczas szarży na leśnej drodze.

Rzemień patrzył w oczy Kozaka, którego za chwilę miał ciąć szablą w głowę. Waśka zrobił jeszcze pięć, sześć kroków, ale to wystarczyło. Tamten stał czekając wykonania wyroku. Rzemień ciął z całej siły na odlew, od ucha, z lewej od góry do prawej w dół i zwalił się razem z Waśką.

Szarża przeszła. Leżał w leśnym rowie. W głowie huczało. Ktoś obok mówił po rosyjsku. Ktoś zastanawiał się, czy ten tu nie żyje. Ech, może żyje? Może pchnąć bagnetem? Tak na wsiakij słuczaj? Ale zaraz drugi powiedział, żeby zostawić, że nie żyje na pewno, że szkoda czasu. Chyba zaczęli obdzierać kogoś leżącego obok. Kto tam mógł leżeć? Trzasnęły dwa strzały. Jeden po drugim. Blisko. Tamtych dwóch pobiegło ciężko w las. Rzemień usiadł. Głowa! Wstał i zaczął iść nad rowem, zataczając się od drzewa do drzewa. Waśka leżał niedaleko z rozerwaną piersią i dużą raną w boku. Rzemień wszedł głębiej w las. Przedzierał się teraz młodnikiem obok drogi. Głowa! Wielki, huczący tunel bez końca. Poorzez ten szum usłyszał głosy. Swoi! Trzech Kozaków pilnowanych przez żołnierza siedziało pod drzewem na polanie. Inni żołnierze wytrząsali na rozłożony koc naboje z kozackich ładownic. Rzemień wyszedł na nich ze zwisającym czerwonym płatem policzka. Żyjesz, żyjesz! We wszystkich kozackich ładownicach pociski miały spiłowane czubki i ponacinane w karby brzegi. Rozstrzelać! Rozstrzelać ich! Rozstrzelać! Trzech żołnierzy odprowadziło Kozaków dalej w las. Rzemień zrozumiał teraz rozerwaną pierś Waśki i swoją ranę na policzku. Po normalnej kuli zostałaby tylko mała czerwona kreska. Duduś, Duduś, pełno krwi na mundurze! — krzyczeli koledzy.

Wyleciało dużo krwi. Zemdlał.

Waśka został Bazylem zaraz po tym, jak Rzemień przyprowadził go do koszar na Żurawiej. Bazyl, ale Bazyl! Został Bazylem. Piątego sierpnia, w czwartek Rzemień miał stawić się w Pałacu Namiestnikowskim na Krakowskim Przedmieściu. Poszedł. W salach na parterze było może stu, może więcej, takich jak on, młodych. Inni nadciągali grupami z miasta, niektórzy z karabinami, na sznurkach przewieszonymi przez ramię. Ktoś zarządził zbiórkę. Rzemień go znał — Jędrzejewicz — bywał czasem u ciotki. Policzono ich. Do wieczora zjawiło się dwustu sześćdziesięciu pięciu ludzi. Porozłazili się po salach na noc. Kanapki, stoły, podłogi śpiących. W nocy ktoś zaczął Rzemienia szarpać. — Ty, wstawaj, idziesz na wartę.

— Nigdzie nie idę, idź sam — powiedział Rzemień i spał do rana. Tamten zaczął jeszcze mówić, że złoży raport, ale Rzemień specjalnie się tym nie przejął. Grał przecież w karty z rosyjskim generałem. Nikt go nie będzie straszył raportem. Rano stanął przed Jędrzejewiczem. Komendant Batalionu zrobił groźną minę, wygłosił kilka ostrych słów o dyscyplinie. Po wszystkim. Co można było zrobić więcej? Areszt? Po nocy w Pałacu Namiestnikowskim i tak puszczono wszystkich do domów na śniadanie i obiad. Niektórzy szli na miasto z karabinami. Na wszelki wypadek. Żeby nie zginęły. Może nie dlatego? Może po to, by przemaszerować demonstracyjnie koło „Bristolu" i „Europejskiego"? Sztab 9 Armii niemieckiej stał w „Bristolu", dowództwo XXV korpusu w „Europejskim". Wartownicy niemieccy przerywali wtedy swój spacerek pod głównymi drzwiami i patrzyli wściekle na tych cywilów w sportowych ubraniach pod bronią. Zaraz po południu nadeszły pierwsze wieści, że żandarmeria niemiecka zatrzymała kilkunastu peowiaków chodzących pojedynczo z bronią po mieście i osadziła ich w więzieniu na Mokotowie. Rzemień miał przy sobie tylko mały belgijski pistolet podarowany przez ojca i wrócił do ciotki na Krakowskie bez przeszkód. U ciotki czekał ojciec. Na podwórzu stał pełen wóz furażu i przywiązany z tyłu Waśka.

Rzemień chodził po Namiestnikowskim, tak jeszcze niedawno niedostępnym. Kto tu siedział? Kto przechodził przez te drzwi, stał przed tymi lustrami? Lustra nie mogły pokazać, ściany nie mogły opowiedzieć. Kładli się spać jak poprzedniej nocy. W sali obok złożyli sto trzynaście sztuk różnych karabinów, dziewięć tysięcy dziewięćset sześćdziesiąt ładunków różnych kalibrów, dwieście osiemdziesiąt dziewięć szabel i siedemdziesiąt dziewięć bagnetów. Na wojnę! Żeby już na wojnę iść! Kilkunastu, może nawet kilkudziesięciu nie wróciło z obiadu do Namiestnikowskiego. Nie wróciło już nigdy więcej.

W sobotę spadł deszcz. Dokładnie o dziewiętnastej trzydzieści trzy kompanie batalionu, razem stu osiemdziesięciu ludzi maszerowało Krakowskim i Nowym Światem w kierunku Żurawiej. Bez broni. Ulice stały mokre. Deszcz przestał padać. Szli do gmachu byłej komendy żandarmerii rosyjskiej przy rogu Wielkiej i Żurawiej. Niedawno wybudowany gmach miał być wygodniejszy i przede wszystkim na uboczu. Szli śpiewając „Naprzód drużyno strzelecka", „Hej, strzelcy wraz", „Dalej bracia do bułata" i od nowa „Naprzód drużyno...". Więcej piosenek nie znali. Ludzie zatrzymywali się przy krawężnikach i patrzyli obojętnie. Czasem tylko jakiś pojedynczy głos zawołał „Niech żyją strzelcy", ale zaraz milkł i ten, który krzyknął wycofywał się prędko pod ścianę kamienicy, albo stał dalej, ale już oddzielony od innych murem obojętnej nieżyczliwości. A batalion zaczął nagle iść równo, noga w nogę, jak nigdy przedtem i jak potem wiele razy.

Rzemień poprosił o zwolnienie i pobiegł po Waśkę. Przed dziewiątą byli z powrotem. W stajni na Żurawiej stał już koń Wuja. Najlepszy — jak mówił Wujo — koń na świecie. Wujo, kawalerzysta armii rosyjskiej, uciekł na tym koniu aż z Łotwy, by w ciągu dziesięciu dni zameldować się w Warszawie. Wujo — trzydzieści dwa lata — najstarszy i Rzemień — siedemnaście — najmłodszy w patrolu konnym, byli pierwsi. Później zaczęli przybywać pozostali. Ósmego sierpnia szli do Kościoła.

Alejami Jerozolimskimi i Nowym Światem, ubrani sportowo, ale z biało-czerwonymi kokardami przy maciejówkach. I znowu ludzie przyglądający się obojętnie z chodników. Rzemień patrzył w kark idącego przed nim. Ktoś za nim patrzył w kark Rzemienia. Ci na przedzie patrzyli przed. Dalej bracia do...

Po nabożeństwie odśpiewali w kościele „Rotę" wśród ludzi stojących niemo albo przepychających się do wyjścia. Jakaś paniusia obok Rzemienia westchnęła — Kiedy wreszcie wrócą nasi.

Wracali przez Warszawę ciągle jeszcze obwieszona rosyjsko-polskimi szyldami, choć na rogach ulic nie było już stupajków. Hej, strzelcy...

Rzemień doglądał Waśkę, a wóz furażu, który przyprowadził ojciec, wzbudził entuzjazm u tych kilku innych, którzy dołączyli na koniach.

Wiatr dalej szumiał w gałęziach wielkiej topoli za oknem, ale poprzez ten szum pułkownik Rzemień usłyszał nagle śpiew słowika. Słowik? Jest środek zimy. Może świat zwariował? Słyszał tykanie zegara, oddech żony i mruczenie przez sen psa. Słyszał więc i słowika. Świat mógł zwariować, ale Rzemień jest przecież ciągle ten sam. I to on szedł wtedy w niedzielę piętnastego sierpnia w dzień Matki Boskiej Zielnej do katedry Świętego Jana ze swoim Batalionem. Ciągle jeszcze nie mieli mundurów, ale mieli już czapki i pasy. O siódmej trzydzieści stanął z innymi na zbiórce. Po raz pierwszy rozdano broń. O pół do dziesiątej wymaszerowali kolumną czwórkową przez bramę. Trzystu chłopa. Ulice nie były już tak obojętne, jak jeszcze tydzień temu. Ludzie jakby inaczej patrzyli i jakby inaczej stawali na chodnikach i rozmawiali jakby inaczej. Rozmawiali o nich. Znowu śpiewali po nabożeństwie „Święty Boże" i „Boże, coś Polskę" i „Rotę", ale już wspólnie z tłumem, chociaż proboszcz kazał zagłuszać śpiew głośną muzyką organów, które grały sobie. I wtedy też. Wtedy, trzeciego września trzydziestego dziewiątego roku w wileńskiej katedrze, gdy podpułkownik Rzemień wyruszał na front ze swoim pułkiem ułanów, by już nigdy więcej nie wrócić do tego miasta i do tego wojska, do swoich dwóch synów i do żony z tamtego życia. Wtedy też organy grały inaczej, bo organista pomylił melodię, nie widział nut, płatały mu się palce trzęsące ze wzruszenia, z niewiadomego co teraz będzie, co teraz, gdy nasze wojsko wychodzi z miasta, nasze wojsko. Wyruszali eszelonem z Wilna. Pułk z końmi, taczankami, pułkową artylerią. Na południe, na linię Bugu. Dla oficerów w środku składu wagon osobowy. Wojna, wojna, ale drzewa i niebo stały, jakby się nic nie wydarzyło. Jak wcześniej jak zawsze i jak wtedy. Młodszy syn został z matką w mieście. Starszy był gdzieś ze swoim pułkiem. Gdzieś tam jechał na swoim koniu. Może szedł już tylko? Już szedł.

W piętnastym roku wracali w Matki Boskiej Zielnej przez Plac Zamkowy szpalerem ludzi, z którego nagle posypały się kwiaty — od matek, żon, narzeczonych. I już okrzyki. Niech... strzelcy. Niech legioniści!

Piętnastego sierpnia przyjechał do Warszawy Komendant. Ale Rzemień jeszcze go wtedy nie widział, nie był obok Niego tak blisko, jak to się później zdarzało.

Ojciec załatwił niebieskawe sukno na ułankę, a krawiec Ulenieckí z „Bristolu" uszył w trzy dni. Wujo i Zygmunt, i Julek też mieli niebieskawe ułanki. Cały patrol konny. Reszta Batalionu dostała mundury z zielonego, jak armia rosyjska. Tylko krój i odznaki były inne. Swoje. A sierpień wtedy... Jaki to musiał być sierpień, że tydzień później dwudziestego drugiego znowu piękna pogoda. Niedziela, pobudka o trzeciej, słońce wschodzi, Waśka parska. Batalion w szyku rozwiniętym na Wielkiej. Patrol konny na prawym skrzydle. Kolumna czwórkowa w prawo! Maszerować! I marsz, marsz. Już naprawdę, na zawsze, na życie, na śmierć. Już. Żurawią w stronę Książęcej, do Miłosnej, gdzie pierwszy postój. O dwieście kroków przed patrolem konnym Batalionu patrol ułanów niemieckich. Sztywnych, podskakujących na swoich dużych koniach, w dwóch szeregach po dwu stronach ulicy.

Kopyta Waśki — Bazyla — Bazyleusa ruskiego, dzwoniące na kamieniach i Zygmunt strzemię, obok, i Julek, i ci wszyscy z tyłu w bruk walący nogami, i ci po obu chodnikach odprowadzający, jakby żal im było, że nie stało odwagi, by środkiem ulicy maszerować. Kto myślał, że nie wróci? I Zygmunt nie, i Julek nie... Nikt o sobie i o drugich tak nie myślał. Zjeżdżali w dół do mostu pontonowego. Z prawej Wisła przelewała się między leżącymi w wodzie przęsłami Trzeciego Mostu, daleko z lewej wystawały z nurtu pogruchotane kratownice mostu Kierbedzia. Kopyta koni, a później buty, buty piechurów waliły w deski. Warszawa zostawała. Ta Warszawa, gdzie dwa miesiące temu ciągnął Nowym Światem pułk kozaków z orkiestrą na czele, a wiwatujący tłum na chodnikach krzyczał po polsku „Niech żyje nasze wojsko", „Niech żyją nasi obrońcy!". Panie kupowały kwiaty i biegały w środek końskich szeregów, panowie garściami wtykali Kozakom papierosy. A ci, patrzyli z wysoka na ludzi, co może zapomnieli już wszystko. Tak szybko. Rzemień stał pod murem kamienicy i chciał pamiętać za panie z kwiatami i za panów z szeroko otwartymi papierośnicami. Zostawała Warszawa.

Na drugim brzegu odwrócił się, by jeszcze raz spojrzeć. Nad miastem lśniły w słońcu kopuły soboru.

Polemiki • Listy • Opinie

JESZCZE RAZ O RETKINI

Czuję się w obowiązku odpowiedzieć Stefanowi Urbaniakowi, który w „Odgłosach" z 12 października 1985 roku postawił mi kilka zarzutów.

1. Gdy Stefan Urbaniak „List z Retkini" omawia, to omawiając używa własnych sformułowań, których w moim „liście" nie ma i przypisuje je mnie. A to niezupełnie to samo. To raczej dowolna interpretacja.

2. Pracuję w Samorządzie Retkinia-Piaski od samego powstania osiedla i mam własne spojrzenie na panujące tam stosunki i na ludzi, z którymi dane mi było i jest obecnie się spotkać.

3. Uwagi moje zawarte w „Liście z Retkini" oparte są na konkretnych wydarzeniach. Między innymi na przebiegu zebrania mieszkańców z 13.V.85 r., z którego protokół znajduje się w Radzie Nadzorczej do wglądu. To dokument konkretny.

4. Pojęcie „klika" — to pojęcie konkretne i ci, którzy do niej nie należą nie powinni się obrażać. Na szczęście nie wszyscy tej chorobie ulegają. Pisząc o Radzie Nadzorczej RSM „Polesie", użyłam zwrotu „niektórzy". To od każdego zależy, w której grupie działających tu społecznie znajdzie się. S. Urbaniak jest niedawno w Radzie Nadzorczej, bo dopiero od 27 czerwca 85 r., więc nie ma powodu do obrażania się, bo nie pod jego adresem były moje uwagi.

5. Jeżeli prezes i Rada Nadzorcza RSM „Polesie" są oburzeni moimi publikacjami, to powinni już dawno wytoczyć mi proces o zniesławienie z art. 178 p. 1 KK, zamiast mi grozić tym na łamach „Odgłosów".

MARTA SOBOCKA
(Przewodnicząca Samorządu Łódź-Piaski)

Łódź, dnia 25.10.85 r.

„W ŚRODKU POLSKI — W ŚRODKU ŻYCIA"

Łódzki Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, Krajowa Agencja Wydawnicza Oddział w Łodzi, Redakcja tygodnika „Odgłosy" organizują regionalny konkurs dziennikarski: „W ŚRODKU POLSKI — W ŚRODKU ŻYCIA '85".

I. Cele konkursu:

a) Dziennikarska dokumentacja współczesności we wszystkich aspektach.

b) Inspirowanie ambitnego reportażu, artykułu publicystycznego, wywiadu.

c) Stworzenie dodatkowych możliwości wypowiedzi publicystom, których w macierzystych redakcjach wiążą niekiedy rygory objętości materiału.

d) Zachęta do doskonalenia warsztatu zawodowego.

II. Tematyka dowolna: społeczna, ekonomiczna, kulturalna, partyjna, młodzieżowa, obyczajowa światopoglądowa, rolna.

III. Organizatorzy oczekują prezentacji:

a) znaczących dla regionu faktów i zdarzeń;

b) ludzi czynu — zarówno już znanych, jak i cichych bohaterów, których nazwiska nie trafiły do gazet, radia czy telewizji;

c) szlachetnych inicjatyw, ale także (jeżeli się zdarzyły) zmarnowanych okazji i nie docenionych jednostek;

d) przykładów bezinteresownej życzliwości (ale również zasługujących na napiętnowanie);

e) zrealizowanych aspiracji, ale i rozczarowań;

f) kształtowania postaw jednostek i grup środowiskowych.

IV. Regulamin konkursu

1. W konkursie mogą wziąć udział wszyscy dziennikarze z województwa miejskiego łódzkiego, piotrkowskiego, sieradzkiego i skierniewickiego.

2. Publikacje powinny poruszać problematykę wymienionych województw oraz regionu łęczycko-kutnowskiego, prezentować ludzi związanych z naszym regionem i mieć odniesienie do zdarzeń i faktów z 1985 r.

3. Każdy autor może złożyć dowolną ilość prac.

4. Rozpatrywane będą wyłącznie publikacje nigdzie nie ogłaszane.

5. Objętość — do 20 stron maszynopisu (60 znaków w wierszu, 30 wierszy na stronie).

6. Nagrody (ufundowane przez SD PRL, KAW i Łódzkie Wydawnictwo Prasowe): I — 40 tys. zł, dwie II — po 30 tys. zł, dwie III — po 20 tys. zł, dwa wyróżnienia — po 10 tys. zł. Jury może dokonać innego podziału nagród.

7. W wypadku mniejszej liczby nagrodzonych prac niż wynosi ilość nagród — nie wykorzystana kwota zostaje przeniesiona na rok następny, z przeznaczeniem na ten sam cel.

8. Każda praca powinna być umieszczona w zamkniętej kopercie opatrzonej godłem. W drugiej kopercie, z identycznym godłem, należy umieścić kartę z imieniem i nazwiskiem, adresem albo nazwą redakcji.

9. Publikacje na konkurs należy przesłać lub złożyć w **Zarządzie Oddziału Łódzkiego SD PRL do 31 grudnia 1985 r.** Na kopertach należy napisać: **Konkurs „W środku Polski, w środku życia '85"**

10. Ogłoszenie wyników i wdręczenie nagród nastąpi w styczniu 1986 r., w ramach uroczystości związanych z rocznicą wyzwolenia regionu.

11. Jeżeli konkurs spełni oczekiwania organizatorów istnieje możliwość opublikowania najciekawszych prac (nie tylko nagrodzonych) w wydawnictwie książkowym i ich druku w „Odgłosach".

12. Ewentualne inne kwestie związane z konkursem, nie wymienione w regulaminie, rozstrzyga Jury.

Łódź, 23 października 1985 r.

„RZECZPOSPOLITA ZAPŁACI"?

Ze zdumieniem niedawno przeczytałem w „Moto-sprawach" „Głosu Robotniczego", że „...najprawdopodobniej zmieni się nomenklatura dróg... według zasady im mniej cyfr tym ważniejsza droga..." I dalej, że drogi krajowe i międzyregionalne mają mieć numery do „100", dwie pierwsze cyfry będą wyznacznikiem województwa. Tak więc dotychczasowa E-16 ma mieć nr 1 itd. (Rozmowa z dyrektorem WPDiM).

Bardzo lubimy reorganizować i modyfikować, tylko że najczęściej okazuje się to niewypałem. Jak się wydaje — proponowana zmiana będzie służyła przede wszystkim lepszemu samopoczuciu organów administracji i przedsiębiorstwom komunalnym zajmującym się drogami. A najmniej samym użytkownikom.

Wyjątkowo długo utrzymuje się dotychczasowe oznakowanie dróg i jakoś to nikomu nie przeszkadza. Przeciwnie — powiedziałbym, że już ze dwa albo trzy pokolenia przyzwyczajone są z pamięci odtworzyć trasę E-12 czy E-16 i zmiana np. na „24315" nas nie uszczęśliwi (24 — to województwo łódzkie).

Mam więc przy tej okazji kilka pytań:

1. Czy podział na województwa i ich granice zakładamy na najbliższe 100 lat? Przecież może za chwilę przyjść znowu komuś do głowy, że ilość województw jest zbyt duża.

2. Czy pomyślał ktoś, że oznaczą to automatyczną dezaktualizację wszystkich map i atlasów samochodowych, sądzę, że nie tylko krajowych, lecz i zagranicznych, bowiem białą plamą na mapie motoryzacyjnej Europy chyba nie jesteśmy?

3. Ile to będzie kosztowało?

Chciałbym się czuć przekonany, że jest to niezbędne i gospodarczo uzasadnione. A tymczasem kojarzy mi się ta „nowość" z kodem na poczcie. Niby każdy kod winien oznaczać określony urząd pocztowy, tymczasem telegramu z numerem kodu i od razu ulicą nie przyjmą. Trzeba wpisać nazwę miasta i województwa. I za to zapłacić. W przypadku reorganizacji nomenklatury dróg — zapłaci Rzeczpospolita. Czyli my wszyscy.

W. AFELT

REFLEKSJE OKRADZIONEGO

Horoskop dla „Bliźniąt" na ten tydzień brzmiał: „...czekają Cię dobre dni..." Przeczytałem to w niedzielę w „Dzienniku Łódzkim". Natomiast w poniedziałek około godziny 12.00 telefonuje do mnie żona: „Natychmiast jedź do domu! Okradziono nas!" Wsiadłem tedy natychmiast w taksówkę i po piętnastu minutach byłem na miejscu.

Rzeczywiście. Okradziono nas. Przed południem. Nie ze złudzeń, lecz dosłownie. Rozbebeszone drzwi, zresztą również u sąsiada z przeciwka (dwa mieszkania na kondygnacji). W domu dziecko, które dopiero co wróciło ze szkoły i — całe szczęście, że nie napatoczyło się na „operujących" w tym czasie włamywaczy, bo nie wiem, czym by się to mogło skończyć.

Oczywiście telefon do MO, funkcjonariusze, odciski palców, ocena strat itp. Nie mam pretensji — wszystko zgodnie z zasadami sztuki kryminalistycznej. Czekam na wyniki bez nadmiernych nadziei.

A jeszcze nie tak dawno pisałem, że nie współczuję skazanym, bo bez przerwy czytamy o kradzieżach, napadach, gwałtach, morderstwach i innych patologicznych zjawiskach. Dziś tym bardziej nie współczuję. Może ktoś zapytać: no i co z tego, czy ty jedyny? Oczywiście, że nie! I nie dlatego piszę, aby się uskarżać lub „wypłakać w klapy". Lecz po to, aby zwrócić uwagę na dwa aspekty zagadnienia.

Po pierwsze: mam wrażenie, że stopień zagrożenia w Łodzi wzrasta. Wprawdzie czytamy dość często o skazanych za czyny określone kodeksem karnym, lecz częściej za gospodarcze (i to dobrze!), rzadziej za rozboje, kradzieże itp. Mimo szeregu ustaw mających za cel przynajmniej ograniczenie przestępstw (m.in. przez karalność bezczynności „urodzonych w niedzielę") mimo wzmożenia represji. Widocznie resocjalizacja skazanych nie daje spodziewanych rezultatów. Nie będąc w tym zakresie fachowcem — nie śmiem sugerować środków stosowanych w Anglii lub Szwecji swego czasu, które to środki, jakkolwiek nazwane „ahumanitarnymi" były na ładne kilkaset lat skuteczne. Gdy patrzę codziennie na te same buzie, sterczące od godziny 6 rano i obserwujące bacznie, co by tu można, wszelkie ludzkie metody postępowania stają mi się obce.

Wniosek? Aby skończyć choćby z cieniem pobłażliwości, a właściwe organy prosić o nasilenie penetracji i patroli. Oceniając bez ogródek: jeśli do niebieskich mundurów, obywatele niektórzy nawet coś macie — to nie w sytuacji, gdy was ktoś zarzyna i okrada. I w tym duchu rozmawiałem ze „śledczym", który okazał się miłym i wyrozumiałym człowiekiem.

Po wtóre: przy tej zupełnie niemiłej okazji uświadomiłem sobie, że to, co budowlani nazywają d r z w i a m i — jest niczym innym, jak posklejanym próchnem, składającym się z minimalnej ilości drewna i tektury pomalowanej na biało. Takie drzwi są dobre między pokojami, lecz nie na zewnątrz. Nie odkrywam Ameryki, bo fachowcy już dawno określają naszą stolarkę napoleońskim słowem „merde", co na nasze tłumaczy się „gówno". Jest jednak faktem, że posiadając nawet tę świadomość t e o r e t y c z n i e zdajemy sobie sprawę z rzeczywistości dopiero wówczas, gdy nam ktoś mieszkanie wybebeszy.

Wniosek? Nie liczmy na ubezpieczenie, lecz pomyślmy realnie o zabezpieczeniu naszych drzwi wejściowych. Blachą, zamkami wewnętrznymi, blokadami, domo-alarmami itp. Póki co — na bardziej solidne wykonanie drzwi wejściowych ze strony budowlanych się nie zanosi, a o swobodnym kupnie broni palnej by stwarzać obywatelską samoobronę, też nie ma mowy.

I jedynie w celu, aby uświadomić Czytelnikom takie sytuacje — napisałem kreśląc się tylko inicjałami — a nuż mnie kto przetrąci?

A.B.

IESZCZE W SPRAWIE GUSTÓW I OCEN

Dwaj, znakomici skądinąd, panowie L.W. i L.B. dziwią się sytuacji, „że krytycy coś chwalą, piszą uczone rozprawy, a ludzie po prostu tym się nie interesują. I bywa odwrotnie: krytycy ganią, wybrzydzają, a ludzie tym się zachwycają". I zadają niezwykle konstruktywne, pobudzające myślowo pytanie: „Skąd się bierze taka rozbieżność w sądach?" (ODGŁOSY nr 34/85). Jest to rzeczywiście kapitalne zagadnienie. W swojej króciutkiej wypowiedzi stwierdziłem, że taka rozbieżność m u s i istnieć, co więcej, ona, w normalnych warunkach społecznych p o w i n n a istnieć.

Trzeba powiedzieć przede wszystkim, że różnica w gustach i ocenach krytyków i masowego odbiorcy nie jest osobliwością ani naszego kraju, ani naszych czasów.

Prapremierę „Wesela" St. Wyspiańskiego mogła oglądać tylko elita towarzysko-intelektualna Krakowa, premierę widowiska teatralnego „Wesele" w TV może oglądać pół Polski, zarówno profesor literatury, jak „chłopek-roztropek" spod Limanowej. Nastąpił ilościowy wzrost krytyków i podniesienie przy ogromnym jego zróżnicowaniu poziomu ogólnego odbiorców. To, co się podoba jednemu krytykowi, drugi „odsądza od czci i wiary". Przykładem pierwszym z brzegu, bodaj „Próba" T. Siejaka i zachwyt, j. w. tym wypadku, w uszach, jurorów.

Inną przyczyną różnic w ocenach mogą być różnice w przyjętych kryteriach. Oto stwierdzono, że na poprzednim Konkursie Chopinowskim „skrzywdzono" Ivo Pogorelića, nie przyznając mu takiej nagrody, na jaką zasługiwał zdaniem publiczności. Czyste nieporozumienie! Jak wyjaśnił Jan Weber w TV, dla jury naczelnym kryterium oceny była wierność tekstowi czyli nutom kompozytora. Dla publiczności naczelnym kryterium jest brzmienie muzyki i osobowość wykonawcy. Im bardziej więc muzyk „uwspółcześni" swoją interpretację, tym ma większe szanse na spodobanie się publiczności, ale tym bardziej przepada w oczach, tj. w tym wypadku, w uszach, jurorów.

Do pobłażliwego traktowania różnic w gustach i ocenach skłania także spojrzenie z perspektywy historycznej, i często nie jest potrzebna nawet długa perspektywa. Za czasów Adama Mickiewicza, kiedy wiersze nowoczesne młodego Poety bardzo nie podobały się krytykom — „klasykom", tzw. wiersz biały czyli pozbawiony rytmu i rymu nie podobał się wszystkim. Dziś na łamach ODGŁOSÓW prawie nie gości wiersz z rymem i rytmem, i uważamy to za normalne.

Zgodność ocen krytyków i publiczności powinna być sygnałem do głębszego zastanowienia się. Almanachy są pełne nazwisk tzw. cudownych dzieci, obiektów zachwytu zarówno krytyków jak odbiorców, o których w następnych wydaniach słuch zaginął. Pół biedy z tym, znacznie gorzej, gdy zgodność jest w sensie ujemnym, zwłaszcza, gdy twórca, jako człowiek wrażliwy z natury, zbytnio bierze sobie takie oceny do serca, nie mogąc pocieszyć się skutecznie maksymą o względności sądów, albo gdy od odbioru jego sztuki byt zależy.

Klapa opery Bizeta „Carmen" przyśpieszyła koniec życia wielkiego kompozytora. Krytykom nie spodobały się nowości harmoniczne, publiczności (a była to publiczność z tzw. towarzystwa) nie spodobała się postać robotnicy na scenie operowej. Dziś trudno sobie wyobrazić ambitniejszą operę nie mającą w repertuarze „Carmen". Po pierwszym wystawieniu „Szału" M. Podkowińskiego krytycy wybrzydzali na błędy w anatomii konia popełnione przez malarza, publiczność była zgorszona tematyką, co niemal nie doprowadziło do zniszczenia obrazu przez twórcę. Dziś „Szał" jest znany z tysięcy pocztówek i reprodukcji, i niewielu pamięta, że pełny tytuł tego obrazu brzmi „Szał uniesień". Nieliczni obrotni marchandzi robili kokosy na Utrillu, Modiglianim i całej plejadzie artystów, dziś uznanych za wielkich, niegdyś przymierających głodem.

W najgorszym przypadku zgodność ocen świadczyć może o zablokowaniu kanałów wypowiedzi publicznej, jak to miało miejsce w latach pięćdziesiątych.

Czy krytycy muszą pisać „uczone rozprawy", po które nie sięga masowy odbiorca. Ano muszą. Krytyk jest rodzajem specjalisty, naukowca. Specjaliści muszą dzielić się tajnikami warsztatu, zdobyczami metodologii, po prostu nowościami. Pewnie, że są wielcy uczeni, którzy potrafili popularyzować zdobycze wiedzy przystępnie „dla maluczkich", tak jak istnieli i istnieją krytycy piszący zrozumiale (i pociągająco) dla ludzi średnio wykształconych. To jest po prostu kwestia talentu, a ponieważ mamy mniej ludzi utalentowanych niż nieutalentowanych w każdej dziedzinie, nic przeto dziwnego, że mamy więcej „uczonych rozpraw" strawnych tylko dla specjalistów, a nie dla ogółu publiczności, dla której pisać trudniej.

E.T.K.

ZAWIADOMIENIE

Teatr Studyjny '83 im. J. Tuwima zawiadamia widzów, że wznawia nagrodzony „Srebrną Łódką" w bieżącym roku spektakl pt. „Kalafar", czyli Uroczysty Wieczór ku czci St. I. Witkiewicza z okazji 100 rocznicy urodzin i 45 rocznicy śmierci. Jest to interesująca opowieść o Witkacym. Autorem scenariusza i reżyserem jest Zbigniew Mich, scenografię przygotowała Joanna Braun, wykorzystano muzykę Fryderyka Chopina, Wojciecha Głucha, Janusza Macieja Grzelązki, Jana Kantego Pawluśkiewicza i Andrzeja Zaryckiego. Oprócz aktorów naszego Teatru gościnnie występują śpiewacy z Teatru Wielkiego, a także znani muzycy, m.in.: Janusz Maciej Grzelązka, Karol Nicze, Paweł Frejdlich.

Przedstawienie będzie grane w dniach 12—17.XI. i 29—30.XI. br. o godz. 19. Bilety do nabycia w kasie Teatru w godz. 16—19 (z wyjątkiem poniedziałków) lub w Dziale Współpracy z Widzem w godz. 10—15.

A GDYBY TAK KREDYTY DLA STARYCH MAŁŻEŃSTW

Wyniki badań socjologicznych powinny służyć podejmowaniu prawidłowych decyzji w sferze społecznej. Jeśli wyniki badań GOS zaprezentowane przez Edmunda Lewandowskiego (ODGŁOSY nr 40/85) są wiarygodne, to młode małżeństwa w Polsce mają się bardzo dobrze. Co czwarte ma samochód, prawie co trzecie pralkę automatyczną, co drugie magnetofon, tylko co dziesiąte nie ma telewizora, jeszcze mniej nie posiada chłodziarki lub zamrażarki. Nasuwa się wniosek, że można już zlikwidować parasol ochronny w postaci systemu kredytów dla młodych małżeństw (MM) i zastanowić się czy nie ustanowić kredytów dla starych małżeństw (SM).

Każda decyzja powinna być poprzedzona rachunkiem kosztów i zysków. Koszt dodatkowy w tym przypadku — żaden, a nawet oszczędności, ponieważ aparat obsługujący obecnie kredyty MM przestawić wystarczy na obsługę SM. Jeśli za SM uważać będziemy pary legitymujące się 15-, 20- lub nawet 25-letnim wspólnym pożyciem, to prawdopodobnie będzie ich mniej, niż MM.

Korzyści? Po pierwsze — poprawa samopoczucia ludzi starszych, zasłużonych lub tylko wysłużonych. Rzecz niebagatelna, jako że powinni oni jak najdłużej zachować dobre zdrowie i humor potrzebny do „bawienia" wnuków. (Nieprędko dobre warunki młodych małżeństw osłabią nawyk robienia dzieci). Po drugie — zmniejszy się ilość rozwodów w grupie starszych małżeństw, ponieważ Polak potrafi... kombinować, co się bardziej opłaca. Po trzecie wreszcie — młode małżeństwa niewiele na tym stracą, ponieważ rodzice odpalą im te dobra materialne, jak to dotychczas robili. Niewątpliwie jednak ten moment wymuszonej kooperacji sprzyjać będzie zacieśnieniu więzi międzypokoleniowej, stanowiąc także zysk społeczny, o który nam chodzi.

T.E.L.

JAK WYSOKIE SĄ SZCZYTY ABSURDU?

W numerze 21/85 r. „Odgłosów" pisałem o absurdzie, jakim jest opatrywanie kolorowymi, a raczej wielokolorowymi etykietami, ozdobionymi fotografią 3 dorodnych ziemniaków, ziemniaków sprzedawanych w plastykowych siateczkach, przez sklepy PSS w Łodzi. Pisałem o marnotrawstwie papieru, zbędnym eksponowaniu urządzeń poligraficznych, marnotrawieniu farby drukarskiej, a także marnotrawieniu pracy ludzkiej, bowiem każda etykieta opatrzona była tuszową pieczątką „WSOP — Łódź P-1" (Wojewódzka Spółdzielnia Ogrodniczo-Pszczelarska), którą to pieczątkę musiał przystawić na etykiecie pracownik „WSOP".

Działanie takie uważałem za urągające zdrowemu rozsądkowi, bowiem etykieta nie spełniała swej funkcji informacyjnej, jako że umieszczona była wewnątrz zawartości siateczki i przy zakupie była niewidoczna. Ponadto etykieta informująca o towarze tak powszechnie znanym, jak ziemniaki, które pomylić trudno z innymi artykułami, jest chyba w ogóle zbędna. Wszak sprzedaje się bez etykiet marchew i cebulę, selery i pietruszkę i całą resztę warzyw i owoców.

Nie był to wszakże szczyt nonsensu. W takich samych siateczkach z ziemniakami, sprzedawanymi w obecnym sezonie również znajduję etykiety. Tak samo wciśnięte pomiędzy ziemniaki, że wydobywa się je dopiero po opróżnieniu siateczki. Ale nie ma już na nich fotografii ziemniaków. Ba! Nie ma nawet nadruku „Ziemniaki". Jest to — rzec można — etykieta „uniwersalna". Po stosownym wypełnieniu zamieszczonych na niej rubryk, może być użyta do każdego artykułu. Ewentualnie, może być w ten sam sposób użyta, jeśli się tych rubryk nie wypełni w ogóle. Wtedy pozostaje po prostu niepotrzebnym świstkiem papieru. Tak jest właśnie w wypadku ziemniaków. Odcinek kolorowego papieru o wymiarach 6x13.5 cm (wymiary poprzednie 4x12 cm), ozdobiony emblematem „CZO Ogród" i nadrukiem: „Wybór I", Gatunek/odmiana . . .", „Grupa . . .", „Wielkość . . .", „Netto kg/szt. . . . .", „Data przygotowania . . . ." Oczywiście żadna rubryka nie jest wypełniona. Skądinąd chyba nawet słusznie, bo po cóż jeszcze angażować pracownika do wypełniania nikomu nie potrzebnych danych. Dostatecznie bezsensowne jest stemplowanie etykiet nieczytelną wprawdzie, ale pieczątką firmową, tuszową. Jakiś pracownik ma zajęcie i jest to chyba przykład pracy „łatwej i wdzięcznej".

Jednostkowy koszt takiej etykietki, łącznie z jej ostemplowaniem i umieszczeniem w ziemniaczanej siateczce, jest prawdopodobnie niewielki. Ale jeśli przemnożymy go przez dziesiątki i setki ton ziemniaków pakowanych do dwukilogramowych siateczek, to okaże się, że jest to nonsens całkiem kosztowny, że bezmyślność ma przecież swoją cenę! Cenę, którą płaci klient.

PIOTR SIKORSKI

Uwaga! Zły człowiek!

Kraniec cichej, peryferyjnej ulicy. Na bruku koński nawóz, w ogródkach wróble, słoneczniki, w podwórkach bielizna na sznurkach. I ta jednopiętrowa kamienica z balkonem, z którego zwisa kawał sznura z pętelką. Z tyłu połyskują szkliście okna inspektów.

Przed pomalowaną na czarno żelazną bramą stał wąsaty mężczyzna z pękatą torbą na ramieniu. Dzwonił. Gdy dłużej potrzymał palce na przycisku, z okna na parterze rozległ się wrzask:

— *Nie wchodzić, bo psy na luzie!*

Zamiast tabliczki z napisem: „*Uwaga, zły pies*", na bramie wisiała metalowa wizytówka, na której, ktoś machnął ozdobnymi zawijasami: „*Brakowa nr 36, H. D. Paserowie*".

Zdenerwowany listonosz splunął na ruszta kanału ściekowego i wetknął jakiś papier na słupek bramy.

— Szefie — zapytał wścibski reporter — co tu się dzieje?

— *A nic. Po prostu nie wpuszczają*

— Okupują budynek?

— *Aha. Właśnie ci z tabliczki, Damian Paser i jego Halinka.*

— Może ja spróbuję?

— *Proszę bardzo. Ja się schowam.*

Reporter przycisnął energicznie taster dzwonka Najpierw zabrzmiało głuche warczenie, jakby włączono naraz silniki trzech mopedów, potem zaś parter odezwał się ludzkim głosem.

— *Damianie, znowu jakiś chętny!*

— *Niedoczekanie!* — odwrzasnął z głębi domu Damian Paser.

— *Nie wejdzie tu żaden alfons!*

— *Tak jest!* — przytaknęła kobieta. — *Żaden pijany łysol w okularach! Precz!*

Listonosz rechotał w krzakach, aż mu torba skakała po brzuchu. Nie wiadomo, z czego się tak cieszył bo reporter był trzeźwy jak wikary na nieszporach, a sutenerstwem nie trudnił się nigdy.

— Wesoło, co? — warknął reporter.

— *Panie, ja tam nie wchodzę już od trzech lat.*

— Czemu?

— *Nie słyszał pan? Po podwórzu latają cztery psy bez kagańców. Bestie wielorasowe, żadne tam owczarki alzackie. Takie wielkie, że Damianowi Paserowi nie starcza dla nich mięsa z kartek. Paser tak je wyćwiczył, że z głodu lubią spróbować człowieka.*

— Pogryzły pana?

— *Tylko raz. No i odtąd zostawiam wezwania w bramie, a rentę dla lokatorki Gizowej i dla ciotki Pasera przeważnie u sąsiadów. Czasem wtykam za bramę wezwania po odbiór przesyłek, ale nikt się nie zgłasza, bo Niewidzialna Ręka niszczy wezwania. Albo wypadają zza słupka i rozrywają je głodne psy.*

— Wychodzi na to, że poczta źle pracuje, co?

— *Damian Paser złożył skargę, że nie doręczam renty ciotce, ale szef zabronił mi tam wchodzić. Raz, że psiska mogą rozprać służbową torbę, dwa — zniszczą sorty mundurowe, trzy — psy mogą mnie uszkodzić cieleśnie, a z tego wyjdzie chorobowe. Poczta musi płacić, a listonoszy brak.*

— Słusznie. Ta rencistka, do której ja się niby pcham, to Gizowa?

— *Uhm. Ona się tutaj, za przeproszeniem, nie może nawet wysrać. Pieski ją gonią.*

— Wie pan co? Spróbuję jeszcze raz.

— *Ale beze mnie. Ja nam obchód, proszę pana. Cześć!*

Dzielny reporter ponownie zbliżył się do bramy i nie zważając na groźne pomruki bestii wielorasowych, zadzwonił jak na alarm. Z okna na parterze wychyliła się głowa w papilotach. Poniżej papilotów promieniowała wściekłością zapudrowana twarz Hydry w wieku średnim.

— *Gizowej nie ma!* — warknęła Hydra.

Wierne psy zawtórowały z głuchym aplauzem. W oknie szczeknął triumfalnie czwarty, czarny jak wiewiór.

— Ja w sprawie psów! — odwrzasnął zuchwale reporter.

— Z *milicji?*

— Z prasy! — wrzasnął ciszej reporter, wymachując legitymacją służbową.

Serdeczny śmiech obywatelki Paserowej świadczył dobitnie, że prasa również zeszła na psy.

— *U-uch-cha! Coś takiego! Paserowie nie dopuszczą do rozpusty pod swoim dachem, proszę pana. Damian sam napisze do „Przyjaciółki"! Znajdą się ludzie, co lubią psy...*

Wiewiór w oknie poszczekiwała dumnie, dając do zrozumienia, co myśli o chudym reporterze.

— *Cicho, Linda! To łagodna suczka, pokojowa* — wyjaśniła pogodnie Paserowa.

Wygląd łba, szyi i łap na parapecie wskazywał, iż pokojowa Linda ma rozmiary cielaka.

— *Jeden pies pilnuje inspektów, drugi jest uwiązany w podwórzu, trzeci w ogrodzie, a Lindę trzymam luzem w mieszkaniu. Zapisał pan?*

— Zapamiętam.

— *Nie, zapisz pan! Zapisz pan, że Damian Paser nie życzy sobie lokatorów, ale kwaterunek wpycha mu tę hołotę na siłę. Pierwszy, niejaki Zaniecki, pił co drugi dzień, co tydzień pisał świńskie anonimy, łajdaczył się co trzeci dzień, lecz żonę bijał regularnie, każdego wieczoru. Żona z pięciorgiem dzieci nocowała pod gruszą, obżerając owoce razem z liśćmi, tak że nawet psów nie można było spuścić na noc. Zaniecki dewastował posesję, ukradł nam kołdrę i rzucił się jak drwal w szale z siekierą na Damiana. Umorzyli go na mocy amnestii i wyprowadził się...*

— Bez eksmisji? — przerwał dociekliwy reporter. — Uciążliwych lokatorów usuwa się zazwyczaj siłą.

— *Ha, to cwaniak!* — powiało nienawiścią i zgryzotą z parteru. — *Zamienił się na mieszkanie i wstawił nam tę Gizową. To notoryczna alkoholiczka proszę pana. A jaka rozpustna! Bez przerwy orgie, libacje i jakieś zawiane typy z marginesu. A za wodę nie płaci, cholera! Musiałam przed nią zamknąć studnię. A jej konkubin, proszę pana, gonił nas z nożem po podwórzu.*

— A co na to psy? — zagadnął reporter.

— *Psy były uwiązane. Gizowej one nie lubią, chociaż daje im różne smakołyki. Ze złości spuszcza je z łańcucha, bije kijami i wypędza z podwórza. Kiedyś pobiła Reksia, więc ugryzł ją.*

Głowy Hydry i wiernej Lindy zniknęły za firanką, trzasnęło skrzydło okna i zaległa cisza, którą zmąciło powarkiwanie trzech brytanów. Wasz specjalny wysłannik do psiarni został za bramą sam na sam z własnym sumieniem.

Sąsiedzi jak zwykle prosili o nieujawnianie nazwisk. Z ich wypowiedzi wynikało, że czterdziestoletnia Halina Paserowa jest magistrem farmacji, starszy o dziesięć lat małżonek, Damian Paser, to inżynier elektryk zatrudniony jako zastępca naczelnego w fabryce kitu, natomiast Zofia Gizowa ukończyła pięć klas szkoły powszechnej i jest samotną sześćdziesięcioletnią panienką. Zofia żyje wstrzemięźliwie, nie pije, nie pali i nie używa, ale ma kilku przyjaciół, którzy czasem ją odwiedzają, głównie kobiety. Paserowie mają dorastającą córkę, gotową do zamążpójścia, toteż robią wszystko, aby pozbyć się lokatorów. Owszem, dzielnicowy polecił uwiązać te wściekłe bestie, gdyż Gizowa była już raz szyta po „*urazach ugryzienia*", ale Paser nic sobie z tego nie robi. Kiedy Paser przebywał w RFN i psami zajął się jego zastępca, zwierzęta były wiązane.

Wysłuchawszy sąsiadów reporter splunął, jak uprzednio listonosz, do studzienki ściekowej i postanowił przyjrzeć się psiarni wieczorem. Zobaczył stojącą bezradnie przed bramą siwowłosą kobietę w sfatygowanym płaszczu ortalionowym. W podwórzu ujadały hałasujące wesoło pieski.

— *Znowu gdzieś wyjechali* — powiedziała przez łzy Gizowa.

— *Chyba będę musiała szukać noclegu u sąsiadów.*

— Niech pani wezwie milicję.

— *Co to da? Milicja użyła gazu i też nie mogła wejść. Paser mówi, że psy muszą biegać, bo na łańcuchach by się wściekły. Jak chcę wyjść, krzyczę, on zabiera psy, ale potem nie mogę wejść.*

— Ma pani klucz od bramy?

— *Mam. Ale jak nie ma Paserów, to i tak nie wejdę między te bestie. A jak Paser jest w domu, to wieczorem zamyka bramę dodatkowo na zasuwę. Panie, co ja z nimi mam... Nie dość, że nie mogę chodzić po podwórzu, to jeszcze wypraszają gości z mojego mieszkania. Nie mogę wyjść za swoją potrzebą, bo pod drzwiami siedzą psy. Paserowa zamknęła studnię i kazała mi iść po wodę na milicję. Nieczystości nie wolno mi wylewać do szamba, tylko za bramę, do ulicznego kanału. Chętnie zamieniłabym to mieszkanie, nawet na gorsze. Zresztą, niech pan spyta sąsiadów, jak tu jest. Ja muszę iść na noc do koleżanki...*

No i poszła sobie, a reporter jeszcze raz odwiedził mieszkanie cichej, malowniczo położonej ulicy Bratkowej.

Henryk S. powiedział:

— *Kiedy próbowałem wprowadzić Gizową do domu, pies ugryzł mnie w nogę. Paser wyłącza wieczorem dzwonek, nie można więc dać znaku, że chce się wejść. Gizowa często musi nocować poza domem.*

Monika Z., emerytowana nauczycielka:

— *Byłam świadkiem, jak Gizowa chciała wynieść śmieci do pojemnika. Pies ją pogonił, schowała się w mieszkaniu, zostawiając ze strachu kubeł na korytarzu. Paserowa wysypała jej śmieci pod drzwiami, a potem wrzeszczała, że za to flejtiustwo stłucze ją na kwaśne jabłko.*

Wiesława R. oświadczyła:

— *To jest horror, proszę pana. Kiedyś uciekłam z mieszkania Gizowej przed psem. Zdążyłam w ostatniej chwili otworzyć bramę i wymknąć się na ulicę. Oddałam klucz Gizowej, przywiązawszy go do sznurka spuszczonego z balkonu. Ten sznurek do wciągania i opuszczania klucza zawsze tam wisi...*

W dwa tygodnie później psy dopadły na podwórzu Zofię Gizową, przewróciły ją na ziemię i tak pokąsały, że krwawiła z ran jak poszatkowana. W szpitalu założono jej ponad trzydzieści szwów. Przez tydzień chodziła na zmianę opatrunków do Poradni Chirurgicznej.

Ale już trzeciego dnia Gizowa zgłosiła się do lekarza sądowego przedstawiając kartę informacyjną nr 1216, wydaną przez Stację Pogotowia Ratunkowego. W karcie pisało, że Gizowej udzielono fachowej pomocy po stwierdzeniu u niej licznych ran kąsanych kończyn dolnych i górnych. Ponieważ rany były zadane przez psa po założeniu szwów powiadomiono Sanepid.

Gizowa zwróciła się o pomoc do prokuratora i sprawa znalazła się w sądzie. Jednak poszkodowana nie mogła stawić się na rozprawie, gdyż lekarz stwierdził u niej między innymi „*stan po urazie głowy ze wstrząśnieniem mózgu oraz nerwicę wegetatywną*". Kobieta mogła w każdej chwili zasłabnąć i stracić przytomność.

Sprawa Pasera została umorzona na mocy amnestii dla ludzi politycznie błądzących. A w Towarzystwie Opieki nad Zwierzętami obowiązuje stała amnestia dla psów.

Ponieważ lekarz uznał, że Gizowa winna prowadzić spokojny tryb życia, unikać wysiłków fizycznych i psychicznych, kobieta dokonała zamiany mieszkania. Na jej miejsce do Paserów wprowadziła się rodzina Kacperskich. Kacperski nie mógł nawet korzystać z własnego auta. Psy go nie dopuszczały. A gdy założył przy bramie dzwonek do swojego mieszkania, Damian Paser rozbił go młotkiem.

Gehenna z psami trwałaby nadal, ale zdaje się, że trafiła wreszcie kosa na kamień. No, bo gdy Paser uznał, że Kacperski uszkodził ubikację i zakazał mu tam wstępu, w odwecie lokator wylewał z balkonu nieczystości pod okno Pasera. A kiedy Kacperski zmuszony był uciekać autem przed rozjuszonymi brytanami, złamał dwa drzewka owocowe i rozbił pięć inspektów.

Niestety, Kacperscy nie mieszkają już u Paserów.

Gospodarze czekają na nowych lokatorów.

RYSZARD BINKOWSKI

Kosztowne menu

Przysłowie mówi, że okazja czyni złodzieja. Być może. Ale w gastronomii okazji nie brakuje, a mimo to lu zie w niej zatrudnieni nie są złodziejami Oczywiście są wyjątki. Są tacy, którzy upatrują w tym zawodzie szansę szybkiego wzbogacenia się, dorobienia się dobrych samochodów, will, kont w banku. Umożliwia to im trudna sytuacja rynkowa, popyt górujący nad podażą, kartkowe przydziały mięsa i jego przetworów. A wszystko to odbywa się kosztem klienta, konsumenta, czyli nabywcy, który nie może grymasić, a musi brać to, co mu się podsuwa pod nos. Zasada jest prosta: nie weźmiesz ty, weźmie kto inny.

Kierując się tymi prawami dwaj łebscy faceci postanowili zrobić majątek. No bo proszę pomyśleć, kto będzie dochodzić w trakcie konsumpcji czy podany mu na talerzu kotlet mielony zawiera właściwe proporcje mięsa i bułki? Albo na ten przykład pasztet: jak szary konsument stwierdzi ile w nim jest mięsa, ile bułki a ile, dajmy na to, papieru toaletowego? Zje i będzie jeszcze zadowolony, że udało mu się kupić taki dobry kawałek garmażu!

W mieście Łodzi prosperuje na ulicy Jakuba nr 10 restauracja o dźwięcznej i tajemniczej nazwie „Arkadia". Dlaczego akurat „Arkadia" nie bardzo wiadomo, gdyż w tym zakładzie gastronomicznym nie ma nic z sielankowości, jeśli nie brać pod uwagę przyjaźni dwóch bohaterów niniejszej opowieści, którzy rozsławili ową jadłodajnię. A są to: szef Eugeniusz Kwaśniak i jego zastępca Jan Szymaszyk. Obaj już siedzą, a bogini sprawiedliwości Temida zważy na szali dobra i zła ich uczynki, które, co tu dużo mówić, były bardzo naganne. A zatem przypomnijmy rzecz od samego początku

W kwietniu br. do Naczelnika Wydziału ds. Przestępstw Gospodarczych WUSW w Łodzi wpłynął raport mówiący o tym, że Jan Szymaszyk, rocznik 1957, zatrudniony jako zastępca szefa w restauracji „Arkadia" w Łodzi podlegającej PSS „Społem" wspólnie z szefem tejże restauracji Eugeniuszem Kwaśniakiem, rocznik 1935 dokonuje systematycznego zaboru wyrobów garmażeryjnych produkowanych w tymże zakładzie. Otóż nadwyżki tych wyrobów, jak pasztety mięso mielone, tatar, kaszanka itp., „wygospodarowują" poprzez dodawanie w procesie produkcji większych ilości wody i bułki niż to przewidują recepty. Te nadwyżki były sprzedawane na tzw. „podkład" agentowi sklepu spożywczego nr 574 PSS „Społem" Oddział Polesie mieszczącemu się przy ulicy Małej nr 2.

„Wyprowadzanie" tych nadwyżek było możliwe z uwagi na to, że szef kuchni był rozliczany z produkcji tylko wartościowo.

Trwało to gdzieś od lipca 1984 do kwietnia 1985 r. W ciągu tych dziesięciu miesięcy obaj dżentelmeni rondla „wygospodarowali" co najmniej 2.500 puszek pasztetu, około 600 kg mięsa mielonego garmażeryjnego, około 200 kg tatara i innych wyrobów na kwotę około 800.000 zł tzw. gastronomicznych stosowanych przy dostarczaniu tych wyrobów do sklepów detalicznych.

Takie były pobieżne ustalenia.

Dzień później inspektor PIH meldował:

W „Arkadii" dokumenty częściowo nie były ewidencjowane, brak także kopii o tej samej treści. Inspektor skrupulatnie przytacza wykaz owych dokumentów i stwierdza, że pracownicy „Arkadii" nie wykazali sprzedaży towarów wartości 273.005 zł, i kwota ta nigdy nie trafiła do kasy restauracji.

Ale to dopiero początek. Inspektorzy PIH dość szybko ustalają, że podana poprzednio kwota jest wprost śmieszna w zestawieniu z tym, co znajdują w dokumentach, chociaż właściwsze byłoby określenie „czego nie znajdują", bowiem nie znajdują właśnie dokumentów. A więc wkrótce suma skacze do 470.784 zł! Teraz wychodzi na jaw, że obaj wspólnicy zwyczajnie fałszowali dokumenty rozchodu artykułów do różnych odbiorców sieci detalicznej. Polegało to na tym, że wystawiano dowody wydania o tych samych numerach ewidencyjnych, ale dotyczących różnych towarów, ilości i wartości. Ponadto na tę samą dostawę towarów wystawiano dowody wydania o różnych numerach ewidencyjnych i w innych dniach. Łącznie wystawili co najmniej 7 takich dowodów. Po podliczeniu wychodzi, że „nacięli" restaurację „Arkadię" na 2.460.010 zł. Wyroby te sprzedawali według cen gastronomicznych w stanie nie przetworzonym i nie wyporcjowanym, w związku z czym nabrali klientów na kwotę 1.215.827 zł. Zdolni ludzie, nie ma co.

Pomysłowość dżentelmenów rondla była wprost niewyczerpana. Nie tylko zarabiali na garmażu dostarczanym do detalu, ale nie gardzili doraźnym zarobkiem na miejscu. Zwyczajnie zawyżali ceny sprzedawanych w „Arkadii" filetów z błębitka, befsztyku tatarskiego i cynadrów duszonych Zarobili niewiele, bo zaledwie 5.012 zł. Ale dobre i to, żadne pieniądze nie ciążą w kieszeni.

Kiedy już obaj wspólnicy przestali konsumować wyszukane menu restauracyjne, a zaczęli spożywać lekkostrawne aresztanckie zupki, właściwe organa dokonały zajęcia ich mienia na poczet przyszłej grzywny. U Eugeniusza Kwaśniaka był to tylko „Polonez" za 1.400.000 zł, kolorowy telewizor i lodówka, zaś u Jana Szymaszyka oprócz „Poloneza" i telewizora kolorowego zabezpieczono magnetofon Hi-Fi stereo, radioodbiornik stereo, takiż wzmacniacz i do tego kolumny głośnikowe. Wszystko to wyceniono na 1.690.000 zł.

Zarówno dla prokuratora prowadzącego śledztwo jak i dla pracowników milicji sprawa tego typu nie jest niczym rewelacyjnym. Nie takie rzeczy już mieli „na tapecie" i nie takich cwaniaków brali w obroty. Protokół czynności śledczych przewiduje jednak, że każdego podejrzanego należy przesłuchać na tak zwaną „okoliczność"

Oto co powiedział Jan Szymaszyk.

Owszem, kradłem, mówi. Czemu nie, jak nadarza się okazja. A zaczęło się wszystko od głupstwa, można powiedzieć, od drobnostki. Sprawdzali właśnie z szefem kuchni saldo w ich magazynie. I nagle nie wierzą własnym oczom: 15 tys. złotych niedoboru! Krucyfiks, pomyśleli, jak to się mogło stać? Każdy wie, że od samego myślenia nic się nie zrobi. Potrzebny jest zawsze czyn. No więc trzeba dać konsumentom wyroby o zaniżonej wartości, okrasić je wodą i naszpikować bułką. Nie było łatwo, przyznaje, narobili się jak woły, ale kiedy po miesiącu ponownie sprawdzili saldo — było już zerowe!

Inni przerwaliby tę harówkę i zapomnieli o całej sprawie. Ale nie z nimi takie numery! Raz zdobyte doświadczenie wkrótce wydało pierwsze owoce: zdobyli pieniądze. Powstałe nadwyżki sprzedawali ajentowi wspomnianego już sklepu nr 574. Oczywiście poza ewidencją, ma się rozumieć „Opylali" te najbardziej chodliwe, takie jak pasztet, salceson, mięso mielone, tatar. Ajent co prawda brał jeszcze sporo innych artykułów, ale te uczciwie wpisywano do dokumentów. Natomiast te trefne „ginęły", a pieniądze omijały kasę „Arkadii". Ajent za to, że brał lewy towar otrzymywał od dżentelmenów rondla 20 procent.

By nie było wpadki, ajent otrzymywał „lipne" dokumenty, które gdy tylko towar sprzedał niszczył starannie, o czym zawiadamiał wspólników. Wówczas oni niszczyli swoje kopie. Słowem kamień w wodę.

Jan Szymaszyk przyznaje, że otrzymał około miliona złotych, natomiast szef Eugeniusz Kwaśniak o całe 120.000 więcej. Po prostu szef zawsze musi dostać więcej Należy sądzić, że Wysoki Sąd zastosuje tę samą miarę. Zresztą Kwaśniak ma opinię dobrego szefa, dbającego o interesy zakładu. Nawet będąc na urlopie zaglądał co jakiś czas do „Arkadii", a Jan Szymaszyk każdorazowo dawał mu połowę z 80 procent, jakie uzyskał był od ajenta. Inny na jego miejscu wyjechałby nad morze albo na Mazury, a on nie, doglądał interesu, martwił się jak się rozkręca, czy aby wszystko gra. Pańskie oko konia tuczy, mówi przysłowie, a jak wiadomo przysłowia są mądrością narodu. Eugeniusz Kwaśniak był nawet tak uczynny, że wyroby garmażeryjne, z „Astorii" zawoził własnym samochodem do jednego ze sklepów w Zgierzu za co brał tysiąc złotych za kurs.

Tu małe wyjaśnienie: każda restauracja posiada plan produkcji. Jest to narzucone niejako odgórnie. „Arkadia" miała dość spory plan dotyczący produkcji wyrobów jarskich. Ale proszę powiedzieć, gdzie można upchnąć sałatki? Niby z mięsem mamy ciągle nie najlepiej, ale ajenci w restauracji nie chcą zadowalać się marchewką z groszkiem ani smażonymi buraczkami Jedynie kierownik owego sklepu w Zgierzu zgodził się, aby na jego rachunek podmieniać asortyment na kwitach dostawy. Wygląda to tak: w miejsce np. kaszanki dostarczonej faktycznie w tym dniu do sklepu wpisywano częściowo sałatkę jarzynową. Czasem były to ryby lub śledzie solone. W zależności od tego „w jakich wyrobach" był plan do wykonania w „Arkadii"

Ale było i takie zdarzenie. W kwietniu br. Eugeniusz Kwaśniak żenił syna. W tym samym miesiącu do „Arkadii" nadeszła dostawa pasztetu w puszkach. Cena 42 zł i 35 zł. Razem było 1.700 puszek. Całość poszła na wesele. Oczywiście na te puszki były lipne „podkładki" dokumentów, które po weselu zostały zniszczone. Ale w tym miejscu wziąłbym Kwaśniaka w obronę: ludzie kochani, jakże tak! wesele bez pasztetu? Przecież byłby śmiech na całą ulicę, co ja mówię, na całą dzielnicę! Co by potem goście powiedzieli, jak by obsobaczyli młodych i ich rodziców. A tak — honor uratowany. Jakim kosztem, to się dopiero okaże.

W trakcie przesłuchania i konfrontacji obaj dżentelmeni rondla jakby stali się mniej zgodni i mniej przyjacielscy. Sprzeczają się o drobne fakty, rzędu 100.000 zł lub trochę więcej. Jeden mówi, że dał drugiemu tyle to a tyle, drugi zaś twierdzi, że ten pierwszy kantował na własną rękę, gdy on był akurat na urlopie... Jak dzieci, słowo daję.

Na zakończenie tej banalnej przecież sprawy, przytoczę treść zobowiązania — oświadczenia, jakie przystępując do pracy w PSS „Społem" podpisał Jan Szymaszyk. Otóż czytamy tam m. in.: 1. Zostałem zapoznany z obowiązkami zawodowymi na zajmowanym stanowisku pracy, a w szczególności z obowiązkami sumiennej, rzetelnej i kulturalnej zgodnie z przepisami obsługi konsumenta, produkcji potraw... 2. Znana mi jest ustawa z dn. 13 lipca 1957 r. o zwalczaniu spekulacji i ochronie interesów nabywców w obrocie handlowym Dz. U nr 39 poz. 171 oraz postanowienie karne za nadużycie i działanie na szkodę konsumenta, w szczególności odnośnie przypadków mogących zachodzić w zakładzie gastronomicznym, a to: a) zaniżanie wagi potraw, b) niepełna miara napojów, c) używanie w produkcji gatunków surowców niższych o ile to wykazano w kalkulacji, d) niestosowanie przepisów recepturalnych, e) pobieranie cen wyższych od obowiązujących, f) niewystawianie cen na towarach...

Proces niebawem.

EUGENIUSZ IWANICKI

JAN BĄBIŃSKI

Halabardy i atomy

Bernard podrzucił mnie szybkim volvo pod samą bramę średniowiecznego Grandsonu.

Wrócę z lekcji za trzy godziny — oświadczył — *przez ten czas radzę obejrzeć tutejsze muzeum.*

Grandson to niewielkie miasteczko rozłożone w niezwykle malowniczej scenerii. Wzrok nigdzie nie błądzi tu bez oparcia. Jezioro, góry, lasy... czego jeszcze więcej trzeba? Zabytkowy to gród. W pradawnej pieczęci miejskiego ratusza widnieje dwuznaczny napis: *„Petite cloche aict grand son"* — mały dzwon rozbrzmiewa głośno. Istotnie, nazwa tego miasta dzwoniła ongiś rozgłośnie po królewskich dworach całej Europy. W 1476 r. w pobliżu Grandson stoczono jedną z tych brzemiennych w skutki bitew, co rozstrzygnęły o losie rycerskiego rzemiosła.

Muzeum mieści się w potężnym zamczysku zbudowanym przed tysiącem prawie lat z wielkich kamiennych bloków. Jego wysokie wieżyce przeglądają się w lazurowej toni jeziora Neuchatel. Krętymi, pod nogą trzeszczącymi schodami z desek, wędruje się z piętra na piętro rozległej twierdzy po salach wyłożonych mahoniem, krużgankach o łukowatym sklepieniu, izbach tortur i kazamatach, po komnatach ozdobnych renesansowymi stiukami. I ani przez moment nie opuszcza nikogo zaduma. To co się ogląda, jest poniekąd przekrojem niezwykłej historii małego narodu, którego nikt na przestrzeni wieków ujarzmić nie zdołał.

Wtem nad jeziorem śmignęły z ogłuszającym hukiem dwa myśliwce o kształcie rzuconego pod niebo grotu. Znów nadleciały dwie maszyny, a za nimi ciągnęła już nowa dwójka.

— *Zwykłe ćwiczenia wojskowe* — wyjaśnił Bernard. — *Potrwają ze dwie godziny, może dłużej.*

W okrągłej salce o kamiennych ścianach rozłożono na stole niezrównanej jakości diagram bitwy z 1476 r. Obraz jest trójwymiarowy o zaskakującej wyrazistości. Ma się wrażenie obserwowania przebiegu zmagań dwóch krańcowo różnych armii z zamkowej wieży z dobrą lunetą przy oku. Wkoło widzi się górzyste wzniesienia, zbocza pokryte sosnowym lasem i srebrzystą podłą, niżej płaska dolina, biegnąca wzdłuż jeziora. Po płaskim gruncie pędzi z lewej do boju w obłokach kurzu butna i w sobie zadufana rycerska konnica Karola Śmiałego, księcia Burgundii. Z lewej energicznym równym krokiem zmierza naprzeciw opancerzonym rycerzom zwarty i głęboki czworobok szwajcarskich piechurów.

Cynowe figurki odlano z taką precyzją, że zdają się być żywe. A jest ich na bitewnym polu parę tysięcy. Odróżnia się pojedyncze rohatyny i przydługie ostre jak brzytwa piki wysunięte poziomo do przodu z pierwszych i bocznych szeregów. Wewnątrz czworoboku piki mierzyły w górę niczym w ostrokole. Stalowy to był zwierz monstrualnych rozmiarów, sunący przed siebie cicho z bezwzględnością nieubłaganej śmierci.

I te halabardy.

„Obracał w ręku halabard dwopióry", tak halabarda była siekierą do rozcinania hełmu z okszą i grotem do kłucia. Miała też osęk, czyli ostry hak do ściągania jeźdźców z koni. Ta straszliwa broń, osadzona na dwumetrowym stylisku, uchodziła przez wieki za symbol zbrojnego Szwajcara. Piechur przebijał wroga halabardą jak oszczepem, rąbał zbroję niczym toporem i zrzucał rycerza z rumaka zakrzywionym osękiem. Rosłych trzeba było na to chłopów i niestrudzonych, by tak ciężką bronią się posługiwać.

Halabardy z dawnych wieków połyskują na zamku w Grandson wypolerowaną po mistrzowsku gładzizną stalowych ostrzy. Widok tych drapieżnych haków i harmonijnie w stali wyciętych toporów zapadł mi głęboko w pamięć. Ci górale już przed wiekami umieli wiele. Już wówczas ujawnili talenty, które im potem pomogły wybić się na jedno z miejsc przodujących wśród narodów świata. Już w średniowieczu ujawnili swój techniczny pazur.

Bernard, nauczyciel w podstawówce, mieszka w kilkupiętrowym bloku w Chailly. Przygotowywał się właśnie do wyjazdu na parotygodniowe ćwiczenia wojskowe. Wziął do ręki klucze, żeby przytaszczyć z piwnicy cały swój ekwipunek. Otóż każdy Szwajcar przechowuje swe uzbrojenie we własnym domu.

— *Idziemy* — powiedział — *muszę ci pokazać, jaki to tłumok jutro będę musiał zarzucić na plecy.*

Zjechaliśmy do piwnicy windą.

Podziemie mieszkalnego bloku z dwóch jakby składało się części. Pierwszą stanowiły zwykłe piwnice na konfitury, konserwy, skrzynki z winem i sokami owocowymi. Druga część obwiedziona była grubym betonem. Mieściła schrony przeciwatomowe o hermetycznie zatrzaskiwanych odrzwiach z ciężkiej i masywnej stali. Każda rodzina miała w tym bunkrze wydzieloną celę. Bernard przechowywał w schronie wojskowe wyposażenie, więc ciężki szybkostrzelny karabin, koce, tornister, maskę gazową, amunicję i te inne rzeczy, łącznie z krótkim bagnetem. Gdyby padł rozkaz, byłby gotowy do walki w ciągu paru minut.

— *Kiedy kończy się 20 lat* — tłumaczył — *idzie się do wojska na 4 miesiące. Potem odrabia się tylko ćwiczenia. Wielu stara się dochrapać jakiejś szarży. Dla przykładu nasze banki nie zatrudnią nikogo, kto nie wykaże się przynajmniej stopniem kaprala.*

Karol Śmiały w lutym 1467 r. jeszcze przed wielką bitwą w pobliżu jeziora Neuchatel zdobył był podstępem zamek Grandson. Załoga twierdzy skapitulowała gdyż obiecano jej swobodne odejście do Berna. Książe Karol okazał się wiarołomcą. Słowa nie dotrzymał. Wszystkich jeńców którzy broń złożyli 412 Berneńczyków, rozkazał powiesić w pobliskim lesie. Sądził, że tym okrucieństwem Szwajcarów zastraszy i sterroryzuje. Przeliczył się fatalnie. Nie on jeden nie docenił odwagi i nieustraszonego męstwa tego niewielkiego narodu.

Schrony przeciwatomowe w zwykłych domach mieszkalnych? Co komu z tego przyjdzie? Czy grosz nie jest aby wyrzucony w błoto?

— *O, nie, proszę pana* — tłumaczą Szwajcarzy — *przez całe wieki walczyliśmy o wolność z Francuzami, Burgundami, księciami Sabaudii i owładniętymi manią wielkości Habsburgami. Wojny wstrząsały krajem przez całe pokolenia. Wyludniały miasta, pustoszyły wioski. Wbrew temu, co się sądzi, prawdziwy spokój panuje na szwajcarskiej ziemi dopiero od 140 lat. Historia uczy więc, byśmy mieli się nieustannie na baczności. Mało brakowało, a Hitler też by nas zaatakował. W maju i czerwcu 1940 r. nasze myśliwce toczyły powietrzne boje z messerschmittami w rejonie Jury. Kto wie, czym by się to skończyło, gdyby generałowi Guisan nie udało się zmobilizować w ciągu paru tygodni 400 tysięcy żołnierzy i pośpiesznie ufortyfikować wszystkie przełęcze. W razie ataku mosty też wyleciałyby w powietrze, a wszystkie tunele zostałyby zablokowane. Szwajcaria przekształciłaby się w alpejską twierdzę. No i ten pan z wąsikiem uznał, że gra nie jest warta świeczki i zatrąbił do odwrotu. Tych innych lekcji historii też nie zapominamy. W pierwszej wojnie światowej na 20 poległych na froncie żołnierzy przypadał jeden zabity cywil. W drugiej wojnie światowej te proporcje dokładnie się odwróciły. Nasi eksperci wyliczyli, że w wojnie nuklearnej na jednego martwego żołnierza przypadłoby 100 zabitych cywilów. Nie możemy ryzykować. Już raz ten diabeł z butelki wyskoczył. Lepiej już dmuchać na zimne, lepiej być mądrym przed szkodą. Więc wkopujemy się pod ziemię, proszę pana, wkopujemy się wszędzie, jak kraj długi i szeroki. Na łaskę losu i przypadku nie zostawiamy niczego. Pod każdym domem mieszkalnym, pod każdą szkołą, urzędem i szpitalem musi być schron przeciwatomowy, musi być i szkoda w ogóle na ten temat dyskutować. Sprawa jest raz na zawsze przesądzona. Czemu się nie zabezpieczyć, kiedy mamy środki po temu i społeczne przyzwolenie?*

Czy tego rodzaju prowizoryczne przecież schrony mogą kogokolwiek zabezpieczyć? Zresztą po cóż poddawać się psychozie lęku, przed czymś co ma niby nadejść z nieuchronnością przeznaczenia?

— *No tak* — mówią Szwajcarzy — *na pomniku w Hiroszimie wyryto napis — „Spoczywajcie w spokoju, my tego błędu już nie powtórzymy". Stawiać pomniki można, głoszenia patetycznych słów też nikt nikomu nie wzbrania, ale my wolimy trzymać się ziemi i nauk historii nie lekceważyć. Po każdej wojnie twierdzono, że do nowej wojny nie dojdzie na pewno. Już wojny napoleońskie miały być na tym kontynencie ostatnie. Kongres Wiedeński ogłosił pokój po wieczne czasy. Po wynalezieniu karabinu maszynowego twierdzono, że jakiekolwiek wojny są już niemożliwe. Teraz to samo powiada się o bombie atomowej. Oczywiście wiemy, że żaden schron bezpośredniego uderzenia ładunku nuklearnego nie wytrzyma. Ale betonowe, podziemne, szczelnie zamykane schrony zapewniają skuteczną ochronę przed najgorszym już w odległości półtora kilometra od epicentrum wybuchu. Co może jeszcze ważniejsze, chronią doskonale przed radioaktywnym opadem.*

Książę Karol nie z przypadku zwał się śmiałym. Klęska pod Grandson, w 1467 r., wcale jego zdobywczych zapędów nie ostudziła, choć halabardnicy wycięli wówczas kwiat burgundzkiego rycerstwa. Po paru miesiącach zgromadził nowe hufce i ruszył na czele ciężkiej jazdy w głąb Szwajcarii. Dotarł do Murten, skąd niewielki tylko skok dzielił go od znienawidzonego Berna. Potężną zebrał armię, liczącą 30 tysięcy wypróbowanych w boju rycerzy.

Murten i dziś jeszcze zachwyca wspaniałym zamkiem, potężnymi jak w Carcassonne murami i rynkiem całym pod arkadami. Zamczysko Karol Śmiały oblegał w 1476 r. I gdy już był pewien triumfu zeszli z berneńskich Alp w ciasnych czworobokach najeżonych pikami straszliwi halabardnicy. Mars nie sprzyja wahającym się. Halabardnicy spadli na rycerzy bez chwili namysłu z niepojętą zaciekłością. Zwalili się na opancerzone zastępy Burgundów jak skalna lawina rozcinając w pół toporem jeźdźców i rumaki. Śmierć nikomu w zęby nie zagląda. Z rąk halabardników padło pod Murten w kwiecie wieku 12 tysięcy rycerzy zwleczonych z koni osękiem.

Stało się od tej chwili jasne, że rycerskie hufce nigdy już nie dotrzymają pola pieszej armii ludowej. Rzeź pod Murten oznaczała kres rycerskiej epopei. Do głosu doszła piechota.

Brzmi to nieprawdopodobnie, wszakże przez cały wiek XIV i XV armia szwajcarska uchodziła w Europie za najgroźniejszą, najpotężniejszą i w rzeczy samej za nie do pokonania. Sława halabardników z alpejskich wyżyn utrwaliła się na długo. Gdzie jaki był król, książę i magnat kresowy obłożony złotem, za punkt honoru uznawał mieć straż przyboczną złożoną ze Szwajcarów. Pewnie, że najemnik więcej niszczy niż sam zdobywa, cóż jednak miał robić góral, jak nie iść w obce strony za chlebem. Ze skał i śniegu w Alpach wyżywić się nie dało.

Rolnik pługiem, najemnik zaś szpadą pracuje na swe utrzymanie. Skrzętni historycy wyliczyli, że w obcych krajach służyło pod bronią przeszło dwa miliony młodych Szwajcarów. Jeszcze uwzględnić by trzeba na przestrzeni wieków 60 tysięcy oficerów i 700 szwajcarskich generałów pod obcymi sztandarami. Nawet Napoleon sięgnął po Alpejczyków. Kilka tysięcy Szwajcarów osłaniało przeprawę wojsk napoleońskich przez Berezynę. Swym nieugiętym męstwem uratowali, być może, „la grande armée" przed całkowitym zniszczeniem.

Dopiero w 1859 r. wydano zakaz. Odtąd Szwajcar w obcych armiach służyć nie mógł. Wyjątek stanowiła gwardia papieska.

„Sacco di Roma", przez dwa miesiące zaciężne oddziały teutońskich landsknechtów ramię w ramię z przepojonymi duchem fanatyzmu żołnierzami Kastylii łupili i palili w 1527 r. wieczne miasto. Furor to był zaiste teutonicus. Nad Rzymem, jak za Nerona, wisiała czerwona łuna. Wtedy to spośród 150 halabardników papieskiej gwardii szwajcarskiej zginęło 147. Ofiarą własnego życia umożliwili papieżowi Juliuszowi unieść cało głowę i schronić się za gigantycznym murem zamku św. Anioła nad Tybrem.

Odtąd papieska gwardia złożona jest wyłącznie ze Szwajcarów. Zaprzysiężenie nowego hufca odbywa się zgodnie z wiekową tradycją zawsze 6 maja, w rocznicę *„Sacco di Roma"*.

Nad jeziorem Neuchatel wciąż przelatywały z przeraźliwym poświstem najnowsze myśliwce „Mirage III S". Gdzie zresztą jakie jezioro w górach, tam nad nim śmigają „Huntery" bądź „Venomy". Dwójki nadlatują nad jezioro, robią potężny łuk i znikają gdzieś bez śladu za ośnieżonymi wierzchołkami Alp, lub zapadają jak duchy gdzieś w głębi alpejskich przełęczy. Gdzież pochowano lotniska na tych niebosiężnych wysokościach? Skały, skały i przepaście, gdzie znaleźć miejsce na krótki chociażby pas startowy?

— *Żaden to problem i żadna tajemnica* — Bernard jest jakby zdziwiony moją naiwnością. — *Alpy to jeden wielki i niezatapialny lotniskowiec. Samoloty startują z wydrążonych wysoko w skałach tuneli, jak z katapulty. Lądują potem niżej na małych lotniskach.*

No tak, jedno z takich lotnisk widziałem w pobliżu Interlaken, gdzie cała okolica ośnieżona wysokogórskim czarem. Raptem nadleciał „Hunter", zakołował i osiadł swobodnie na krótkim pasie betonu wtopionego białą plamą w tło skalistego zbocza. Zejście do lądowania wśród urwistych wkoło skał wyczynem było omalże akrobatycznym. Samolot zawirował raz i drugi i po chwili też przepadł bez śladu. Dowiedziałem się później, że działa cały system wyciągów i suwnic przenoszący odrzutowce na powrót do startowych tuneli.

— *Tam w górach* — usłyszałem — *mamy reduty, w których możemy się bronić przez rok i dłużej.*

Pędzi się autostradą doliną Rodanu do Martigny pośród ośnieżonych Alp, gdy raptem w bok odchodzi wyasfaltowana odnoga pnąca się serpentyną ku niebotycznym skałom. Droga jest nowiutka, jakby co dopiero wyjęta spod igły, a najmniejszego na niej ruchu. Martwa, zdawałoby się, szosa. Bo też dla cywilów jest zatrzaśnięta. Prowadzi do jednej z przepotężnych redut wyciętych w alpejskich skałach. Całe to są podziemne miasta, pełne magazynów, sypialni, szpitali z odkażającymi komorami i wytwórniami leków na miejscu.

— *Podziemnych szpitali* — ujawnił kiedyś Bernard — *mamy już kilkadziesiąt, a każdy mieści kilkaset łóżek.*

— A koszty?

— *Spore, jeden taki szpital kosztuje 30 mln dolarów, ale tyle kosztuje też „Mirage". Pytanie, co się bardziej opłaca. Schronów przeciwatomowych nabudowano już 200 tysięcy, ciągle przybywają nowe. Na ten cel przeznacza się 120 mln dolarów rocznie. Za parę lat każdy Szwajcar będzie miał zapewnione schronienie w solidnym bunkrze.*

Słyszę głos w telewizji:

— *Możemy w ciągu doby zmobilizować 400 tysięcy żołnierzy. Możemy w ciągu następnej doby powołać pod broń jeszcze 230 tysięcy rezerwistów z obrony cywilnej...*

Dziwy się wszędzie dzieją w tym dziwnym i pod wieloma względami unikalnym kraju. W niedostępnej skalnej głuszy, gdzie słychać tylko śpiew ptactwa, wdziera się raptem w uszy z niżej położonego lasu głuchy łoskot pojedynczych wystrzałów. Cóż to znów takiego? Łowy na sarny i jelenie? W tym sezonie? Nie, to chyba niemożliwe. Jednak ktoś strzela. Sięgające chmur skaliste wierzchołki powinny budzić uczucie małości i pokory. Tymczasem rodzą dusze rogate najczęściej.

Znów Bernard kwituje me zdumienie lekkim uśmieszkiem.

— *Polowanie, skądże, to bractwo kurkowe wali w górskich strzelnicach do tarczy. Walka idzie czasem o grube trofea. Nie wiesz, że te góry od wieków roją się od wolnych strzelców.*

Karol Śmiały poniósł druzgocącą w końcu klęskę pod Nancy w 1477 r. W zimny styczniowy dzień odnaleziono po bitwie jego ciało zamarznięte w pobliskim stawie. Miał głowę rozpłataną po samo ramię. Wykończył go potężny cios szwajcarską halabardą. I tak pomszczony został mord popełniony przez księcia Karola z zimną krwią i z bezprzykładnym okrucieństwem na 412-osobowej załodze kamiennego zamku w Grandson.

Gdy Bernard powrócił, by mnie odwieźć do Lozanny, odezwały się dzwony, stojącego w rynku XI-wiecznego kościoła w Grandson, chlubiącego się starorzymskimi kolumnami. Dźwięk tych małych dzwonów zaiste donośny był niezwykle. Głosząc dobrą nowinę, zagłuszył jazgot śmigających nad jeziorem odrzutowców.

Rys. Janusz Stanański-Glana

Horror

BOGDAN LOEBL

Letni dom wampirów (1)

(fragmenty)

Zbierałem suche gałęzie w ogrodzie i układałem je na środku od lat nie uprawianych, porosłych chwastami grządek. Chciałem rozpalić wieczorem ognisko i upiec kilka wyniesionych z kuchni kartofli. Widziałem kiedyś w telewizji, jak dzieci wkładały nie obrane, surowe kartofle do ogniska i od czasu do czasu badały zaostrzonymi kijami, czy są już dostatecznie kruche, a potem jadły je posypując solą i krasząc kawałkami masła.

Kiedy sterta chrustu wydała mi się wystarczająco wysoka, wyciąłem dwie witki leszczyny i zatemperowałem je na końcu jak ołówki. Kiedy tę dłuższą, ostrą niby igła próbowałem wręczyć Małgosi, wzruszyła pogardliwie ramionami. Chciałem ją objaśnić do czego ma to służyć, lecz oddaliła się zanim zacząłem mówić. Zaniosłem pręt mamusi. Zademonstrowałem jak nabija się na kij i wyciąga z żaru ogniska upieczony kartofel, a ona uśmiechnęła się aprobująco sądząc, że powróciłem do swojej ulubionej kiedyś zabawy w ułana i że zaraz dosiądę stojącej w kącie miotły i pocwałuję na koczującą w ogrodzie hordę pokrzyw i ostów.

Żal, jaki żywiłem do Małgosi za jej upokarzającą mnie wzgardę i ten świeżo narodzony do mamusi za to, że potraktowała mnie jak smarkacza, sparzył moją godność swą skumulowaną goryczą. Złamałem witkę i ruszyłem ku drzwiom.

— Jasiu — zawołała. — Przecież nie można łowić ryb na sam kij. Skąd ci wezmę żyłkę i haczyk?

— To było dla ciebie — powiedziałem wskazując leżący na podłodze patyk, który przybrał kształt litery L. — Żebyś miała czym wydobywać kartofle z ogniska.

— Z jakiego znowu ogniska — przestraszyła się mamusia. — Nie wolno rozpalać żadnego ogniska!

— Sama mu to obiecałaś w Warszawie — powiedział tatuś. — Nie pamiętasz?

Nie wiedziałem, że tatuś jest w korytarzu. Po to rozmawiałem z mamusią o moich wieczornych planach, żeby ona w sprzyjających okolicznościach wyjednała u niego pozwolenie na to ognisko i pieczenie kartofli, a tymczasem, ku mojemu zdumieniu to ona zajęła tradycyjne już stanowisko tatusia, który prawie zawsze, gdy go o coś prosiłem, mówił „nie".

— W Warszawie nie wiedziałam, że ten dom jest drewniany. Chcesz, żeby był pożar? — krzyknęła.

— Będziemy przecież przy tym ognisku. Niech je sobie rozpali, kiedy tak bardzo tego chce.

Usiłowałem nie myśleć, że słowa te podyktowała tatusiowi tylko zwyczajna przekora. Wpatrywałem się w niego usiłując spojrzeniem wyrazić mu moją wdzięczność, lecz on ani razu na mnie nie popatrzył.

— Od kiedy to ciebie interesuje, czego chce twój syn!?

— Co się z tobą dzieje Irenko? Dziwnie agresywna jesteś dzisiaj...

— Ty myślisz, że ja jestem taka głupia, jak ci się wydaje?

— Ja nie powiedziałem, że jesteś głupia, tylko agresywna. A może ty nie wiesz co to znaczy? Może używam w rozmowie z tobą języka zbyt hermetycznego?

— Więc jednak usiłujesz zrobić ze mnie idiotkę, ale ja już dawno zrozumiałam, po co to wszystko tutaj zorganizowałeś.

Wiedziałem, że już nie wrócą w tej kłótni do sprawy ogniska. Było ono dla nich tylko kamykiem potrzebnym do spowodowania lawiny. Grzęźli w niej po pachy, kiedy wychodziłem z domu żywiąc nadzieję, że kiedyś ich całkowicie zasypią te od lat gromadzone zwały wzajemnych żalów, pretensji i stęchłych już, ale z upodobaniem wywlekanych przy każdej okazji plotek, którymi obrzucali się niby zgniłymi pomidorami gdyby Głowa siedział pod oknem naszego pokoju obok pani Halinki i pani Urszuli, to na pewno nie uśmiechałby się ironicznie na słowa mamusi, że czuje wstręt do tatusia. One również przestały się uśmiechać, kiedy mnie ujrzały i zaraz poszły do ogrodu, w którym pan Krzysio kopał dół.

Ja również chciałem oddalić się stąd, chociaż pociski słów wylatywały już z rzadka z okna nad moją głową i ze znacznie mniejszym impetem. Zatrzymał mnie pan Zygmunt Stanął w progu wejściowych drzwi z ogromnym toporem w ręce i zażądał żebym mu pomógł wydobyć z piwnicy stare przedmioty.

Ustawił mnie przy zakratowanym okienku, a sam zszedł na dół, ciągle z tym toporem, jakie widuje się u katów na filmach historycznych, albo w sklepach mięsnych Złość i ciekawość toczyły we mnie wojnę o prymat; byłem wściekły na pana Zygmunta za to, że wygryzł mnie z mansardy i oto nadarzała się okazja by dać mu to odczuć, lecz ciekawość, jakie też skarby kryje w sobie czeluść piwnicy nie pozwalała mi odejść od jej okienka. Niewiele jednak udało mi się zobaczyć przez zakratowany prostokąt: kawałek brudnej, kamiennej podłogi i szereg słoików i pustych flaszek pod ceglaną ścianą Pan Zygmunt przynosił kawałki drzwi i okiennych ram z niewidocznej części pomieszczenia i wsuwał je między kraty. To, czego nie mógł przez nie przecisnąć, rozcinał toporem. Coraz bardziej tym wszystkim rozczarowany zamierzałem właśnie odejść, kiedy ujrzałem wysuwającą się na światło dzienne niezwykle długą ramę okienną z mnóstwem małych szybek. Miały kształt kół, kwadratów, a także trójkątów o jednym boku zaokrąglonym. Potarte palcem zapalały się ukrytą pod warstwą pyłu barwą rubinu i szafiru; promienie słońca skupiły się na nich, jakby od dawna czekały na podobną gratkę.

Postanowiłem ukryć okno za rogiem domu, a potem przenieść je w odległą część ogrodu porośniętą krzakami malin. Byłem pewien, że pan Zygmunt nie zauważył tych szybek w mroku piwnicy i nie zwróci uwagi na brak jednej okiennej ramy. Drżąc z podniecenia ująłem zdobycz i w tej samej chwili nadeszła Małgosia. Postawiłem ramę na dawne miejsce i kucnąłem obok okienka piwnicy. Pan Zygmunt obracał w rękach stare wiklinowe krzesło. Topór leżał na podłodze, był prawie niewidoczny na tle kamiennych płyt.

Małgosia kucnęła obok mnie, ale udawałem, że nie wiem o tym. Jej oddech połaskotał mnie w kark, trzykrotnie nabrała powietrza w płuca i wypuściła je na moją szyję, po czym podniosła się i odeszła.

Dwie szybki naznaczone zostały przez nią literami „M", podobne były do plastrów miodu. Dotknąłem trzech pozostałych, były niebieskie. Pomyślałem, że gdybym nadal mieszkał w kajucie, mógłbym wypłynąć na pełne morze, wyjąć szkiełka z ramy i oczyścić je z kurzu i resztek skamieniałego kitu.

Pan Zygmunt dźwignął topór z podłogi. Lewą ręką przytrzymał oparcie krzesła, przez chwilę przyglądał się jego pokiereszowanej siatce, uniósł topór wysoko ponad głowę i opuścił go na splot wikliny łączący nogi krzesła z obręczą siedzenia. Życzyłem mu, żeby zamiast drewnianej, odrąbał nogę, która przed godziną przekroczyła próg mojej mansardy, albo rękę, która zamknęła za mną jej drzwi. W skupieniu obserwowałem ostrze zakreślające srebrzyste łuki. Pan Zygmunt, który najwidoczniej nie potrafił czytać w cudzych myślach, uśmiechnął się do mnie serdecznie; byłem gotów przystać na to, żeby się tylko solidnie skaleczył.

— Tati, zobacz co ja tu znalazłam! — zawołała Małgosia.

— Nie krzycz córeczko...

— Weźmiemy do Warszawy to okienko, dobrze? W kuchni...

— To jest moje — oświadczyłem odwracając się od okienka piwnicy.

— Ale ja je tutaj znalazłam — powiedziała i chciała wziąć ramę z kolorowymi szkiełkami, lecz zagrodziłem jej drogę.

— To jest moje — powtórzyłem.

Stojący za plecami Małgosi mężczyzna patrzył na mnie zmęczonymi oczami, jak na kogoś kogo doskonale zna z widzenia, lecz nie może sobie w tej chwili przypomnieć kiedy i w jakich spotykaliśmy się okolicznościach.

— To się jeszcze okaże — prychnęła gniewnie Małgosia.

— Cicho dziecko — jęknął i ruszył ku nam. Jego twarz kurczyła się przy każdym uderzeniu topora pana Zygmunta o krzesło.

— Ja pierwszy odkryłem te szybki — powiedziałem cofając się o krok. — Ale jeżeli pan...

— Ja pierwsza tati, ja pierwsza — zawołała Małgosia — On kłamie!

— Chłopcze, czy nie widziałeś gdzieś w pobliżu takiej budki, w której sprzedają... ee... piwo?

— Ja nie widziałem, proszę pana, ale mogę zapytać pana Krzysia.

— Nie, nie — skrzywił się ojciec Małgosi. — Ja tylko tak, wiesz, sądziłem, że może gdzieś tu przypadkiem za tym laskiem...

— Tati, kto by tu w lesie kupował piwo, zające? — roześmiała się Małgosia.

— Jak jest piwo, to zawsze znajdzie się taki, który zechce je wypić.

— A gdzie jest piwo? — zapytał z piwnicy pan Zygmunt.

— A dajcie mi wy święty spokój — zdenerwował się ojciec Małgosi i energicznym krokiem ruszył prosto na mur ogrodzenia, w porę jednak zorientował się dokąd zmierza i skręcił w stronę ogrodu.

— Jak chcesz, to dam ci taką jedną kolorową szybkę — powiedziała Małgosia i podążyła za ojcem.

— E, Robert, jesteś tam?! — zawołał pan Zygmunt przyciskając twarz do krat okienka. Chciałem mu powiedzieć, że nie ma już tu ani pana Roberta, ani mnie, lecz nie mogłem wydobyć głosu z krtani. Wiedziałem, że natychmiast muszę zrobić coś z przepełniającą mnie złością. Uczepiłem się najbliższej gałęzi i przełożywszy przez nią nogę zawisłem głową w dół. Przez chwilę trwałem w ulubionej pozycji gacków. Szarpnąłem się i wywindowałem na drzewo; wyrastające z jego pnia konary podobne były do szczebli drabiny.

Zacząłem piąć się w górę. Odnosiłem wrażenie, że mam w sobie ściśniętą sprężynę, która rozkręcając się napina mięśnie moich nóg i ramion, przekazuje swoją siłę mym palcom. Nie śmiałem spojrzeć w dół, by nie dostać zawrotu głowy od wysokości, na jakiej się znajdowałem. Nie wiedziałem, czy zrównałem się tylko z oknem naszego pokoju, czy może jestem już ponad dachem domu? Pomyślałem, że podobnie, jak ja w tej chwili, czuje się skoczek narciarski w momencie osiągnięcia szczytowego punktu łuku swojego lotu, że również słyszy ten podzwaniający szum wysokości nie tylko wokoło siebie, ale także w środku głowy. Jeszcze były szczeble nade mną, ale zatrzymałem się i z całych sił przywarłem do pnia mojego pierwszego w życiu drzewa. Ujrzałem wystający spośród liści dziób ptaka, mierzył prosto w moje oko. Prychnąłem, lecz nie spłoszyło go to. „Ptaszku — szepnąłem — nie najesz się tą kulką, to tylko odrobina galarety. Spójrz w dół, ile wysokokalorycznych robaków wyrzuca z ziemi łopata pana Krzysia". Nie zareagował na moje słowa, a ja nie wiedziałem czy do rozkręconej we mnie sprężyny będzie pasował klucz strachu.

— Maamuusiuuu! — zawołałem. — Maamuusiuu zoobaacz gdziee jeesteem!

Ktoś zachichotał, zerknąłem w dół skąd to dochodziło. Stojąca pod drzewem Małgosia była podobna do lalki o nieproporcjonalnie dużej głowie i stopach wyrastających prosto z kolan. Jej drwiący śmiech sprawił, że przestałem się obawiać ptaka, którego dziób w międzyczasie zamienił się w koniec uschłej gałązki. Uspokoiłem się i stałem się marynarzem, który z wyżyn bocianiego gniazda wypatruje okrętów na horyzoncie oceanu.

— A pan Zygmunt dał mi te kolorowe szkiełka — zaśpiewała Małgosia.

— To je sobie zjedz! — krzyknąłem.

— I obiecał, że jeszcze dla mnie poszuka...

Chciałem napluć na nią, lecz ogarnął mnie nagle jakiś irracjonalny niepokój. Gałąź, na której stałem, zadrżała, jakby lada chwila miała trzasnąć i pozbawić oparcia moją stopę. Jeszcze mocniej objąłem pień drzewa. „Nic złego, nie może mi się stać" powiedziałem sobie, ale nadal czułem, że coś się ku mnie zbliża. Spojrzałem w dół, poza ogrodzenie. Ścieżką szedł mężczyzna, zmierzał ku zaroślom, za którymi był dom i szklarnie ogrodnika. Głowę przykrytą zielonym kapeluszem trzymał opuszczoną i na wpół odwróconą ode mnie, jakby czegoś wypatrywał pośród traw rosnących z lewej strony ścieżki, albo jak gdyby przyjrzawszy się już mojej twarzy chciał ukryć swoją przed mym wzrokiem.

— Może ci pomóc zejść? — spytał pan Zygmunt. — Bo coś mi się zdaje...

— Nie, nie, ja sam — odparłem ściszonym głosem.

— Wyleźć na drzewo jest łatwo, ale z powrotem bywają kłopoty — dodał pan Zygmunt i potrząsnął toporem, jakby po zajęciu mojej kajuty zamierzał z kolei ściąć drzewo i pozbawić mnie w ten sposób bocianiego gniazda.

— Ale ja nie chcę na ziemię; mnie tu jest dobrze — powiedziałem, chociaż pragnąłem jak najszybciej znaleźć się blisko mamusi i tatusia.

Jeszcze tylko parę metrów dzieliło mężczyznę od zarośli. Modliłem się, żeby nagły wiatr, albo gałąź krzaku, do którego się zbliżał, strąciła mu kapelusz z głowy i odsłoniła jego włosy.

Zatrzymał się, jakby telepatycznie odebrał moją myśl, ale może tylko spostrzegł to, czego szukał w trawie. W jego palcach pojawiła się płonąca zapałka, przybliżył ją do niewidocznych dla mnie ust, a następnie pomachał jej poczerniałym drewienkiem, jakby dawał komuś znak i wszedł pomiędzy drzewa.

— To jest tort dla ognia — powiedziałem.

— Tort dla ognia — powtórzył tatuś i uśmiechnął się do mnie, po czym chełpliwie oświadczył obecnym, że odziedziczyłem po nim wyobraźnię filmową; moim zdaniem było to stwierdzenie ryzykownie przesadne, ponieważ obraz ułożonego w kominku warstwami papieru gazetowego, chrustu, papieru i kikutów nóg wiklinowego krzesła, każdemu, kto nań spojrzał, musiał skojarzyć się wyłącznie ze smakowitym, urodzinowym tortem, na którym brakowało tylko małych, kolorowych świeczek. Byłem jednak zadowolony z pochwały tatusia, bo niemile dotknął nią Małgosię. Jej oczy mówiły: „Jestem śliczna, a w dodatku mam na sobie dżinsową spódniczkę, dżinsową koszulę i czarną, skórzaną kamizelkę, więc mnie należą się pochwały i komplementy", ale tatuś zerkał na panią Halinkę, która, podobnie jak jej córka, miała na sobie dżinsowy komplet firmy Wrangler.

Jeszcze zanim wszyscy usiedli, tatuś ponownie i znów nieświadomie zafundował Małgosi porcję goryczy, która dla mnie miała smak miodu, bo przez cały czas oczami pamięci widziałem kolorowe szybki podstępnie mi przez nią zrabowane.

— Dobrze ci tak, dobrze ci tak — szepnąłem bardzo cicho, ale chyba doszło do niej, bo przymknęła oczy, jakby na znak, że słyszy; poczułem, że miód zemsty zaczyna tracić dla mnie swój smak. Odwróciłem wzrok od Małgosi, spojrzałem na przyniesiony przeze mnie z ogrodu chrust.

Tatuś uśmiechał się do mnie zachęcająco. Może myślał, że nie wiem co począć z wręczonym mi pudełkiem? Żeby mu udowodnić, że się myli, wydobyłem zapałkę z pudełka i przyłożyłem ją do draski, coś mnie jednak powstrzymało przed dokonaniem ostatecznej, tak ulubionej przez wszystkich chłopców manipulacji. Usłyszałem ponaglający głos tatusia: „No, rozpal sobie to twoje ognisko, na co czekasz" i podając Małgosi zapałki powiedziałem:

— Ty rozpal.

Konsekwencję tego gestu uświadomiłem sobie w pełni dopiero wówczas, kiedy pudełko znajdowało się już w dłoni Małgosi. Jedynie nasze palce zetknęły się i oddaliły natychmiast od siebie, ona nawet na mnie nie spojrzała. Zapewne dlatego pomyślałem by odzyskać zapałki. Oświadczyć jej, że tylko żartowałem albo po prostu wydrzeć je siłą.

Powstrzymała mnie przed tym cisza, która nagle wyrosła przede mną niby szklana ściana. Pomyślałem, że zatrzyma moją rękę jak szyba wystawy sklepowej. Ktoś powiedział: „Oooo", albo może tylko wypuścił zbyt długo przetrzymywane w płucach powietrze, i natychmiast po tym pani Urszula zawołała: „Brawo" i wszyscy dorośli wprowadzili to słowo w czyn.

Poczułem, że się czerwienię. Małgosia ukłoniła się dziękując za oklaski, które przeznaczone były dla mnie.

— Oto prawdziwy dżentelmen — powiedziała pani Urszula wskazując na mnie. — Uczcie się panowie od młodzieży, jak należy zachowywać się wobec dam.

— Och, najzwyczajniej odezwał się atawizm — powiedział tatuś. — Ognisko domowe od pradziejów było sprawą kobiet i Jaś to wyczuł instynktownie.

— Ale rozpalali je mężczyźni — zaoponował pan Zygmunt.

— Mężczyźni zdobywali opał, a kobiety...

— Jednak mężczyźni operowali hubką i krzesiwem

— Więc dlaczego są tacy nieokrzesani? — spytała mamusia.

Było jeszcze w każdym dosyć wesołości po poprzednim śmiechu, by nim właśnie skwitować uwagę mamusi. Pan Krzysio otworzył szeroko usta i wystawił na światło swój żółty od nikotyny, osierocony kieł w szczekliwym chichocie i to nieco stonowało wymuszony, ostentacyjnie głośny śmiech tatusia, którym chciał chyba wyśmiać mamusię i równocześnie śmiech pozostałych; sądziłem, że tylko ja i mamusia oceniliśmy właściwie jego intencję, ale pani Urszula powtórzyła: „Uczcie się panowie od młodzieży, jak należy zachowywać się wobec dam" Jednak tylko my oboje odczuliśmy śmiech tatusia jako uderzenie. Widziałem, jak drżą usta mamusi i jak porusza ręką szukając czyjejś pomocnej dłoni, ale byłem za daleko. Na szczęście szybko się opanowała, ale to również mnie nie ucieszyło, bo spojrzała na tatusia takim wzrokiem, że znów pomyślałem o Głowie. O tym, co mamusia powiedziała do niego tam nad rzeką, o tych słowach: „gdybyś ty znał moje życie i wiedział jaki ja czuję wstręt do mojego męża".

— To nieprawda mamusiu, powiedz, że to nieprawda! — zawołałem ogarnięty nagłym strachem i własny krzyk mnie otrzeźwił przywracając rzeczywistości.

— Co nieprawda, synku — spytała skonsternowana mamusia.

— Nic — szepnąłem cofając się.

— Wszystko jest prawdą na świecie — powiedział pan Robert. — Kłamstwo to wymysł człowieka, produkt jego zdegenerowanego mózgu, który umrze razem z nim, kiedy wybuchnie wojna

— Co ty dziecku takie rzeczy opowiadasz — oburzyła się na męża pani Halinka.

— I to przed snem — powiedział pan Zygmunt.

— I to przed snem — powtórzyła bezmyślnie pani Halinka.

Stojąca dotąd cierpliwie przed kominkiem Małgosia tupnęła w podłogę, a kiedy wszystkie oczy zwróciły się na nią, zapaliła zapałkę i przytknęła ją do gazety. Żółty języczek polizał zadrukowany papier i skurczył się jakby w odruchu wstrętu. Dopiero płomyk następnej zapałki wydłużył się i rozszczepił jak u żmii.

Zatrzeszczał zebrany przeze mnie w ogrodzie chrust, powitano to pomrukiem aprobaty. Sądziłem, że Małgosia znowu się ukłoni, lecz ta nie robiąc żadnych pretensjonalnych min ani teatralnych gestów zwróciła zapałki tatusiowi i skromnie usiadła na znajdującej się nie opodal mnie ławie.

Patrzyłem jak płomienie coraz dłuższymi palcami obejmują kolejne kawałki drewna i już ich nie wypuszczają z uścisku. Kominek stał się w pewnej chwili rozświetlonym dziesiątkami świeczek drzewkiem bożenarodzeniowym, może dlatego, że wszyscy umilkli, jakby oddawali hołd pamięci tych, którzy nie usiądą już z nami do świątecznego stołu; przez chwilę wierzyłem, że rodzice złożą zaraz sobie, a potem mnie życzenia i otrzymam prezenty gwiazdkowe, ale drzewko znów przybrało formę kaflowego kominka, a twarze stojących obok osób upodobniły się do tekturowych masek; szklane oczy wyzierające z ich szczelin nie chłonęły, lecz odbijały światło płomieni; machinalnie wyciągnąłem rękę ku Małgosi, lecz w porę uświadomiłem sobie, że zamiast palców mogę znaleźć lodowe sople i myśl ta otrzeźwiła mnie.

Cofnąłem się jeszcze głębiej i stąpając na palcach wszedłem do korytarzyka, na końcu którego widniał prostokąt otwartych drzwi kuchni. Na maszynce elektrycznej szumiał czajnik z gwizdkiem. Kredens wyszczerzył na mnie lśniące zęby wypolerowanych, stojących w karnym szeregu szklanek. Przyklęknąłem obok znajdującego się w kącie kuchni worka i zacząłem wybierać z niego kartofle. Miałem już z dziesięć nadających się do upieczenia w kominku, gdy ktoś dotknął szyby okna. Nie zapukał, lecz jak gdyby przejechał ręką po jej zewnętrznej stronie. Zerwałem się z klęczek i spojrzałem w okno, ale zobaczyłem jedynie żelazne pręty krat. Zgarnąłem kartofle do blaszanej miski i nie oglądając się za siebie wróciłem do izby kominkowej.

Na ustawionej przed paleniskiem kanapie, która tylko w zagłębieniach nosiła ślady dawnej purpurowo-złotej świetności, siedziały, mamusia, pani Halinka i pani Urszula. Pan Zygmunt i pan Robert ulokowali się po lewej stronie kanapy w wysłużonych fotelach, a pan Krzysio na wiklinowym krześle, którego brata bliźniaka porąbał był przed południem pan Zygmunt.

Małgosia siedziała na ławie po drugiej stronie kanapy. Pomiędzy mamusią i panią Halinką było trochę miejsca, postanowiłem się tam wcisnąć, lecz wyprzedził mnie odchodzący akurat od kominka tatuś.

— Co tam masz? — spytał.

— Kartofle... Chciałem upiec w ognisku.

— To dopiero jak będzie żar, a właściwie popiół.

— A tymczasem — powiedział pan Robert, a pan Krzysio zaskrzypiał cichutko wysuszonymi wiklinami krzesła.

C.D.N.

1

Sport

Gdzie są ludzie godni zaufania?

Nie wiem, czy mam rację, ale mnie słowo: sędzia — kojarzy się zawsze z człowiekiem wyjątkowej uczciwości, obiektywnym i godnym zaufania bez żadnych zastrzeżeń. Może to i pogląd staroświecki, ale przecież jeśli ktoś o czymś decyduje, rozsądza dwie strony, to musi kierować się przede wszystkim uczciwością, bezstronnością, sprawiedliwością i wreszcie przepisami, które mają mu w tym pomóc. Sędzia musi więc być poza wszelkimi podejrzeniami.

Od chwili, gdy zaczęłam chodzić na mecze i interesować się sportem ciągle słyszę — „sędzia kalosz". Jest to najlepsze określenie stosunku kibiców do sędziego. Inne raczej nie dają się powtórzyć publicznie, choć są publicznie, bo na meczach, wypowiadane. Kibice niejako z góry zakładają, że sędzia sportowy może być stronniczy, a więc niesprawiedliwy i nieuczciwy, że kieruje się nie obiektywizmem, a swoim widzimisię. Takie założenie jest wręcz absurdalne, a przecież...

Oto Zarząd Polskiego Związku Bokserskiego opublikował komunikat, z którego jasno wynika, że wszyscy obserwatorzy meczu bokserskiego pomiędzy stołeczną Gwardią i GKS Jastrzębie uznali za niesprawiedliwe decyzję sędziów: Erazma Działoszyńskiego i Pawła Matuszyka. Zarząd PZB zawiesił więc obu sędziów do wyjaśnienia zarzutów i całej sprawy.

A sprawa jest taka, że obaj sędziowie orzekając remis spowodowali wygranie meczu przez warszawską Gwardię, co było niesprawiedliwe i wbrew temu, co działo się na ringu.

Andrzej Kostyra z katowickiego „Sportu" zapytał o uwagi trenera Gwardii Warszawa — Michała Szczepana i dowiedział się, że Gwardia została skrzywdzona w trzech ostatnich spotkaniach ligowych. Z rozmowy tej okazuje się, że praktyka taka jest „normalną" a „regionalni dziennikarze są związani z klubami, nigdy nie napiszą prawdy". Zresztą warszawscy też nie kwapią się do mówienia i pisania prawdy.

I jak tu żyć?

Kibic musi odpowiedzieć sobie na pytanie: czy sędzia, który prowadzi spotkanie sportowe jest człowiekiem godnym zaufania, czy też nie? A jeśli nie, to dlaczego? Jeśli powodem tego jest brak kwalifikacji, jak wtedy można dopuszczać do prowadzenia spotkania przez człowieka bez kwalifikacji? Czy też być może sędzia jest stronniczy, bo czerpie z tego korzyści materialne, czyli daje się przekupić? I dlaczego nikt na to nie reaguje? Kibic przychodzi na mecz z miłości do sportu, z potrzeby sportowych przeżyć i bardzo nie lubi gdy go się oszukuje „robi w konia" i gdy „wstawia mu się kit". A już, kiedy dowie się, że cała walka na boisku była sfingowana, że wynik ustalono dużo wcześniej, to może „wyjść z nerw" i wtedy potrzebna będzie silna interwencja milicji. Kibic więc musi mieć zaufanie do sędziego.

Jak to osiągnąć?

W związkach sportowych są wydziały sędziowskie. Nie wierzę, że wszyscy sędziowie sportowi nie mają kwalifikacji, albo są przekupni. Mamy przecież wspaniałych sędziów cieszących się międzynarodowym uznaniem. W obronie ich dobrego imienia trzeba usunąć wszystko, co temu imieniu mogłoby zagrozić. I musi się ta praca dokonać w związkach sportowych. Ludzie godni zaufania powinni stanąć w obronie tegoż zaufania. Nikt tego za nich nie zrobi.

A skoro o zaufaniu mowa, to muszę z dużym zastrzeżeniem odnieść się do informacji „Przeglądu Sportowego" o przebiegu „Plebiscytu '85". Chodzi o wybór dziesięciu najlepszych polskich sportowców 1985 roku. Otóż „PS" donosi, że wielbicielki Dariusza Dziekanowskiego nadsyłają zgłoszenia jego kandydatury do tytułu najlepszego sportowca, ale Tomasz Lipko z Warszawy jest temu przeciwny. Jego zdaniem u'egają one „magii Dziekanowskiego", a Dariusz Dziekanowski miał nieudaną wiosnę i jesienią tylko 9 spotkań, w których wykazał swoje umiejętności. No i odszedł z Widzewa w atmosferze skandalu. „PS" wyjaśnia że o tym nie zapomina „ale o wyborze do grona kandydatów decydują wyborcy, a głosów „za" Dziekanowskim było aż nadto, by uwzględnić jego osobę".

Jest to tylko część racji. W końcu jest to plebiscyt „Przeglądu Sportowego" i jeśli redakcja uznaje, że kandydat z jakichś powodów nie zasługuje na to, aby być kandydatem, to wyjaśnia te powody Czytelnikom. Odejście Dariusza Dziekanowskiego odbywało się nie tylko w warunkach skandalu, ale przede wszystkim w warunkach moralnie podejrzanych. I obojętne, czy odszedł z Widzewa, czy też odszedłby z jakiejś innej drużyny, to moment ten powinien być wzięty pod uwagę. Do sportowca też trzeba mieć zaufanie. A już jeden z 10 najlepszych powinien być przykładem dla innych. Czy Dariusz Dziekanowski spełnia te warunki? Niech się może jego wielbicielki nad tym zastanowią. Redakcja „PS" również.

A mnie — jako kobiecie — bardzo uraził widok tego młodego sportowca który w dzień wyborów do Sejmu PRL rozmawiał z reporterką DTV trzymając rękę w kieszeni. Nie był to najlepszy przykład dla młodych, przyszłych sportowców, którzy — w obecnym zalewie chamstwa — powinni mieć do naśladowania wzory postaw kulturalnych.

BOGDA MADEJ

2

Lewym okiem

Możemy pomarzyć...

Słyszy się czasem opinię, że czytanie jest biernym spędzaniem czasu. Oczywiście bicepsy przy czytaniu nie rosną nogami się nie fika, a nawet głowa matematycznych równań nie rozwiązuje. Bywa też, że ktoś — przeważnie jest to właśnie nałogowy czytelnik, pożeracz zadrukowanego papieru — trzymając przed sobą książkę lub pismo i ślizgając się wzrokiem po drukowanych słowach, wcale nie przyswaja sobie, nie rozumie i nie absorbuje myśli, w tych słowach ukrytej. To jest rzeczywiście czytanie bierne.

Ale przecież bywa inaczej. Niejeden czytany tekst zmusza do sprzeciwu, do własnych domyśleń i przemyśleń, wywołuje radość aprobaty i chęć podjęcia dyskusji, którą też nieraz w myśli się podejmuje. Wtedy nie można już mówić o bierności czytającego, on jest w całym tego słowa znaczeniu umysłowo aktywny, reaguje, odkrywa, protestuje i dopowiada.

W moim nielicho zaczytanym życiu tak już jest, że każdy prawie tekst korci do wtrącenia — w myśli, oczywiście — swoich trzech groszy. Czasem zdarza się pokusa na tyle silna, że ma się ochotę zabrać głos naprawdę. Czasem się tę ochotę realizuje.

Czytam na przykład w „Przeglądzie Tygodniowym" wywiad ze znakomitym artystą, rektorem Państwowej Szkoły Teatralnej w Warszawie, Andrzejem Łapickim, o kondycji aktora. Żeby uprawiać zawód aktora, mówi Łapicki, „trzeba odczuwać potrzebę bycia na scenie, służenia innym. Bo przecież przy pomocy wygłaszanego tekstu, roli, pragnie się ludziom przyjść z pomocą. Aktor musi być uzdrowicielem, musi mieć w sobie coś z Harrisa. Aktorstwo jest w istocie zawodem magicznym".

Czytam i nie mogę wytrzymać, żeby nie dopowiedzieć: czy aby nie za wiele magii i patosu? „Służenie innym" mógłby podać jako motywację swego wyboru każdy, ze służbą zdrowia na czele: piekarz, bo służy ludziom chlebem, dozorca — bo służy zamiatając ulice — i tak dalej, bez końca. Czemuż to akurat aktor „przychodzi ludziom z pomocą"? Czy nie jest to usilne wsadzanie uczciwie pracujących (w teatrze) ludzi na metafizyczne szczudła? Myślę także, że u psychologicznych źródeł wyboru właśnie zawodu aktorskiego leży przede wszystkim przemożna chęć publicznego pokazywania się, słuchania oklasków, wiecznego przeglądania się w entuzjazmie publiczności, ciągłego różnienia się od innych. Nie uważam tego za cechę wyłącznie i zawsze pejoratywną. Dobry aktor przez mądre inwestowanie w tę właśnie cechę swego charakteru staje się artystą i to już jest wartość obiektywna, z której wszyscy korzystamy.

W tym samym numerze „Przeglądu Tygodniowego" Tadeusz Biedzki bardzo przekonywająco i dosadnie obdziela nas potężną porcją pesymizmu co do naszych widoków na przyszłość, a potem nagle, pod koniec artykułu, wyróżnionego zresztą w konkursie pod hasłem „Polskie jutro", usiłuje za wszelką cenę podrzucić nam choćby iskierkę nadziei. Bardzo, bardzo się o to stara, powiadam: za wszelką cenę. Posługuje się przy tym trzema budującymi, świetlanymi przykładami, które przyjmuję na wiarę, acz nie bez domieszki melancholii: podobne przykłady bywały już negliżowane niemiłosiernie w reportażach i dyskusjach prasowych. Biedzki sięga jeszcze do jednego przesłania. Oto odwagi i nadziei ma nas uczyć trzynastoletni Mariusz Michalski, który w swoim szkolnym wypracowaniu kreśli wizję przepięknej Polski roku dwutysięcznego. „Ludzie będą dla siebie dobrzy — pisze Mariuszek — uczciwi i sprawiedliwi. Znikną dzisiejsze problemy i trudności. Każda rodzina będzie miała swoje mieszkanie, niektórzy — ci bardziej pracowici — zbudują własny domek. Półki będą pełne towarów..." i tak dalej, w tym guście.

„Przedstawiona przez trzynastolatka wizja winna być przyjęta jako program na przyszłość" — pisze Tadeusz Biedzki. Bo — „czy ma ktoś program lepszy, bardziej odpowiadający naszym aspiracjom i pragnieniom?"

Jeżeli to, że ludzie będą dobrzy i znikną trudności, jest programem, to ja mam lepszy: „Wszyscy ludzie będą zawsze zdrowi, nie będą im wypadać włosy i zęby, każdy będzie miał rok urlopu i będzie pływał własnym jachtem od jednej własnej wyspy do drugiej, a na każdej będzie miał sto młodych i pięknych żon i będzie jadał lody z ananasów".

Skoro marzenie — zwłaszcza dziecięce — ma być programem, jak powiada Biedzki, to proszę, możemy pomarzyć, nie? I jeszcze pisze laureat Konkursu „Polski jutro": „Chciałbym za lat kilkanaście znów siąść w tym fotelu i jeszcze raz sięgnąć po wypracowanie Mariusza Michalskiego z 1985 roku". No i co? Co ma z tego wyniknąć — optymizm? Możemy sobie przecież poczytać wypracowania z roku 1970, sprzed piętnastu lat. Będą prawie takie same. No i co z tego?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

U fryzjera Nieregularnik felietonopodobny

Sen

— Wyobraźcie sobie panowie, miałem wczorajszej nocy dziwny, przedziwny sen. Nie uwierzycie — śnił mi się zakład fryzjerski, można by rzec, na miarę naszych czasów i ambicji. Był oczywiście duży, bardzo duży, olbrzymi, prawdziwy kolos, a na szczycie budynku, w którym się znajdował, widniał neon CENTRUM FRYZJERSTWA POLSKIEGO, czy coś w tym rodzaju, ale, niestety, nie mam stuprocentowej pewności, gdyż noc była ciemna, a nie wszystkie litery, że tak powiem, czynne. Ale darujmy sobie ten niewiele znaczący szczegół. Najważniejsze, iż od razu postanowiłem zwiedzić tę nowoczesną placówkę usługową dla ludności, aby, jak to się mówi, być na bieżąco. I muszę przyznać, że była to głęboko słuszna decyzja jako że już w chwilę później wyszło na jaw, jakim to ja jestem ignorantem, jeśli chodzi o najnowsze rozwiązania organizacyjne w handlu, służbie zdrowia i usługach, a we fryzjerstwie — w szczególności.

Zaczęło się od samych drzwi wejściowych — rzecz jasna, dużych, oszklonych, ciągnących się długim szeregiem przez cały front budynku. Wykazując daleko idącą naiwność, podszedłem do pierwszych z lewej już, już śmiało miałem je pchnąć przed siebie, gdy dostrzegłem przyklejoną do nich kartkę z napisem: Wejście obok. Przesunąłem się więc kilka metrów w prawo i — znów: Wejście obok. Na następnych — to samo. Dopiero szóste z kolei drzwi okazały się być otwarte i właśnie przez nie dostałem się do przestronnego hallu, który na każdym wchodzącym tu pierwszy raz musiał chyba zrobić wrażenie.

Przede wszystkim szatnia — z prawdziwego zdarzenia, obowiązkowa i płatna (5 złotych), tyle że — jak informował napis — chwilowo nieczynna z powodu braku personelu. Pod ścianami rzędy krzeseł dla potencjalnych klientów, naprzeciwko zaś — siedem okienek (zupełnie jak na dworcu kolejowym) i duża tablica informacyjna. Zbliżywszy się do niej zacząłem czytać po kolei. Dyrektor — p. 206; Z-cy dyrektora — p. 208, 209, 210 i 211; Księgowość — p. 212, 213; Dział techniczny — p. 101; Kasa — p. 05; Gabinety damskie — p. 106—119; Gabinety męskie — p. 214 — 226; Gabinety specjalistyczne — p. 201 — 205; Magazyn...

Przed okienkami tłoczył się oczywiście kilkudziesięcioosobowy tłum, ustawiony w coś co mogło przypominać kolejkę. Jak na zdyscyplinowanego obywatela przystało zająłem miejsce na końcu tej kolejki i zaledwie po godzinie czekania dotarłem do jedynego czynnego okienka. „Chciałbym się ostrzyc" — powiedziałem do siedzącej za szybką panienki, która dała mi numerek do pokoju 220, po czym wysłała do kasy (w bocznym korytarzu) gdzie uiściłem 150 złotych polskich, otrzymując w zamian piękny rachunek formatu A-4 na kredowym papierze. Potem po szerokich marmurowych schodach wdrapałem się na drugie piętro i spokojnie usiadłem pod drzwiami nr 220, gdyż okazało się, że jestem dopiero dwunasty. Już po dwóch godzinach czekania siedziałem najbliżej drzwi i niczym angielski lord wszedłem wreszcie do gabineciku, zajmując miejsce w fotelu przed pękniętym lustrem, w którym odbijała się młoda twarz dyplomowanego fryzjera. „W kancik czy wycieniować" — zapytał głosem profesjonalisty, zbliżając się do mnie z grzebieniem i nożyczkami. „W kancik" — odpowiedziałem, a on, upewszy wprzódy spory łyk herbaty ze szklanki stojącej na stoliku obok, od razu zabrał się do strzyżenia. Pełen podziwu dla jego sprawności i szybkości, z jaką skracał mi i przerzedzał resztki bujnej niegdyś czupryny, zapytałem grzecznie, czy przy okazji nie mógłby mnie także ogolić. I tu znów niestety, wykazałem się rażącym brakiem obycia, gdyż usłyszałem, że golenie — w gabinecie obok, co jednak pociąga za sobą konieczność zejścia na dół, ustawienia się od nowa w kolejce do okienka, otrzymania numerka, udania się do kasy, uiszczenia opłaty, po czym wejścia z powrotem na górę, ale na razie i tak nie mam po co chodzić tam i z powrotem, ponieważ dzisiaj nie golą z powodu dostawy nowych brzytew.

Zawstydzony wstałem z fotela, podziękowałem za strzyżenie, ukłoniwszy się trzykrotnie w pas, wetknąłem do kieszonki fryzjerskiego fartucha — jak nakazuje teraz obyczaj — zwinięty banknot i wyszedłem na korytarz. Muszę przyznać, że byłem jednak trochę zawiedziony z powodu tego golenia. Z drugiej jednak strony, pomyślałem, pracować w takich warunkach... Nagle ni stąd, ni zowąd — jak to zwykle we śnie bywa — pojawił się przede mną sam dyrektor naczelny centrum i czytając wprost w moich myślach, zaproponował pracę, gdyż właśnie mają przejściowe kłopoty z obsadzeniem wszystkich etatów, a ja jako doświadczony fryzjer...

— I co, przyjął pan propozycję? — nie wytrzymał Inżynier.

— Już, już miałem to zrobić, ale na szczęście zdążyłem się w porę obudzić — zakończył swą opowieść pan Franciszek. A po chwili dodał z zadumą.

— Patrzcie, jakie to się człowiekowi głupoty w głowie lęgną. Dobrze, że to był tylko sen.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

4

Spojrzenie znad szachownicy

Co gdzie zjeść (i za ile)?

1.

Znów mam dla „Odgłosów" propozycję nie do odrzucenia, która wszakże — sformułuję to skromnie — jak wszystkie propozycje ocierające się o genialność z całą niemal pewnością przepadnie nie zauważona. A jeżeli nawet ktoś łaskawie podejmie temat, znajdzie się tyle przeszkód obiektywnych, że realizację odłoży się do lepszych czasów, albo do kiedykolwiek. Dziękuję bardzo, do kiedykolwiek nie mam zamiaru czekać, sam pójdę i ziem ten obiad.

2.

Przede wszystkim zapytajmy, czego oczekuje od swojego pisma statystyczny Polak, czy raczej ta część statystycznego Polaka (bądź „statystycznych Polaków" — diabli wiedzą, użyć tu liczby mnogiej, czy pojedynczej), która pisma społeczno-kulturalne zwykła była czytywać.

Może recenzji z najnowszego tomiku wierszy poety Iksa? Przykro mi, ale wątpię wystarczy popatrzeć na nakłady, jakimi podobne tomiki zasłużenie się szczycą.

A może omówienia spektaklu Tego i Tego w teatrze Takim a Takim? Żałuję, ale nie sądzę, wystarczy przyjrzeć się frekwencji, byle nie w dniu premiery, bo wówczas przychodzą rodziny i kibice. Zresztą kto ma pójść do teatru, ten i tak pójdzie, zaś światłe rady recenzentów — o sobie tu myślę i nad sobą samym się znęcam — nikogo ani nie grzeją, ani nie ziębią. Drukuje się je z nawyku, a jeżeli przestanie ktoś drukować, zauważą to wyłącznie zainteresowane teatry, nikt więcej.

Do kina prześwietna publiczność też chodzi wedle własnego wyboru, a jeżeli kupuje książki — bo jednak kupuje — to niemal wyłącznie te, które leżą pod ladą, nie na ladzie. Więc i pisać o nich trochę głupio, jakże bowiem zachwalać coś, czego nie ma.

Tak zdyskwalifikowawszy większą część recenzenckich produkcji - w tym i własnych - zgłaszam propozycję konstruktywną i twórczą: jeżeli już rzeczywiście musimy coś recenzować, recenzujmy, proszę ja was, knajpy.

GDZIE CO ZJEŚĆ (I ZA ILE) — to pytanie, tak śmiało postawione w tytule, czeka na swojego Irzykowskiego, który je podejmie. Muza gastronomii jest bowiem historycznie rzecz biorąc muzą najpierwszą, a więc klasy zerowej — ide o zakład, że praprapraczłowiek najpierw się nażarł, a dopiero potem zaczął przytupywać, wyć melodyjnie, albo też gryzmolić coś na ścianach byle jaskini, no i z tego dopiero narobiły się inne dziedziny sztuki.

3.

Istnieją co prawda nacje — tacy Francuzi, dajmy na to — które od dawna posiadają pisma posiadające gastronomicznych recenzentów, pozornie zgłoszony pomysł nie jest więc całkiem nowy. No tak, ale ja zamiast samotnego recenzenta chciałbym powołać odpowiedzialną, wysoce kompetentną, przynajmniej trzyosobową komisję, a tego Francuzi, czy inni Amerykanie do końca świata by nie wymyślili.

Komisje to nasza specjalność, można powiedzieć, a powiedziawszy tak — nie rozminiemy się z prawdą.

4.

Oczywiście komisja będzie odwiedzać i recenzować jadłodajnie prywatne, ewentualnie agencyjne, nie zaś państwowe, bo to byłoby próżna strata czasu i atłasu, nie mówiąc o stracie zdrowia i pieniędzy. Zresztą właściwie dobrana komisja będzie już wiedziała, gdzie udać się na szaszłyk, gdzie na czerninę, a gdzie na coś zupełnie innego, czego roztropnie nie zdradzę, przynajmniej do czasu.

Skład komisji widziałbym zaś taki. Redaktor Tadeusz C., który jedząc najobrzydliwszy salceson potrafi z takim zapałem rozprawiać o kunszcie wędzenia szynki, że ślinka po prostu leci. Do tego zgrabna, sympatyczna panienka — wedle uznania redakcji. Sympatyczna, bo miłej gdy coś miłego siedzi przy stole, zaś zgrabna, bo taka widać dba o linię, więc nie zeżre zbyt wiele.

No i — rzecz zrozumiała — ja w podwójnym charakterze przewodniczącego i przyzwoitki; na koszt firmy nie będziemy pozwalać na żadne bezeceństwa, ani nawet dopuszczać podejrzeń o wyż. wzmiankowane.

5.

Pozostaje drobiazg — finanse, za zwykłe dziennikarskie diety można bowiem co najwyżej polizać klamkę, a i to nie wszędzie. Otóż jeżeli wcześniej zgłoszony pomysł (ten z żywymi szachami i gołymi damami) przejdzie, redakcja za reklamę i organizację może od nas dostać — hej, Życiowy, co wy na to?! — jakieś 10, a może nawet 15 procent utargu, częściowo w dewizach zresztą. To na początek wystarczy (zwłaszcza jeżeli będę pilnował redaktora C. przy zamawianiu), a wtedy otworzymy tak pasjonującą rubrykę, że żadne inne rubryki nie będą potrzebne.

Oszczędności na tych innych rubrykach przeznaczamy na dofinansowanie żywych szachów (to na wypadek gdyby deszcz padał i nie było frekwencji), zyski z żywych szachów trafią zaś na fundusz delegacyjny recenzenckiej komisji, no i tak zacznie się kręcić ekonomiczne perpetuum mobile. Być może co prawda nie będzie się chciało kręcić wiecznie, ale co się najem, to się najem i nikt mi tego nie odbierze.

JERZY P.

Wielki las

(20)

ZBIGNIEW NIENACKI

Ale Kulesza tak na nią nie patrzył. W każdym razie nie czynił tego w początkach ich znajomości. Opowiadał o sobie, o swojej plantacji nasiennej — i omijał wzrokiem jej sylwetkę, jej ciało, co najwyżej zaglądał w oczy. I gdy rozstawała się z nim, to znaczy wysiadała z autobusu i szła do Horsta Soboty (bo zazwyczaj spotykali się w autobusie, ona wracała ze szkoły, a on jechał z nadleśnictwa), tęskniła za nim, za jego głosem, za jego opowiadaniami o zakładanej przez niego plantacji. I to coraz większe uczucie tęsknoty przyjęła za miłość. A czyż małżeństwo nie powinno być naturalnym celem miłości dwojga ludzi? Przyjęła jego propozycję małżeństwa i w tajemnicy przed Horstem została narzeczoną Kuleszy, spotykała się z nim ukradkiem — w lesie, na polnych drogach. To prawda, że on zachowywał się już trochę inaczej niż dawniej. Ale to także wydawało jej się prostą konsekwencją narzeczeńskiego stanu. Usiłował ją całować, dotykać w różnych miejscach, co budziło w niej odrazę, lecz tłumiła ją w sobie, skoro zmierzali do małżeństwa i wzajemnego współżycia. Przebaczyła mu nawet to, że któregoś wieczoru zaciągnął ją w młodnik, powalił na ziemię, a potem próbował ściągnąć z niej majtki. Była silna i zdołała się obronić, pogniewała się potem na niego, na krótko jednak, bo przecież — jak jej to wytłumaczył — byli narzeczeństwem i mieli do siebie jakieś prawa. „Po ślubie wszystko się odmieni" — powiedziała jej koleżanka, której zwierzyła się ze swojej odrazy do tego, co chciał z nią zrobić Kulesza. I musiała jej przyznać rację, ponieważ uczono ją, że ślub jest sakramentem, a więc czymś świętym. Coś takiego na pewno odmienia kobietę, czyż w przeciwnym razie ludzie tak wielką wagę przywiązywaliby do ślubu? Myślała, że sakrament małżeństwa uwolni jej pamięć od tamtej strasznej chwili w lesie, uświęci współżycie z mężczyzną, odrodzi błogosławieństwem Boga.

Wzięli ślub. I w tę pierwszą ich noc, gdy zgodnie z radami koleżanek, czysta i pachnąca położyła się naga na łóżku — raptem, pierwszy raz w życiu ujrzała Kuleszę nagiego. Wszedł do pokoju ze sterczącym prąciem — zobaczyła nagle to, co sprawiło jej kiedyś tyle bólu. Krzyknęła przerażona i chciała się zerwać z łóżka, ale Kulesza już na niej legł, chwycił ją mocno w ramiona i powiedział „żono". Nie próbowała się dalej bronić, choć przecież mogła. To jedno słowo — „żono" — obezwładniło ją i kazało czekać cierpliwie aż dopełnią się zbawienne skutki sakramentu małżeństwa. A jednak ta przeklęta pamięć odżyła i coś tam w niej ścisnęło się trwożnie, zamknęło ze strachu. Dlatego może znowu ją zabolało, gdy w nią wszedł swoim twardym prąciem i dopiero po jakimś czasie ból w niej minął, znosiła jakoś te jego ruchy w sobie. Czuła wstręt, lecz nie protestowała ani następnej nocy, ani jeszcze następnej . Z czasem ogarnęła ją obojętność — wiedziała, że z początku będzie bolało, a potem ból ustąpi. Kładła się posłusznie, godziła z cierpieniem, znosiła jego ruchy w sobie. I ową obojętność — uznała za powolny i zbawienny cud małżeństwa. Teraz należało tylko cierpliwie leżeć każdej nocy i czekać aż nastąpi dalszy cud — polubi to, co lubił jej mąż, ocknie się w niej pożądanie. Niestety czas mijał, a cud nie następował. Po obojętności nastąpiła rezygnacja, a jeszcze później coś w rodzaju znużenia. Z rezygnacją i znużeniem przyjmowała męża i ruchy jego twardego członka, o którym nie potrafiła myśleć bez wstrętu. Z otwartymi szeroko oczami obojętnie patrzyła w okno, modląc się, aby wreszcie minęła noc i nastał świt. Czy Kulesza zauważył jej brak podniecenia, niechęć przed każdym zbliżeniem? Zapewne, gdyż zaczął ją głaskać, pieścić, dotykać, całować całe jej ciało, zmuszał ją do patrzenia na swój wyprężony od pożądania członek. Lecz to jedynie zwiększało poczucie odrazy i wstrętu. Już nie wierzyła w cudowną moc sakramentu małżeństwa.

Aż wreszcie zamieszkał u nich obcy człowiek, strażnik łowiecki. Pewnego dnia powiedział do Kuleszy o miłości czystej i prawdziwej. O kobietach, które szły za mężczyznami w dzikie pustkowia, nie mając nadziei na zbliżenie cielesne. O miłości, która obywała się bez sterczącego prącia i bolesnego wchodzenia w kobietę. Pojęła — przypadkowo słuchając o tym — że pomyliła się: tęsknotę przyjęła za miłość. Nigdy nie kochali się z Kuleszą miłością czystą i prawdziwą, a miłością brudną, bo pełną pożądania tylko ze strony mężczyzny. Tej nocy nie potrafiła znieść myśli o bólu, jaki mąż znowu miał jej zadać. A gdy to zrobił, po prostu zrzuciła go z siebie na podłogę. Od tej chwili twarz męża, jego zapach, jego oddech, każde jego słowo i spojrzenie — budziło w niej odrazę. Zrzuciła go z siebie i następnej nocy, a potem już nigdy nie dopuściła do siebie.

W końcu nadszedł wieczór, gdy Kulesza rzucił się na nią, pomógł mu Budrys, Wzdręga i Tarchoński. Ona szarpała się, broniła, obnażając ciało przed obcymi ludźmi, także i przed Marynem, który nagle wyszedł — obojętny na to, co z nią czyniono. Czy tak powinien postępować uczciwy człowiek? Teraz nie wierzyła w żadne jego słowo. Stał się dla niej tak samo nienawistny jak mąż, jak Budrys, Wzdręga i Tarchoński. Była kobietą okaleczoną przez pamięć gwałtu dokonanego na niej w lesie. Potem zaś okaleczono ją powtórnie i zrobił to jej własny mąż.

Jeśli jej ciało kryło jakąś tajemnicę, to był nią ów wewnętrzny opór, który objawiał się w podbrzuszu wraz z uczuciem strachu przed bólem, razem z wrażeniem wstrętu i odrazy. Nie wierzyła, aby mogło to jej minąć, ponieważ zostanie w niej na zawsze pamięć o tym, co spotkało ją kiedyś w lesie i o tym co przeżyła z mężem Rosie, gładkie, bujne ciało stało się jedynie jakąś atrapą dla jej lęku i jej pamięci. Dlatego splotła warkocz i okrywszy swoje ciało szlafrokiem, przesiadła się na krzesło przy maszynie do szycia.

Nie potrafiła jednak skupić uwagi na ściegu nowej poszwy, którą szyła na pierzynę dla Horsta Soboty. Przerwała szycie i podeszła do okna, które wychodziło na las i drogę. Zobaczyła Józefa Maryna wyjeżdżającego z podwórka na swojej klaczy. I wtedy powodowana jakąś niezrozumiałą dla niej siłą po cichutku zeszła po schodach.

W jej nozdrza uderzył zapach pokoju Maryna (istnienie tego zapachu uświadomiła sobie po raz pierwszy). Wyczuła zleżałą, ale przyjemną won dymu jakichś drogich papierosów. To dziwne, że przy ludziach Maryn palił tylko byle jakie papierosy, w swoim zaś pokoju — drogie, zagraniczne. Otwarta paczka tych papierosów jeszcze leżała na stole.

Po chwili wyróżniła zapach lanilinowego kremu do golenia, którego zawsze używał Maryn. Nigdy dotychczas ów zapach nie wydał jej się tak ostry i wyraźny, mimo że przecież Maryn zawsze nim pachniał. Poczuła też woń końskiej sierści — to koc, który zabrał z leśniczówki, wydzielał ją z siebie.

Podeszła do szafy i spomiędzy zwiniętych niedbale w kłąb dwóch brudnych koszul wyjęła zdjęcia, które pokazywała Horstowi. Koszule Maryna miały zapach męskiego potu — trochę kwaśny, choć przecież przyjemny. Tak samo pachniało jej zdjęcie Budrysa, gdyż leżało między koszulami.

Długo i uważnie wpatrywała się w zmasakrowaną twarz traktorzysty, w skrzepy krwi na jego czole i przy ustach, na skurczone ciało. Patrzyła i patrzyła sycąc w sobie uczucie mściwego zadowolenia, wchłaniając z lubością woń tego zdjęcia — ów kwaśny zapach męskiego potu. Przymknęła oczy i wyobrażała sobie, że pewnego dnia zobaczy tak samo zmasakrowaną twarz Wzdręgi, Tarchońskiego, a także Kuleszy. Tę samą twarz, której najdrobniejszy szczegół zapamiętała podczas długich nocnych godzin, gdy leżał na niej przy zapalonym świetle żarówki, sapiąc i postękując z rozkoszy.

I gdy to sobie przedstawiała — w podbrzuszu poczuła ciepło. Później zaś doznała nieznanego jej do tej pory wrażenia męczącego pragnienia otworzenia swego wnętrza i wypełnienia go. Lewą ręką wzięła zdjęcie Budrysa i przybliżyła je do oczu, a prawą zsunęła na szorstkie od włosów podbrzusze. Wrażenie ciepła coraz mocniej obejmowało jej ciało, wędrując od dołu aż do piersi i szyi. Jeszcze niżej między nogi wsunęła swoją dłoń i doznała lekkiej rozkoszy, a potem jakiejś delikatnej ulgi. Wtedy zawstydziła się i pośpiesznie odłożyła zdjęcie między brudne koszule. Bezwiednie spojrzała na prawą dłoń. Była mokra — i to ją tak przeraziło, że pobiegła do swego pokoju na górę, gdzie starannie wytarła dłoń połą szlafroka.

Tego dnia już nic zeszła na dół. Jeśli Maryn w ogóle wrócił na noc — kolację zrobił sobie sam, albo przygotował mu ją Horst. To samo stało się ze śniadaniem. Na myśl, że ma spotkać Maryna budził się w niej wstyd, choć przecież nie mógł być świadomy tego, co przeżyła w jego pokoju. A gdy w końcu pojawiła się na dole, aby się umyć, przekonała się, że Maryn pierze w łazience swoje zielone koszule. Wycofała się więc zaraz do kuchni, gdzie Horst ostrzył na osełce zakrzywiony nóż do obcinania gałązek w sadzie.

— Widziałaś, co on robi? Pierze swoje koszule — szepnął z wyrzutem stary.

— Powiedziałam, że nie będę dla niego służącą — wzruszyła ramionami.

— Wiem. Dlatego muszę mu się postarać o kobietę. On nie ma pojęcia o praniu koszul.

— Niech sobie sprowadzi żonę...

— Nie ma żony — zaprzeczył Horst.

Wyobrażenie, że mogłaby prać koszule Maryna i znowu zetknąć się z kwaśnym zapachem potu, którym przesiąknięte było zdjęcie Budrysa, wprowadziło Weronikę w niepokój. Nie potrafiła tego zrozumieć, czuła jednak w sobie ów niepokój i to ją irytowało. „Złości mnie, że Horst troszczy się o niego jak o kochankę" — pomyślała, kiedy Maryn skończył pranie i mokre koszule zaczynał rozwieszać na sznurze od bielizny między kurnikiem a stodołą. Sabota pośpieszył za nim i wyniósł ze stodoły leżak — ten, który kiedyś kupił dla Weroniki. Rozstawił go w pobliżu kurnika, aby Maryn opalając się mógł patrzyć na psa. Był zresztą bardzo słoneczny dzień, mocno pachniał las, jeszcze silniej pachniały wodorosty przy brzegu jeziora.

Weronika umyła się, ubrała w kretonową sukienkę z dużym dekoltem i bez rękawów. „Udowodnię mu, że jego bezczelne spojrzenia są mi obojętne, gardzę nimi, podobnie jak gardzę jego osobą" — zdecydowała.

Rozebrany do pasa Maryn leżał na leżaku, opalając się w promieniach słońca. Spod przymrużonych powiek obserwował psa, który od rana niespokojnie kręcił się za ogrodzeniem. Weronika widziała nagich i półnagich mężczyzn — stary Horst miał ciało wychudłe i skórę wysuszoną, aż szorstką. Kulesza był mocno owłosiony, Persi, ramiona, a nawet plecy porastał mu czarny puch — i to też wydawało się Weronice wstrętne. „Jak u tego kosmatego psa za siatką" — pomyślała. Nagi tors Maryna wyglądał jednak inaczej. Jego ciało było gładkie jak u kobiety i tylko na piersiach miał trochę jasnych włosów. „Jest goły jak żmija" — pomyślała. I była zdziwiona, że są mężczyźni nie porośnięci włosem jak zwierzęta. U Kuleszy widziała pod skórą grube sznury mięśni, jego męska siła ją przerażała, gdyż wiele razy przekonała się o niej, gdy wchodził w nią z bolesną mocą. U Maryna nie zauważyła czegoś takiego — wydawał się szczupły i słaby jak mały chłopiec. A przecież to on zmasakrował wielkiego jak kloc Budrysa. Musiała więc tkwić w nim siła niezauważalna dla oka. Wyczuł ją zapewne Horst Sobota i dlatego wierzył, że Maryn potrafi zwyciężyć las. Czy ona, Weronika, zdoła dojrzeć źródło tej siły? Przez dłuższy czas, stojąc w oknie kuchennym nie mogła oderwać oczu od dłoni Maryna, bezwolnie spoczywających mu na kolanach. To także były jak gdyby kobiece ręce — delikatne, wąskie, smukłe, o długich palcach. „Czym on się zajmował przez całe swoje dotychczasowe życie, że ma takie dłonie?" — zastanawiała się. I była niemal pewna, że na leżaku wygrzewa się w słońcu nie człowiek, ale dziwny gad, jedynie podobny do człowieka.

Horst Sobota wciąż dreptał wokół Maryna zatroskany o jego ramię. Bandaż na ramieniu wyglądał brudno, tu i ówdzie na wierzch przesiąknęła ropa.

— Rana się nie goi, bo nóż, który ją zrobił, musiał być zatruty trupim jadem — słyszała przez okno głos Horsta.

— Zagoi się — powiedział Maryn jak gdyby zniecierpliwiony troskliwością starego.

Do kuchni wszedł Horst i z wyrzutem odezwał się do Weroniki.

— Mogłabyś obejrzeć jego ranę. W technikum uczyłaś się udzielania pomocy. Przynajmniej zmień mu bandaż.

— Nie chcę — odparła. — Czy to on cię prosił, żebym to zrobiła?

— Przecież wiesz, że on nigdy o nic nikogo nie poprosi. — odrzekł Sobota i zaczął grzebać w apteczce, która wisiała w łazience.

Była zła na siebie, że tak bardzo demonstruje swoją niechęć do Maryna. Bez słowa, z naburmuszoną twarzą, odsunęła od szafki Horsta, wyjęła bandaż i gazę, nalała ciepłej wody do miski i z tym wszystkim wyszła na podwórko.

— Proszę mi pokazać skaleczenie — odezwała się rozkazująco.

— To niepotrzebne — oświadczył, nie otwierając oczu i nie poruszając się na leżaku.

Wróciła do domu po nożyczki, rozcięła bandaż i choć wiedziała, że będzie bolało, jednym ruchem oderwała go od rany. Maryn nie zaprotestował, w ogóle nic nie mówił i nie otwierał oczu, jak gdyby bał się słońca. Rana dobrze się goiła i tylko w jednym miejscu jeszcze trochę ropiało. Przemyła ją wodą utlenioną, posmarowała penicylinową maścią, założyła opatrunek. Nie miała biustonosza i gdy pochyliła się nad mężczyzną rozpartym na leżaku, jej piersi prawie wyszły z dekoltu i mogło się wydawać, że podaję mu je przed oczy jak dwa krągłe owoce. Ale on nie spojrzał na nią, choć tego chciała. Brzydziła się pożądliwego wzroku mężczyzny, ale w tej chwili także odkryła w sobie chęć, aby on odczuł pożądanie i żeby ono okazało się dla niego tak samo bolesne jak odrywanie bandaża. Kulesza powiedział jej kiedyś, że pożądanie boli. Dopiero teraz przyszło jej na myśl, że można sobą, swoim ciałem, zadawać komuś ból. I pierwszym, który miał tego bólu zaznać, pragnęła, aby stał się Maryn. On jednak nie otworzył oczu. Jak na złość, to ją właśnie przeniknął rozkoszny tajemny ból. Od tego mężczyzny zalatywała woń jego pokoju — kremu lanilinowego, zagranicznych papierosów i kwaśnego potu. Maryn pachniał jak zdjęcie zmasakrowanej twarzy Budrysa. Nie mogła się opanować, aby znowu nie doznawać mściwej przyjemności na myśl o sponiewieranym Budrysie, a razem z tą przyjemnością odżyło w niej pragnienie, aby dotknąć dłonią swojego podbrzusza. To było trochę bolesne pragnienie, dlatego chciała stąd odejść i pośpiesznie zacisnęła bandaż.

— Dziękuję — rzucił jej Maryn, gdy odchodziła.

Ugotowała obiad i najpierw zawołała Horsta Sobotę, który w stodole, z cieniutkich deseczek zbijał skrzynki na tegoroczne owoce. Potem zaprosiła na obiad Maryna.

Horst jak zwykle głośno mlaskał, ponieważ nie miał zębów i szczególnie rozdrabnianie mięsa sprawiało mu trudność. Kulesza, jak to dobrze pamiętała, jadł szybko, połykał duże kawały mięsa. Maryn zaś brał do ust drobne kęsy i jadł bez apetytu, wolno poruszając szczęką. Weronika wiedziała z filmów, że właśnie w taki sposób jedzą ludzie, którzy otrzymali staranne wychowanie. Ale powiedziała:

— Pan tak je, panie Maryn, jakby panu moje jedzenie nie smakowało. Jeśli źle gotuję, to czemu nie sprowadzi pan tutaj swojej żony?

Maryn przestał na chwilę jeść i rzekł z tym swoim półuśmiechem:

— Myślę, że nie mam już żony.

— Co to znaczy, że pan w ten sposób myśli? — wzruszyła ramionami. — Żonę się albo ma, albo się jej nie ma.

— A pani? — zapytał. — Czy pani się nie wydaje, że nie ma pani męża, choć przecież jest i mieszka niedaleko stąd?

Horst zachichotał, a ona nie była w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Maryn zaś po prostu wstał od stołu, wziął talerz z wołowiną i ziemniakami oblanymi sosem. Wyszedł z tym na pieniek koło siatki, za którą w kurniku tkwił pies. Horst zaraz się usadowił w kuchni przy oknie, aby widzieć Maryna i psa, a ona stanęła obok Horsta i też patrzyła. Dlaczego? Sama nie wiedziała. Chyba przez zwykłą ciekawość.

Maryn przykucnął na pieńku i po swojemu jadł wolno. Pies wylazł z kurnika ze zjeżoną sierścią, ale już po chwili, gdy poczuł zapach jedzenia — niespodziewanie zamachał ogonem. Wtedy Maryn rzucił mu ponad siatką jednego otłuszczonego ziemniaka. Pies skoczył po żółtawą grudkę jedzenia ubabranego piaskiem i połknął w ułamku sekundy. I znowu patrzył na Maryna — skamieniały, nieruchomy, wrogi. A Maryn wziął w palce drugiego ziemniaka i pokazał go psu. Uszy psa stuliły się, ogon zaczął poruszać się w lewo i prawo. Ziemniak przeleciał przez ogrodzenie, później kawałek wołowiny. I na tym Maryn poprzestał. Zjadł swój obiad i z pustym talerzem wrócił do kuchni.

— Trochę mnie polubił — oświadczył drwiąco. — Można by ugotować odrobinę kaszy ze skwarkami.

Sobota nie mógł opanować zachwytu.

— To było piękne, Józwa. On cię zaczął lubić. Sam widziałem jak zamachał ogonem. Teraz ci wierzę, że umiesz tresować ludzi.

— Co takiego? Ludzi? — zapytała ostro Weronika. — Odkąd to tresuje się ludzi?

Horst roześmiał się wesoło.

— Nie słyszałaś, Weronika, mojej rozmowy z Józwą. On mi oczy otworzył, że ludzie też są tresowani. Żebyś wiedziała jak mnie tresowali w wojsku. Potem miałem odpowiednią tresurę od leśnych ludzi.

— A jak się ludzi tresuje? — zapytała Weronika.

— Tak jak psa. Głodem i batem — wyjaśnił Horst.

Marynowi ta rozmowa nie sprawiała przyjemności. Zapytał Weronikę o kaszę i słoninę. Chciał ugotować jedzenie dla psa, ale ona już się tym zajęła.

— Zaczekam aż pani to zrobi i sam mu zaniosę — rzekł i wyszedł na podwórze.

Pies znowu do niego zamachał ogonem i Maryn wyjął z kieszeni kawałek suchego chleba. Rzucił go psu i ruszył w sad, a za nim, drobnymi kroczkami podreptał Horst. „Przede wszystkim to on wytresował sobie Horsta" — pomyślała Weronika.

CDN

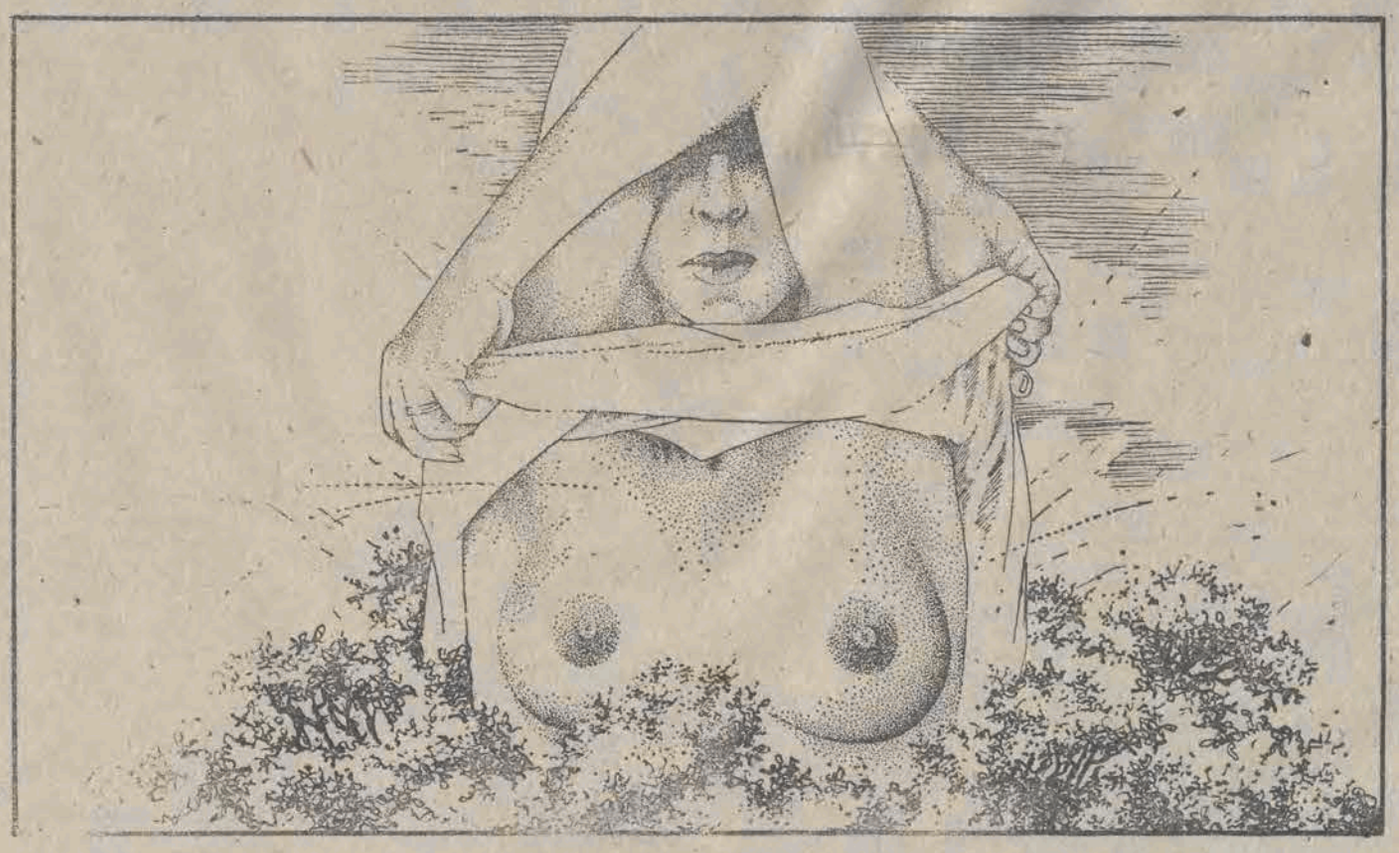

Rys. Janusz Szymański Glanc